

Najnowszy thriller prawniczy
z klasycznym Grishamowskim bohaterem... tylko znacznie młodszym

JOHN GRISHAM



THEODORE BOONE

MŁODY PRAWNIK


AMBER

JOHN GRISHAM

Theodore Boone

MŁODY PRAWNIK

Z angielskiego przełożył

MACIEJ NOWAK-KREYER

Spis treści

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
 - Rozdział 1
 - Rozdział 2
 - Rozdział 3
 - Rozdział 4
 - Rozdział 5
 - Rozdział 6
 - Rozdział 7
 - Rozdział 8
 - Rozdział 9
 - Rozdział 10
 - Rozdział 11
 - Rozdział 12
 - Rozdział 13
 - Rozdział 14
 - Rozdział 15
 - Rozdział 16
 - Rozdział 17
 - Rozdział 18
 - Rozdział 19
 - Rozdział 20
 - Rozdział 21
 - Rozdział 22

Konsultacja prawnicza: prof, dr hab. Tadeusz Tomaszewski Katedra Kryminalistyki,
Instytut Prawa Karnego Wydział Prawa i Administracji UW

Redakcja stylistyczna - Agnieszka Niedek
Korekta - Barbara Cywińska, Elżbieta Steglišńska
Zdjęcia na okładce - © Colin Thomas (postać), © Getty Images (budynek)
Skład - Wydawnictwo AMBER - Jerzy Wolewicz
Druk - Wojskowa Drukarnia w Łodzi Sp, z o.o.

Tytut oryginału: Theodore Boone: Kid Lawyer
Copyright © Belfry Holdings, Inc., 2010
All rights reserved.
For the Polish edition
Copyright © 2010 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 978-83-241-3779-4
Warszawa 2010.
Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp, z o.o. 02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63 tel. 620 40 13,
620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

ROZDZIAŁ I

Theodore Boone był jedynakiem i dlatego najczęściej jadł śniadanie sam. Jego ojciec, zapracowany prawnik, miał zwyczaj wychodzić wcześnie, spotykać się z kolegami, żeby wypić kawę i pogadać, zawsze w tym samym barze i zawsze o siódmej rano. Matka Theo, też zapracowana prawniczka, próbując zrzucić pięć kilogramów od co najmniej dziesięciu lat, wmówiła sobie, że na śniadanie wystarczą tylko kawa i gazeta. Theo więc samotnie jadł sobie przy kuchennym stole płatki z zimnym mlekiem, popijał je sokiem pomarańczowym, a jednym okiem zerkał na zegarek. U Boone'ów zegary były dosłownie wszędzie, jasny dowód na to, że są ludźmi zorganizowanymi.

Tak naprawdę to nie był całkiem sam. Obok krzesła jadł śniadanie też jego pies, Sędzia, bardzo wielorasowy kundelek, którego wiek i pochodzenie od zawsze stanowiły tajemnicę. Dwa lata temu Theo prawie uratował go od śmierci, w ostatniej chwili zjawiając się w sądowym wydziale do spraw zwierząt – no a Sędzia zawsze pozostawał mu za to wdzięczny. Tak jak Theo, najbardziej lubił płatki Cheerios, zalane pełnotłustym mlekiem, nigdy, przenigdy chudym. I tak co rano razem zajadali sobie w ciszy.

O ósmej rano Theo opłukał miski w zlewie, schował mleko i sok do lodówki, poszedł do salonu i cmoknął mamę w policzek.

– Spadam do szkoły – oznajmił.

– Masz pieniądze na lunch? – zapytała, jak zawsze w każdy z pięciu poranków tygodnia.

– Jak zawsze.

– A wszystkie lekcje odrobione?

– I to super, mamó.

– I kiedy cię zobaczę?

– Zajrzę do kancelarii po szkole. – Theo codziennie i bez wyjątku zaglądał po szkole do kancelarii, ale pani Boone i tak zawsze pytała.

– Uważaj na siebie – powiedziała. – I pamiętaj, żeby się uśmiechać!

Theo już ponad dwa lata nosił na zębach aparat i rozpaczliwie pragnął się go pozbyć. Tymczasem matka stale mu przypominała, że ma się uśmiechać i w ten sposób zmieniać świat na lepszy.

– Mamó, przecież ja się uśmiecham.

– Kocham cię, Misiaczkę.

– Ja ciebie też.

Theo, wciąż się uśmiechając, mimo że nazwano go „Misiaczkę”, zarzucił plecak na ramiona, podrapał Sędzię po pysku, pożegnał się, a potem ruszył do kuchennych drzwi. Wskoczył na rower i od razu popędził Mallard Lane, wąską, pełną zieleni uliczką w najstarszej części miasta. Pomachał panu Nunnery'emu, który siedział już na ganku, gotowy na kolejny dzień oglądania tych kilku pojazdów, jakie tędy przejeżdżały. Potem jeszcze śmignął przy krawężniku, tuż obok pani Goodloe, ale nic nie powiedział, bo była głucha i właściwie to brakowało jej piątej klepki.

Była wczesna wiosna, a powietrze rześkie. Theo pedałowiał szybko, wiatr siekł go po twarzy. Lekcje zaczynały się o ósmej czterdzieści, a przed szkołą musiał jeszcze załatwić kilka ważnych spraw. Przeciął boczną uliczkę, śmignął alejką, wyminął kilka samochodów i przejechał na czerwonym świetle. To było jego terytorium, tę trasę przemierzał codziennie. Po kilku przecznicach domy mieszkalne ustąpiły miejsca biurom i sklepom.

Gmach sądu hrabstwa stanowił największy budynek w centrum Strattenburga (w następnej kolejności były poczta i biblioteka). Wznosił się majestatycznie po północnej stronie Main Street, w połowie drogi między mostem na rzece a parkiem pełnym altanek, poidel dla ptaków i pomników tych, co polegli na przeróżnych wojnach. Theo uwielbiał sąd, ten jego dostojny nastrój, ludzi krzątających się przy ważnych sprawach i przygnębiające spisy rozpraw wywieszane na tablicach. A najbardziej lubił te małe sale, na których sędziowie rozpatrywali sprawy cywilne, bez ławy przysięgłych i też główną salę, na pierwszym piętrze, gdzie prawnicy zmagali się niczym gladiatorzy, zaś sędzia panował jak król.

Theo miał trzynaście lat i jeszcze nie zdecydował, co będzie robił, jak dorośnie. Jednego dnia marzył, że zostanie sławnym prawnikiem sądowym, takim, który prowadzi największe sprawy i zawsze je wygrywa. Kiedy indziej marzył, że będzie znakomitym sędzią, słynącym z mądrości i sprawiedliwości. Miotał się więc, codziennie zmieniając zdanie.

Tego poniedziałkowego ranka w głównym holu sądu było już bardzo tłoczno, jakby prawnicy wraz z klientami nie mogli się doczekać początku tygodnia. Pod windą stały tłumy, dlatego Theo wbiegł schodami na drugie piętro i popędził wschodnim skrzydłem, tam, gdzie mieścił się sąd rodzinny. Jego matka była znanym adwokatem specjalizującym się w rozwodach, takim, który zawsze reprezentuje żonę. Theo dobrze znał więc tę część budynku. O rozwodach decydowali tylko sędziowie, bez ławy przysięgłych. Zazwyczaj nie życzyli sobie, żeby tak delikatnym sprawom przyglądała się gromada gapiów, dlatego sala rozpraw była niewielka. Pod drzwiami tłoczyło się kilku zaaferowanych prawników, ewidentnie niezgadających się ze sobą. Theo rozejrzał się po korytarzu, potem skręcił za róg i dostrzegł swoją przyjaciółkę.

Siedziała na jednej ze starych drewnianych ławek, taka samotna, drobna, delikatna i zdenerwowana. Kiedy go zauważyła, uśmiechnęła się, położyła dłoń na ustach. Theo przepchnął się do niej i usiadł bardzo blisko, muskając ją kolanami. Obok każdej innej dziewczyny usadowiłby się co najmniej pół metra dalej, unikając nawet przypadkowego kontaktu.

Ale April Finnemore nie była każdą inną dziewczyną. Gdy mieli po cztery lata, razem trafili do żłobka przy miejscowej szkółce parafialnej i odkąd pamiętał, bardzo się przyjaźnili. To nie była miłość, byli na to za młodzi.

Theo nie znał ani jednego trzynastolatka ze swojej klasy, który by się przyznał, że chodzi z jakąś dziewczyną. Wręcz przeciwnie. Oni w ogóle nie chcieli mieć nic wspólnego z dziewczynami. A dziewczyny z nimi. Theo ostrzegano, że wszystko się zmieni, i to radykalnie, ale jakoś w to nie wierzył.

April była tylko koleżanką, ale za to w wielkiej potrzebie. Jej rodzice właśnie się rozwodzili i Theo był niesamowicie wdzięczny swojej matce, że nie zajmowała się akurat tą sprawą.

Nikt, kto znał Finnemore'ów, nie był zaskoczony ich rozwodem. Ojciec April był ekscentrycznym sprzedawcą antyków i perkusistą starego zespołu rockowego, wciąż jeszcze koncertującego po nocnych klubach. Co jakiś czas wyruszał w parotygodniową trasę. Matka hodowała kozy i robiła kozi ser, którym handlowała w mieście, rozwożąc go przerobionym karawanem pomalowanym na jaskrawożółto. Obok fotela kierowcy siedział czepiak, starusieńka małpka o posiwiałych wąsikach, żując ów ser, który zresztą nigdy nie sprzedawał się za dobrze. Pan Boone kiedyś określił tę rodzinę mianem „nietradycyjnej”, co Theo uznał za enigmatyczny sposób nazwania jej dziwaczną. Rodziców April parokrotnie zatrzymywano pod zarzutem posiadania narkotyków, ale żadne nie trafiło do więzienia.

– Wszystko w porządku? – zapytał Theo.

– Nie – odpowiedziała. – Bardzo nie chcę tutaj być. April miała starszego brata o imieniu August i starszą siostrę March [Imiona dzieci państwa Finnemore to nazwy miesięcy. April – kwiecień, August – sierpień, March – marzec (przyp. red.)]. Oboje już uciekli od rodziny. August dzień po skończeniu liceum. March zwinęła manatki w wieku szesnastu lat i wyjechała z miasta, do dręczenia zostawiając rodzicom już tylko April. Theo wiedział o tym, bo przyjaciółka o wszystkim mu opowiedziała. Musiała. Potrzebowała zwierzyć się komuś spoza rodziny, a Theo jej słuchał.

– Ja nie chcę mieszkać z żadnym z nich – oznajmiła.

To było straszne mówić tak o swoich rodzicach, ale Theo dobrze ją rozumiał. Gardził Finnemore'ami za to, jak traktowali April. Gardził za chaos panujący w ich życiu, za brak zainteresowania córką, za okazywane jej okrucieństwo. Lista uraz, jakie żywił względem pana i pani Finnemore'ów była długa. Wolałby raczej uciec, niż z nimi mieszkać. Nie znał w mieście ani jednego dzieciaka, który kiedykolwiek postawił nogę w ich domu.

Rozwód trwał już trzeci dzień i April miała wkrótce zostać wezwana, żeby złożyć zeznania. Sędzia miał jej zadać brzemiennie w skutki pytanie: April, z którym z rodziców chciałabyś mieszkać?

A ona nie знаła odpowiedzi. Omawiała to już z Theo godzinami i wciąż nie wiedziała, co powiedzieć.

Fundamentalne pytanie, jakie Theo sam sobie zadawał w myślach, brzmiało: Dlaczego którekolwiek z rodziców chce opieki nad April? Przecież zaniedbywali ją na tyle różnych sposobów. Nasłuchał się wielu różnych historii, ale żadnej nigdy nie powtórzył.

– I co powiesz? – zapytał.

- Powiem sędziemu, że chcę mieszkać z ciocią Peg w Denver.
- Myślałam, że się nie zgodziła.
- Nie zgodziła się.
- No to nie możesz tego powiedzieć.
- Theo, to co ja mogę powiedzieć?
- Moja mama mówi, że powinnaś wybrać matkę. Wiem, że to dla ciebie żaden wybór, ale nie masz żadnego wyboru.
- Ale sędzia i tak może zrobić, co chce, tak?
- Tak. Jakbyś miała czternaście lat, mogłabyś podjąć wiążącą decyzję. Jak masz trzynaście, sędzia może tylko wziąć twoje życzenie pod uwagę. Mama mówi, że ten sędzia nigdy nie przyznaje opieki ojcu. Nie ryzykuj. Idź do matki.

April miała na sobie dżinsy, buty trekkingowe i granatowy sweter. Rzadko ubierała się jak dziewczyna, ale i tak od razu było widać, jakiej jest płci. Otarła łzę z policzka, ale się nie rozkleiła.

- Dzięki, Theo – powiedziała.
- Chciałbym móc tutaj zostać.
- A ja chciałabym móc iść do szkoły. Oboje zmusili się do uśmiechu.
- Będę o tobie myślał. Nie daj się
- Dzięki, Theo.

Jego ulubionym sędzią był Henry Gantry. Theo wszedł do gabinetu tej wielkiej osobistości dwadzieścia po ósmej.

- O, dzień dobry, Theo – powiedziała pani Hardy. Właśnie wsypywała coś do kawy i szykowała się do pracy.
- Dzień dobry, pani Hardy – odparł z uśmiechem.
- A czemuż to zawdzięczamy taki zaszczyt? – zapytała.

Była, jak się domyślał, trochę młodsza od jego matki i bardzo ładna. Theo lubił ją najbardziej ze wszystkich sekretarek w sądzie. Z kolei ze

wszystkich kancelistek najbardziej lubił Jenny z wydziału rodzinnego.

– Chciałbym się zobaczyć z sędzią Gantrym – odpowiedział. – Może już jest?

– Tak, ale jest bardzo zajęty.

– Proszę, to zajmie tylko chwilę.

Pociągnęła łyk kawy i zapytała:

– Czy to ma coś wspólnego z tą jutrzejszą ważną rozprawą?

– Tak, proszę pani. Chciałbym, żebyśmy w ramach wiedzy o społeczeństwie obejrzeni pierwszy dzień procesu, ale muszę sprawdzić, czy wystarczy nam krzesel.

– No nie wiem, Theo – odparła pani Hardy, marszcząc brwi i potrząsając głową. – Spodziewamy się tłumu. Będzie ciasno.

– Mogę porozmawiać z sędzią?

– Ile osób masz w klasie?

– Szesnaście. Ale myślę, że możemy usiąść na balkonie.

Cały czas marszcząc brwi, podniosła słuchawkę i wdusiła przycisk. Odczekała chwilę, potem oznajmiła:

– Panie sędzio, jest tutaj Theodore Boone i chciałby się z panem zobaczyć. Powiedziałam mu, że jest pan bardzo zajęty. – Słuchała jeszcze jakiś czas, potem odłożyła słuchawkę.

– Pospiesz się – oznajmiła, wskazując drzwi gabinetu sędziego.

Po chwili Theo stanął przed największym biurkiem w mieście, zavalonym dokumentami, teczkami pełnymi akt i segregatorami wszelkiego rodzaju, biurkiem symbolizującym ogrom potęgi sędziego Henry'ego Gantry'ego, który teraz wcale się nie uśmiechał. Szczerze mówiąc, Theo był pewny, że skoro przeszkodził mu w pracy, to nie uśmiechnie się w ogóle. Starał się jednak usilnie wymusić to na nim, szczerząc od ucha do ucha swoje lśniące metalem zęby.

– Przedstaw swoją sprawę – powiedział sędzia Gantry.

Theo już wiele razy słyszał go wydającego takie polecenie. Widział, jak prawnicy, całkiem niezli prawnicy, stawali wtedy na baczność, jękali się i nie potrafili znaleźć słów, a sędzia Gantry spoglądał na nich groźnie sponad pulpitu. Teraz nie spoglądał groźnie i nie miał czarnej togi, ale i tak budził lęk. Gdy Theo odchrząknął, dostrzegł w oku szacownego przyjaciela charakterystyczny błysk.

– Moim nauczycielem wiedzy o społeczeństwie jest pan Mount. Uważa on, że możemy dostać zgodę dyrektora na całodniową wycieczkę i obejrzeć jutro rozpoczęcie procesu. – Zamilkł na chwilę, wziął głęboki oddech i powtórzył sobie w duchu, że ma mówić jasno, spokojnie, z przekonaniem, właśnie tak jak wszyscy wielcy prawnicy sądowi. – Ale potrzebujemy zarezerwowanych miejsc. Myślę, że moglibyśmy usiąść na balkonie.

– Moglibyście?

– Tak, proszę pana.

– A ilu was jest?

– Szesnastu, no i jeszcze pan Mount.

Sędzia podniósł grubą teczkę z aktami, otworzył i zaczął je czytać, tak jakby nagle zapomniał o Theo, wyczekującym przed jego biurkiem. Minęło piętnaście niezręcznych sekund. Potem Gantry nagle się odezwał:

– Siedemnaście miejsc, balkon po lewej. Powiem woźnemu, żeby was porozsadzał jutro, za dziesięć dziewiąta. Oczekuję nienagannego zachowania.

– Oczywiście, proszę pana.

– Polecę pani Hardy wysłać e-mail do waszego dyrektora.

– Dziękuję, panie sędzio.

– Theo, idź już. Przepraszam, ale jestem bardzo zajęty.

– Oczywiście, proszę pana.

Theo szedł już w stronę drzwi, kiedy sędzia jeszcze raz się odezwał.

– Theo, jak myślisz, czy pan Duffy jest winny?

Theo zatrzymał się, odwrócił i odparł bez wahania:

– Należy założyć, że jest niewinny.

– Racja. Ale co ty o tym sądzisz?

– Myślę, że to zrobił.

Sędzia nieznacznie skinął głową, jednak nie dał po sobie poznać, czy się z nim zgadza.

– A jak pan myśli? – zapytał Theo.

Gantry wreszcie się uśmiechnął.

– Theo, ja jestem sprawiedliwym i bezstronnym urzędnikiem. Nie skłaniam się ani ku uznaniu go za winnego, ani za niewinnego.

– Wiedziałem, że pan tak powie. Do zobaczenia jutro.

Theo uchylił drzwi i wysliznął się przez nie.

Pani Hardy stała z rękami opartymi na biodrach i mierzyła wzrokiem dwóch rozgorączkowanych prawników, domagających się spotkania z sędzią. Kiedy Theo wyszedł z gabinetu, cała trójka zastygła. Mijając ich pośpiesznie, Theo uśmiechnął się do pani Hardy.

– Dziękuję – powiedział, otwierając drzwi, i zniknął.

ROZDZIAŁ 2

Droga z sądu do gimnazjum, pokonana jak należy, bez łamania kodeksu drogowego i robienia niedozwolonych skrótów, zajmowała mu piętnaście minut. No i zwykle Theo tak właśnie jechał, chyba że akurat trochę mu się spieszyło. Śmignął więc pod prąd Market Street, wpadł na krawężnik tuż przed jakimś autem i popędził parkingiem, nie gardząc żadnym objazdem, a potem, co było już najgorsze, przemknął między dwoma domami przy Elm Street. Słyszał, jak ktoś wydziera się na niego z ganku, dopóki nie znalazł się w bezpiecznej alejce wiodącej na parking dla nauczycieli za szkołą. Zerknął na zegarek – dziewięć minut. Nieźle.

Zatrzymał się przy maszcie flagowym, przypiął rower łańcuchem i popłynął ze strumieniem dzieciaków, wylewającym się z gimbusa. Kiedy o ósmej czterdzieści zabrzmiał dzwonek, wchodził właśnie do klasy i witał się z panem Mountem, który nie tylko uczył go WOS-u, ale i był jego wychowawcą.

– Rozmawiałem z sędzią Gantrym – oznajmił, stając przed biurkiem nauczyciela, zdecydowanie mniejszym od tego, przy którym dopiero co stał w sądzie. W klasie, jak zwykle rano, panowało straszne zamieszanie. Zjawilo się wszystkich szesnastu chłopców i wszystkich zajmowały najróżniejsze wygłupy, przepychanki albo kawały.

– I co?

– Mamy miejsca siedzące, i to od razu.

– Świetnie, Theo, dobra robota.

Pan Mount zaprowadził w końcu porządek, sprawdził listę, powiedział, co miał do powiedzenia, i po dziesięciu minutach wypuścił uczniów na pierwszą lekcję, na hiszpański z Madame Monique. Na przerwach, kiedy chłopcy mieszaali się z dziewczynami, dochodziło czasem do nieporadnych końskich zalotów. Jednak w trakcie zajęć praktykowano rozdział płci, zgodnie z nową polityką przyjętą przez różnych mądrych ludzi decydujących o tym, jak uczyć się będą dzieci w mieście. W każdej innej sytuacji płci mogły mieszać się do woli.

Madame Monique była wysoką, ciemnoskórą damą z Kamerunu w Afryce Zachodniej. Trzy lata temu przeprowadziła się do Strattenburga, gdy jej mąż, też Kameruńczyk, zatrudnił się w miejscowym college'u jako nauczyciel języków obcych. Zdecydowanie nie była typową gimnazjalną nauczycielką. Kiedy dorastała w Afryce, mówiła w swoim plemiennym dialekcie Beti oraz po angielsku i francusku, językach urzędowych Kamerunu. Jej ojciec pracował jako lekarz, dlatego stać go było na wysłanie córki do szkoły w Szwajcarii, gdzie poznała niemiecki oraz włoski. Swój hiszpański udoskonaliła, kiedy poszła do college'u w Madrycie. Teraz wzięła na warsztat język rosyjski, a szykowała się do poznania języka chińskiego. Sala, w której uczyła, była obwieszona wielkimi kolorowymi mapami świata. Uczniowie wierzyli, że wszędzie tam była, wszystko widziała i zna wszystkie języki. Świat jest ogromny, powtarzała im to wiele razy, a w innych krajach większość ludzi zna więcej niż jeden język. Jej uczniowie skupiali się na hiszpańskim, ale zachęcała ich, aby odkrywali też inne.

Matka Theo przez wiele lat uczyła się hiszpańskiego i jeszcze w przedszkolu poznał od niej sporo podstawowych słówek oraz zwrotów. Niektórzy klienci mamy pochodzili z Ameryki Środkowej i gdy Theo

spotykał ich w kancelarii, korzystał z okazji i szlifował swój hiszpański. A oni zawsze uważali to za miłe.

Madame Monique powiedziała mu, że ma talent do języków, i namawiała, żeby bardziej przykładał się do ich nauki. Zaciekawieni uczniowie często ją prosili: „Niech pani powie coś po niemiecku” albo „Proszę coś powiedzieć po włosku”. Spełniała takie prośby, ale najpierw uczeń musiał wstać i sam wypowiedzieć kilka słów w tym języku. Dostawał wtedy dodatkowe punkty, co stanowiło dla innych zachętę. Większość chłopaków z klasy Theo znała po kilkadziesiąt słów w różnych językach. Najlepszym lingwistą był Aaron, syn Hiszpanki i Niemca, ale Theo bardzo starał się go dogonić. Hiszpański był jego ulubionym przedmiotem zaraz po wiedzy o społeczeństwie – a Madame Monique ulubionym nauczycielem, zaraz po panu Mouncie.

Jednak dzisiaj miał problemy ze skupieniem. Uczyli się hiszpańskich czasowników, co i w zwykły dzień stanowiło niezłą zagwozdkę, a teraz jeszcze Theo błądził myślami hen, gdzieś daleko. Martwił się April i paskudnym dniem, czekającym ją w związku z przesłuchaniem. Nie umiał sobie wręcz wyobrazić, jakie to musi być okropne wybierać pomiędzy rodzicami. Kiedy już zdołał odsunąć od siebie myśl o April, pochłonął go jutrzejszy proces w sprawie morderstwa. Nie mógł się już doczekać, kiedy usłyszy prawników wygłaszających mowy początkowe.

Większość jego kolegów z klasy marzyła o biletach na jakiś ważny mecz albo na koncert. A Theo Boone żył wielkimi sprawami sądowymi.

Następną lekcją była geometria z panią Garman. Potem była krótka przerwa i klasa wróciła do pana Mounta na najlepsze dzisiaj zajęcia, przynajmniej zdaniem Theo. Pan Mount miał około trzydziestu pięciu lat i kiedyś pracował jako radca prawny w wielkiej firmie mieszczącej się w chicagowskim drapaczu chmur. Prawnikiem był jego brat, prawnikami i

sędziami byli też jego ojciec oraz dziadek. Pan Mount znużył się jednak długimi godzinami pracy, ogromną presją i dał sobie z tym wszystkim spokój. Machnął ręką na wysokie zarobki i znalazł posadę, która jak uważał, dawała mu znacznie więcej. Uwielbiał uczyć, a chociaż wciąż myślał o sobie jako o prawniku, salę lekcyjną cenił wyżej od sądowej.

A skoro już tak dobrze znał się na prawie, to jego lekcje wiedzy o społeczeństwie polegały zwykle na omawianiu różnych spraw sądowych, starych i bieżących, a nawet fikcyjnych, które widział w telewizji.

– Dobra, panowie – zaczął, kiedy wszyscy już usiedli i się uspokoili. Zawsze zwracał się do uczniów „panowie”, co dla trzynastolatków stanowiło nie lada komplement. – Jutro macie być tutaj o ósmej piętnaście. Wsiadamy do gimbusa, jedziemy do sądu i spędzamy tam sporo czasu. To jest wycieczka szkolna, zatwierdzona przez dyrektora, dlatego będziecie zwolnieni ze wszystkich innych lekcji. Weźcie pieniądze na lunch, zjemy coś w Pappy's Deli. Jakieś pytania?

„Panowie” chłonęli każde jego słowo, ich twarze aż jaśniały z podniecenia.

– A co z plecakami? – zapytał ktoś.

– Nie bierzemy – odparł pan Mount. – Do sali sądowej nie wolno niczego wносить. Ochrona będzie tego bardzo pilnować. To jest, w końcu, pierwsza od dawna sprawa o morderstwo w naszym mieście. Jeszcze jakieś pytania?

– Jak mamy się ubrać?

Powoli oczy wszystkich, łącznie z oczami pana Mouna, zwróciły się ku Theo. Dobrze wiedzieli, że spędza w sądzie więcej czasu niż niejeden prawnik.

– Theo, garnitur i krawat? – zapytał pan Mount.

– Nie, nie trzeba. Tak jak teraz jesteśmy ubrani, jest OK.

– Świetnie. Jeszcze jakieś pytania? No to dobrze. Teraz poproszę, Theo, żeby nam opowiedział o jutrzejszym spektaklu. Pokaż nam salę sądową, przedstaw aktorów, powiedz, co zobaczymy. Theo, zapraszam.

Laptop Theo był już podłączony do projektora. Theo stanął przed uczniami, nacisnął guzik i na cyfrowym, panoramicznym ekranie pokazał się duży wykres.

– To główna sala rozpraw – wyjaśnił tonem rasowego prawnika. Trzymał laserowy wskaźnik z czerwonym światełkiem i wędrował nim po wykresie. – U góry, tutaj pośrodku, jest ława sędziowska. To tam siedzi sędzia i nadzoruje rozprawę. Nie mam pojęcia, dlaczego to się nazywa ława. Bardziej przypomina jakiś tron. Ale będziemy mówić ława. Sędzią będzie Henry Gantry.

Stuknął w klawisz i pojawiło się duże, urzędowe zdjęcie sędziego Gantry'ego. Czarna toga, ponura mina. Theo je pomniejszył, potem przeciągnął nad wizerunek ławy. Usadowiwszy sędziego na jego miejscu, kontynuował:

– Pan Gantry jest sędzią od jakichś dwudziestu lat i zajmuje się tylko sprawami kryminalnymi. Jest bardzo surowy i porządny. Większość prawników go lubi. – Laserowy wskaźnik przesunął się na środek sali rozpraw. – Tutaj mamy ławę oskarżonych, gdzie siądzie pan Duffy, oskarżony o morderstwo. – Theo wcisnął klawisz i pojawiło się czarno-białe zdjęcie wzięte z gazety. – To jest pan Duffy. Czterdzieści dziewięć lat, żonaty z panią Duffy, która już nie żyje. Jak wszyscy wiemy, pan Duffy jest oskarżony właśnie o to, że ją zamordował. – Pomniejszył fotografię i przesunął nad ławę oskarżonych. – Jego obrońca to Clifford Nance, prawdopodobnie najlepszy adwokat od spraw karnych w tej części stanu. – Nance pojawił się w kolorze, miał ciemny garnitur i przebiegły uśmiech. Nosił długie kręcone włosy. Jego pomniejszone zdjęcie znalazło się przy

podobiznie klienta. – Obok ławy oskarżonych są miejsca dla oskarżycieli. Głównym oskarżycielem jest Jack Hogan, czyli prokurator okręgowy. – Fotografia Hogana pojawiła się na kilka sekund, potem zmaląła i wylądowała obok ławy oskarżonych.

– Skąd wzięłeś te zdjęcia? – zapytał ktoś.

– Co roku izba adwokacka wydaje spis wszystkich prawników i sędziów – odpowiedział Theo.

– Ty też jesteś w tym spisie? – zabrzmiało kilka cichych śmiechów.

– Nie. Przy tych obu stanowiskach będzie też wielu prawników z asystentami. Tutaj jest zwykle tłoczno. Obok obrony zasiada ława przysięgłych. Jest tam czternaście krzeseł. Dwanaście dla ławników i dwa dla zastępców. W większości stanów jest dwunastu ławników, chociaż bywa też inna liczba osób. Niezależnie od niej, werdykt musi zostać wydany jednogłośnie, przynajmniej w sprawach kryminalnych. Zastępców wybiera się, jeśli ktoś z dwunastki zachoruje, usprawiedliwi swoją nieobecność, czy coś w tym rodzaju. Skład ławy przysięgłych ustalono dopiero w zeszłym tygodniu, więc nie możemy go sobie obejrzyć. To dość nudne. – Laserowy wskaźnik przesunął się do miejsca przed ławą. – Tutaj siedzi protokółantka – kontynuował Theo. – Ma taką maszynę, która się nazywa stenograf. Wygląda trochę jak maszyna do pisania, ale to coś innego. Protokółantka musi zapisywać każde słowo, które zostanie powiedziane podczas procesu. To się może wydawać niemożliwe, ale ona bez problemu daje sobie radę. Później przygotowuje transkrypt, tak żeby sędziowie i prawnicy mieli wszystko na papierze. Niektóre transkrypty mają tysiące stron. – Laserowy wskaźnik znowu się poruszył.

– Tutaj, obok sekretarki i zaraz przy sędzim, zeznają świadkowie. Każdy świadek tutaj podchodzi, przysięga mówić prawdę, a potem siada na swoim miejscu.

– A gdzie my siadamy?

Laserowy wskaźnik powędrował na środek diagramu.

– Tutaj jest ława oddzielająca publiczność. I znowu nie pytajcie mnie, dlaczego tak się nazywa. To taka drewniana balustrada, oddzielająca widownię od miejsca, gdzie odbywa się rozprawa. Tutaj mamy dziesięć rzędów siedzeń z przejściem pośrodku. To zwykle o wiele więcej niż potrzeba, ale ten proces będzie inny. – Laserowy wskaźnik powędrował na tył sali. – Tutaj, nad kilkoma ostatnimi rzędami, jest balkon, a na nim trzy długie ławki. My będziemy na tym balkonie, ale bez obaw, wszystko zobaczymy i usłyszymy.

– Jakies pytania? – odezwał się pan Mount.

Chłopcy gapili się na wykres.

– Kto przemawia pierwszy? – padło pytanie.

Theo zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Władze stanowe mają obowiązek udowodnienia winy, dlatego najpierw one muszą przedstawić sprawę. Jutro rano, zaraz na początku, oskarżyciel podejdzie do ławy przysięgłych i zwróci się do nich. To się nazywa oświadczenie wstępne. Przedstawi sprawę, potem to samo zrobi obrońca. Później będą wzywani świadkowie. Jak wiecie, istnieje zasada domniemania niewinności, dopiero władze stanu muszą udowodnić winę panu Duffy'emu, i to ponad wszelką wątpliwość. On twierdzi, że jest niewinny, ale w rzeczywistości rzadko tak się zdarza. Około osiemdziesięciu procent oskarżonych o morderstwo w końcu przyznaje się do winy, bo tak naprawdę są winni. Pozostałych dwadzieścia procent trafia pod sąd, z czego dziewiętnaście procent zostaje uznanych za winnych. Czyli rzadko się zdarza, żeby ktoś oskarżony o morderstwo był uznany za niewinnego.

– Mój tata uważa, że Duffy jest winny – odezwał się Brian.

– Wielu ludzi tak myśli – powiedział Theo.

– Theo, a ty ile już widziałaś rozpraw?

– Nie wiem. Z kilkadziesiąt.

Żaden z pozostałej piętnastki nigdy nawet nie był w sali sądowej, dlatego aż nie chciało im się w to wierzyć. A Theo mówił dalej:

– Jeśli kiedyś oglądaliście proces w telewizji, nie spodziewajcie się jakichś fajerwerków. Prawdziwa rozprawa bardzo się od tego różni i nie jest aż taka ekscytująca. Nie ma niespodziewanych świadków, dramatycznych wyznań, bójek między prawnikami. W tym procesie brak naocznego świadka morderstwa. To znaczy, że wszystkie dowody będą tylko poszlakowe. Często usłyszycie to określenie, zwłaszcza od pana Clifforda Nance'a, obrońcy. Będzie robił wielką sprawę z tego, że władze stanu nie mają bezpośrednich dowodów i że wszystko jest oparte na poszlakach.

– Ja chyba nie wiem, co to znaczy – odezwał się ktoś w sali.

– To znaczy, że dowody są pośrednie, a nie bezpośrednie. Na przykład, czy jeździsz do szkoły na rowerze?

– Tak.

– I przyczepiasz rower łańcuchem do stojaka obok masztu?

– Tak.

– No to, jeśli byś tak dzisiaj po południu wyszedł ze szkoły, podszedł do stojaka i zobaczył, że nie ma twojego roweru, a łańcuch jest przecięty, to masz pośredni dowód na to, że ktoś ci ukradł rower. Nikt nie widział złodzieja, dlatego nie ma dowodów bezpośrednich. I powiedzmy, jutro policja znajduje twój rower w komisie na Raleigh Street, takim, do którego trafiają kradzione rowery. Właściciel podaje policji nazwisko tego, co go do niego przyniósł. Policjanci prowadzą śledztwo i znajdują faceta, który już kiedyś kradł rowery. Możesz wtedy wysunąć mocne oskarżenie, na

podstawie takich właśnie pośrednich dowodów, że to właśnie on cię okradł. Brak bezpośrednich dowodów, są tylko poszlakowe.

Nawet pan Mount pokiwał głową z uznaniem. Przewodniczył kółku dyskusyjnemu ósmoklasistów i, jak można się było spodziewać, Theodore Boone grał tam pierwsze skrzypce. Jeszcze nigdy nie miał tak bystrego ucznia.

– Dziękuję, Theo – powiedział pan Mount. – I dziękuję, że załatwiłeś nam na jutro rano miejsca siedzące.

– Drobiazg – odparł Theo i z dumą wrócił do ławki.

Byli zdolną klasą z dobrego gimnazjum. Justin był wśród nich najlepszym lekkoatletą, chociaż nie pływał tak szybko jak Brian. Ricardo bił wszystkich na głowę w golfie i tenisie. Edward grał na wiolonczeli, Woody na gitarze elektrycznej, Darren na bębnach, a Jarvis na trąbce. Joey miał najwyższy iloraz inteligencji i zbierał świetne oceny. Chase, zbzikowany naukowiec, ciągle ryzykował wysadzenie laboratorium w powietrze. Aaron dzięki matce znał hiszpański, dzięki ojcu niemiecki, no i oczywiście, mówił też po angielsku. Brandon zawsze wcześniej rano rozwoził gazety po okolicy, przez Internet grał na giełdzie i planował, że zostanie w tej klasie pierwszym milionerem.

Oczywiście było też dwóch beznadziejnych kujonów i co najmniej jeden potencjalny przestępca.

Klasa miała nawet swojego prawnika – oprócz pana Mounta.

ROZDZIAŁ 3

Kancelaria prawna Boone & Boone mieściła się w starej, wyremontowanej kamienicy przy Park Street, trzy przecznice od Main Street i dziesięć minut spacerem od gmachu sądu. W tej okolicy było zatrzęsienie prawników, zresztą w każdym budynku przy Park Street mieściły się jakieś biura: adwokatów, architektów, księgowych, inżynierów.

W kancelarii pracowało dwoje prawników, pan Boone i pani Boone. Byli partnerami w pełnym tego słowa znaczeniu. Pan Boone, ojciec Theo, niedawno skończył pięćdziesiątkę, ale wyglądał znacznie starzej, przynajmniej w ściśle tajnej opinii swojego syna. Jego imię, Woods, według Theo bardziej pasowało na nazwisko. Jest przecież taki golfista, Tiger Woods. I aktor James Woods. Theo nigdzie jeszcze nie znalazł kogoś innego o imieniu Woods, ale też nie poświęcał wiele czasu na takie poszukiwania. Starał się nie kłopotać sprawami, na które nie miał wpływu.

Woods Boone. Czasem Theo wypowiadał to imię i nazwisko szybko, a wtedy brzmiało jak „łupdzwon”.

Sprawdził kiedyś w słowniku i okazało się, że nie ma tam wyrazu „łupdzwon”, jednak uważał, że powinien taki być. Chociaż, jak ktoś bije w dzwon, to przecież nazywa się dzwonnik, a nie „łupdzwon”. No, ale kto w ogóle bije w dzwon? Zresztą po co przejmować się takimi głupotami? Jednak, mimo wszystko, zawsze gdy Theo zbliżał się do drzwi gabinetu ojca i widział jego nazwisko wypisane czarnymi literami, do głowy przychodziło mu słowo „łupdzwon” – co było jednym z denerwujących nawyków, których nijak nie można się pozbyć.

Gabinet mieścił się na pierwszym piętrze, a szło się do niego po rozklekotanych schodach, przykrytych poplamionym i wytartym dywanem. Pan Boone rezydował na górze sam, wysłany przez panie z parteru. Stało się tak z dwóch przyczyn. Po pierwsze, był bałaganiarzem i w jego gabinecie panował niezły chaos – chociaż Theo to się akurat podobało. Po drugie, i co gorsza, pan Boone palił fajkę i to najchętniej przy zamkniętych oknach oraz wyłączonym wentylatorze. Powietrze robiło się gęste od intensywnego aromatu tego, czym akurat przyprawiono tytoń, który pan Boone właśnie sobie wybrał. Theo dym nie przeszkadzał, ale martwił się o zdrowie ojca. Pan Boone niezbyt dbał o kondycję. Mało ćwiczył i miał lekką nadwagę. Pracował ciężko, ale swoje sprawy pozostawiał w biurze – w przeciwieństwie do partnerki z kancelarii, matki Theo.

Pan Boone specjalizował się w nieruchomościach, a zdaniem Theo nie istniała nudniejsza dziedzina prawa. Ojciec nigdy nie chodził do sądu, nigdy nie argumentował przed sędzią, nigdy nie zwracał się do przysięgłych i chyba w ogóle nie opuszczał biura. Zresztą sam siebie często nazywał „prawnikiem gabinetowym” i wydawał się z tego zadowolony. Theo naprawdę podziwiał ojca, jednak ani mu się śniło pracować w zamknięciu, w jakimś biurze. O nie. Theo wybierał się do sali sądowej.

Na piętrze rezydował tylko pan Boone, więc jego gabinet był wielki. Pod dwiema ścianami stały długie, uginające się pod ciężarem książek półki, a na pozostałych dwóch wisiała wciąż powiększająca się kolekcja oprawionych w ramki zdjęć, na których widniał Woods w przeróżnych sytuacjach – ściskający dłonie polityków, pozujący wraz z innymi prawnikami na spotkaniach izby i tak dalej. Theo obejrzał już od środka kilka innych kancelarii w mieście – był dosyć wścibski i zawsze czyhał na niedomknięte drzwi – nauczył się więc, że prawnicy uwielbiają obwieszać ściany takimi właśnie zdjęciami, a także dyplomami, nagrodami,

certykatami członkostwa w różnych klubach i podobnymi rzeczami. Matka złośliwie nazywała to Ścianą Ego, bo sama ściany miała puste, wyjąwszy kilka zdumiewających dzieł sztuki nowoczesnej.

Theo zapukał do drzwi, po czym je popchnął. Wracając ze szkoły po południu, zawsze witał się z obydwójgiem rodziców, chyba że akurat był zajęty czym innym. Ojciec siedział sobie za starym jak świat biurkiem, zawalonym stosami papierów. Zawsze był tam sam, bo klienci rzadko go odwiedzali. Dzwonili, wysyłali coś pocztą, faksem albo e–mailem, jednak nie musieli osobiście zjawiać się w kancelarii Boone & Boone po poradę.

– Cześć – powiedział Theo i opadł na krzesło.

– W szkole wszystko w porządku? – zapytał jak zwykle i codziennie ojciec.

– Wszystko. Dyrektor zgodził się na naszą jutrzejszą wycieczkę do sądu. Dzisiaj rano byłem u sędziego Gantry'ego i obiecał nam miejsca siedzące na balkonie.

– To miło. Masz szczęście. Będzie tam z pół miasta.

– A ty idziesz?

– Ja? Nie – odparł ojciec, machając plikiem papierów, tak jakby musiał się nimi natychmiast zająć. Theo podsłuchał rozmowę rodziców, kiedy obiecywali sobie, że nie zajrzą do sądu w trakcie tego procesu. Sami byli zapracowanymi prawnikami i marnowanie czasu na oglądanie czyjejs rozprawy wydawało im się niestosowne. Theo jednak wiedział, że podobnie jak wszyscy w mieście bardzo chcieli tam być.

Ojciec, a do pewnego stopnia także matka zawsze wymawiali się dużą ilością pracy, kiedy chcieli czegoś uniknąć.

– Jak długo potrwa ten proces? – zapytał Theo.

– Ludzie mówią, że może z tydzień.

– Bardzo chciałbym go obejrzeć.

– Theo, nawet o tym nie myśl. Rozmawiałem już z sędzią Gantrym. Jak cię zobaczy w sali sądowej, kiedy powinienes być w szkole, to przerwie rozprawę i każe woźnemu zabrać cię do aresztu. A ja nie zapłacę kaucji. Posiedzisz parę dni razem z pijakami i gangsterami.

Po tych słowach pan Boone nabił fajkę, zbliżył do cybucha niewielką zapalniczkę i zaczął wypuszczać dym.

Patrzyli na siebie. Theo tak do końca nie był pewien, czy tata żartuje. Minę z pewnością miał poważną. A on i sędzia Gantry od dawna się przyjaźnili.

– Wygłupiasz się? – zapytał wreszcie.

– Częściowo. Na pewno wyciągnąłbym cię z aresztu, ale owszem, rozmawiałem z sędzią Gantrym.

Theo zaczął się więc teraz zastanawiać, jakby tu obejrzeć proces, nie pokazując się przy tym sędziemu Gantry'emu. Akurat samo urwanie się ze szkoły było najłatwiejsze.

– No już, sio stąd – powiedział pan Boone. – Idź odrabiać lekcje.

– To na razie.

Na dole drzwi wejściowych strzegła kobieta prawie tak stara jak to biuro. Miała na imię Elsa, a na nazwisko Miller, chociaż o tym drugim wiedział tylko Theo. Mimo swojego wieku, a nikt nie był go do końca pewien, nalegała, żeby wszyscy zwracali się do niej Elsa. Nawet trzynastolatek. Pracowała dla Boone'ów jeszcze długo przed narodzinami Theo. Była recepcjonistką, sekretarką, kierownikiem biura, a kiedy trzeba także asystentką. Zajmowała się bieżącymi sprawami firmy, od czasu do czasu musiała też łagodzić drobne spory i nieporozumienia między mecenasem Boone'em na piętrze, a mecenas Boone na parterze.

Elsa była bardzo ważną osobą w życiu całej trójki Boone'ów. Theo uważał ją za przyjaciela i powiernika.

– Cześć, Elsa – powiedział.

Zatrzymał się przy biurku, żeby ją uściskać.

Zerwała się z krzesła, jak zwykle ożywiona, i mocno objęła Theo. Potem spojrzała na niego i zauważyła:

– Nie miałeś na sobie tej koszulki w piątek?

– Nie. – I faktycznie nie miał.

– Myślę, że miałeś.

– Przepraszam, Elsa. – Często komentowała jego strój, co dla trzynastolatka było dość męczące. Drażniło go, że ktoś mu się ciągle przygląda i robi jakieś uwagi. Kiedy rano ubierał się w pośpiechu, to często myślał właśnie o Elsie. Jeszcze jeden irytujący nawyk, którego nie umiał się pozbyć.

Z kolei o jej strojach krążyły prawdziwe legendy. Była niska i bardzo drobna, „taka, co to może włożyć wszystko” – jak wielokrotnie powtarzała matka. Lubiła obcisłe ubrania w śmiałych kolorach. Dzisiaj włożyła czarne skórzane spodnie, do tego jakiś paskudny zielony sweterek, który Theo skojarzył się ze szparagiem. Krótkie siwe włosy miała błyszczące i nastroszone. Okulary, tak jak zwykle, dopasowała kolorem do reszty stroju – teraz miały zielone oprawki. O Elsie dało się powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest nijaka. Może i dobiegała już siedemdziesiątki, ale nie starzała się z godnością.

– Jest mama? – zapytał Theo.

– Tak, drzwi są otwarte. – Elsa z powrotem usiadła na krześle.

Ruszył do wyjścia.

– Dzwonił jakiś twój kolega.

– Kto?

– Powiedział, że ma na imię Sandy i może tu wpadnie.

– Dzięki.

Poszedł korytarzem. Zatrzymał się pod jednymi z drzwi i przywitał się z Dorothy, sekretarką od spraw nieruchomości, miłą panią równie nudną, jak jej szef siedzący na piętrze. Potem zatrzymał się przy jeszcze jednych drzwiach i przywitał z Vince'em, asystentem kancelarii, który pracował przy sprawach pani Boone.

Kiedy Theo wszedł i usiadł, Marcella Boone rozmawiała właśnie przez telefon. Jej biurko, samo szkło i chromowany metal, było schludne, a większość blatu pozostawała pusta. Spora różnica w stosunku do biurka jej męża. Na schludnym regale z tyłu stały segregatory z aktualnymi sprawami. Wszystko było tu na swoim miejscu – poza butami, które zamiast na nogach, były obok nich. Buty zaś miały obcasy, co jak Theo wiedział, oznaczało, że mama odwiedziła dzisiaj sąd. Włożyła swój strój wyjściowy: spódnicę i żakiet w kolorze burgunda. Zawsze była taka ładna i zadbana, ale gdy wybierała się do sądu, to starała się wyglądać jeszcze lepiej.

– Mężczyźni mogą chodzić jak flejtuchy – powtarzała często. – Ale kobiety muszą wyglądać ładnie. I gdzie tu sprawiedliwość?

Elsa zawsze się z nią zgadzała.

Prawda była taka, że pani Boone lubiła wydawać pieniądze na ubrania i kosmetyki, a pan Boone nie dbał o modę ani nawet o schludny wygląd. Metrykalnie był od niej starszy jedynie o trzy lata, jednak duchem o całą dekadę.

Teraz pani Boone rozmawiała z jakimś sędzią, który wcale się z nią nie zgadzał. Kiedy wreszcie odłożyła słuchawkę, jej nastrój szybko się zmienił.

– Cześć kochanie. Jak ci minął dzień? – zapytała z uśmiechem.

– Super, mamo. A tobie?

– Tak jak zwykle. Było coś ciekawego w szkole?

– Tylko ta wycieczka. Idziesz jutro na rozprawę?

Przecząco pokręciła głową.

– O dziesiątej mam przesłuchanie u sędziego Sanforda. Theo, ja mam za dużo na głowie, żeby tak przesiadywać w sądzie.

– Tata mówił, że już rozmawiał z sędzią Gantrym i dogadali się, żeby trzymać mnie z dala od procesu. Wierzysz w to?

– No, mam nadzieję, że tak zrobił. Szkoła ma pierwszeństwo.

– Mamo, szkoła jest nudna. Lubię tylko dwa przedmioty. Cała reszta to strata czasu.

– Ja bym nie powiedziała, że edukacja to strata czasu.

– Więcej mogę się nauczyć w sali sądowej.

– Może kiedyś jeszcze będziesz miał okazję spędzać tam mnóstwo czasu. Ale na razie skupiamy się na nauce, dobra?

– Myślałem, czy nie zapisać się na jakieś internetowe kursy prawa. Jest taka czaderska strona, daje supermożliwości.

– Theodore, słonko, ty jeszcze nie jesteś gotowy na studia prawnicze. Już o tym rozmawialiśmy. Najpierw gimnazjum, potem liceum, a potem się zastanowimy. Jesteś jeszcze dzieckiem, prawda? Ciesz się tym.

Wzruszył ramionami, nic nie powiedział.

– Teraz idź już odrabiać lekcje.

Zabrzączał jej telefon, a Elsa przełączyła kolejną ważną rozmowę.

– Misiaczku, teraz cię przepraszam, no i proszę, uśmiechnij się – powiedziała pani Boone.

Theo wyszedł z gabinetu. Przeniósł plecak przez pomieszczenie z ksero, jak zwykle zabałaganione, i przecisnął się przez dwa magazyny zapchane wielkimi pudłami starych akt.

Był pewien, że jest w Strattenburgu jedynym gimnazjalistą, który ma własne biuro prawne. Mieściło się w małej, ciasnej komórce, którą wiele dziesięcioleci temu ktoś dobudował do głównego gmachu. Zanim Theo wszedł w jej posiadanie, trzymano tam stare książki prawnicze. Za biurko

służył mu stolik karciany, nie aż tak schludny jak biurko matki, ale i tak utrzymywał na nim większy porządek niż jego ojciec. Jako fotel służyło mu zdezelowane krzesło obrotowe, które uratował ze stosu gratów do wyrzucenia, gdy rodzice przemeblowywali bibliotekę mieszczącą się tuż obok pokoju Elsy.

W fotelu rozsiadł się teraz pies. Sędzia każdy dzień spędzał w kancelarii, spał tam albo przemykał cichaczem, starając się unikać ludzi, bo zawsze byli tacy zabiegani i ciągle wyrzucali go z różnych spotkań. Po południu wracał do gabinetu Theo, wdrapywał się na jego krzesło i czekał.

– Cześć, Sędzia – powiedział Theo, głaszcząc go po łbie. – Byłeś dzisiaj zarobiony?

Sędzia zeskoczył na podłogę, merdając ogonem, tak jak na bardzo szczęśliwego psa przystało. Theo usadowił się w fotelu, plecak położył na biurku. Rozejrzał się po pokoju. Na jednej ze ścian wisiał duży plakat Twinsów z harmonogramem ich meczów w tym sezonie. Z tego, co Theo wiedział, był jedynym fanem Twinsów w mieście. Minnesota leżała tysiące kilometrów stąd i nigdy tam nie był. Wybrał sobie tę drużynę, bo w Strattenburgu nikt inny jej nie kibicował. Zdecydował się na Twinsów już lata temu i trwał przy nich wiernie, jednak ta wierność była wystawiana na próbę przez cały długi sezon rozgrywek.

Na drugiej ścianie wisiał duży rysunek, karykatura prawnika Theo Boone'a, w garniturze, pod krawatem, stojącego w sądzie. O włos od głowy przelatywał mu sędziowski młotek, a podpis pod rysunkiem brzmiał: „Wniosek uchylony!” Na drugim planie widać było przysięgłych zanoszących się od śmiechu. W dolnym prawym rogu widniał nagryzmołony podpis autora: „April Finnemore”. Podarowała mu ten obrazek rok temu na urodziny. Jej marzeniem było uciec kiedyś do Paryża i resztę życia spędzić, szkicując i malując uliczne scenki.

Drzwi prowadziły na mały ganek, wychodzący na wysypane żwirem podwórko, którego używano jako parkingu.

Theo jak zwykle rozpakował plecak i wziął się do odrabiania lekcji, a musiał to skończyć przed kolacją zgodnie z dosyć sztywną regułą, ustanowioną przez rodziców, kiedy jeszcze chodził do pierwszej klasy. Astma nie pozwalała mu uprawiać sportów zespołowych, ale tym samym zapewniła mu same piątki w szkole. Po latach niechętnie pogodził się z tym, że sukcesy w nauce stanowią całkiem niezłą rekompensatę wszystkich straconych meczów. Mógł jednak grać w golfa. Razem z ojcem co sobota, o dziesiątej rano, chwyтали więc golfowe kije.

Rozległo się pukanie do tylnych drzwi. Sędzia, który wylegiwał się pod biurkiem, zawarczał cicho.

Sandy Coe też chodził do ostatniej klasy gimnazjum, ale o innym profilu. Theo znał go, chociaż niezbyt dobrze. To był taki miły chłopiec, który rzadko się odzywał. Teraz chciał porozmawiać, więc Theo zaprosił go do swojego gabinetu. Sandy usiadł na składanym krześle, jedynym miejscu do siedzenia poza fotelem. Theo zawsze trzymał je w kącie. Kiedy usadowili się już obaj, w pokoju zrobiło się ciasno.

– Możemy tutaj rozmawiać swobodnie? – zapytał Sandy. Wydawał się zawstydzony i zdenerwowany.

– Jasne. O co chodzi?

– Chyba potrzebuję porady. Nie jestem całkiem pewien, ale muszę z kimś porozmawiać.

Theo, rasowy doradca, oznajmił:

– Zapewniam cię, że cokolwiek powiesz, pozostanie między nami.

– To dobrze. No więc, mój tata kilka miesięcy temu stracił pracę i w domu jest teraz bardzo źle. – Umilkł, czekał, aż Theo coś powie.

– Przykro mi.

– Wczoraj wieczorem rodzice mieli w kuchni poważną rozmowę. Nie powinienem jej słuchać, ale nie mogłem się powstrzymać. Czy wiesz, co to znaczy „zajęcie majątku”?

– Tak.

– Co to jest?

– Dzisiaj to się często zdarza. To znaczy, że ktoś ma dom, nie może spłacać rat kredytu hipotecznego i bank chce przejąć ten dom.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Dobra. To wygląda tak. – Theo chwycił plecak i położył na środku biurka. – Powiedzmy, że to jest dom, a ty chcesz go kupić. Umawiasz się, że będziesz płacił bankowi, powiedzmy, pięćset dolarów miesięcznie przez trzydzieści lat.

– Trzydzieści lat?

– Tak. Tak jest w typowej umowie. Bank bierze dodatkową opłatę za udzielenie pożyczki, to się nazywa odsetki, więc co miesiąc spłacasz część tych pięciuset dolarów plus kawałek odsetek. To jest dobry układ dla wszystkich. Ty masz ten dom, który chcesz, a bank zarabia na odsetkach. Wszystko gra, dopóki coś się nie stanie i okaże się, że nie możesz zapłacić comiesięcznej raty.

– Co to jest „kredyt hipoteczny”?

– Taki właśnie układ nazywa się kredytem hipotecznym. Bank ma prawo do twojego domu, dopóki nie spłacisz długu. Jeśli nie możesz co miesiąc spłacać raty, bank ma prawo zająć ci dom. Bank cię wtedy z niego wyrzuca i bierze go na własność. To się właśnie nazywa „zajęcie majątku”.

Położył podręcznik na papierowej torebce i go wygładził.

– Moja mama płakała, jak mówili o wyprowadzce. Mieszkamy tam, od kiedy się urodziłem.

Theo rozłożył i włączył laptop.

– To jest okropne – powiedział. – I często się teraz zdarza.
Sandy opuścił głowę, wyglądał na kompletnie załamane.

– Jak się nazywa twój tata?

– Thomas. Thomas Coe.

– A twoja mama?

– Evelyn.

Theo wstukał dane.

– A jaki jest wasz adres?

– Bennington 1814.

Znowu stukanie w klawisze. Poczekali chwilę, a potem Theo powiedział:

– O rany. Ten bank to Security Trust na Main Street. Czternaście lat temu twoi rodzice pożyczili sto dwadzieścia tysięcy na trzydzieści lat. Od czterech miesięcy nie wpłacali comiesięcznej raty kredytu.

– Od czterech miesięcy?

– No.

– I to wszystko jest w sieci?

– Tak, ale nie każdy umie to znaleźć.

– A jak ty to znalazłeś?

– Są sposoby. Wiele kancelarii prawnych opłaca dostęp do określonych danych. A poza tym wiem, jak pogrzebać nieco głębiej.

Sandy przygarbił się jeszcze bardziej i pokręcił głową.

– Czyli że stracimy dom?

– Nie do końca.

– O czym ty mówisz? Mój tata przecież nie ma pracy.

– Jest taki sposób na powstrzymanie zajęcia majątku, takie jakby zablokowanie banku, co pozwoli zachować dom jeszcze przez jakiś czas, dopóki twój tata nie znajdzie nowej pracy.

Sandy wyglądał na zupełnie oszołomionego.

- Słyszałeś kiedyś o bankructwie? – zapytał Theo.
 - Myślę, że tak, ale nie rozumiem, o co w tym chodzi.
 - Nie macie innego wyboru. Twoi rodzice mogą być zmuszeni do ogłoszenia bankructwa osobistego. To znaczy, że wynajmują prawnika, który w ich imieniu składa w sądzie dokumenty stwierdzające bankructwo.
 - Ile kosztuje taki prawnik?
 - Na razie tym się nie martw. Ważne, żeby się w ogóle zobaczyć z jakimś prawnikiem.
 - Ty nie możesz tego zrobić?
 - Niestety. A moi rodzice nie są specjalistami od bankructw. Ale tak ze dwa budynki stąd jest taki facet, Steve Mazingo, i jest w tym bardzo dobry. Moi rodzice podsyłają mu klientów. Bardzo go lubią.
- Sandy zanotował sobie jego nazwisko.
- I myślisz, że możemy zatrzymać dom?
 - Tak, ale twoi rodzice muszą się zobaczyć z tym facetem tak szybko, jak się tylko da.
 - Dzięki, Theo. Nie wiem, co mam powiedzieć.
 - Spoko. Cieszę się, że mogłem pomóc.
- Sandy wyszedł szybko, a gdyby tylko mógł, to od razu sprintem popędziłby do domu z dobrymi nowinami. Theo patrzył, jak wsiada na rower i znika za parkingiem.
- Kolejny zadowolony klient.

ROZDZIAŁ 4

Za kwadrans piąta pani Boone weszła do gabinetu syna ze skoroszytem w jednym ręku i jakimś dokumentem w drugiej.

– Theo – powiedziała, okulary do czytania miała opuszczone do połowy nosa. – Mógłbyś jeszcze przed piątą zanieść to do sądu rodzinnego i dać im do akt?

– Jasne, mamó.

Theo od razu się poderwał i sięgnął po plecak. Właśnie liczył na to, że w kancelarii znajdzie się ktoś, kto akurat będzie chciał, żeby pójść z czymś do sądu.

– Odrobiłeś już lekcje, prawda?

– Tak, nie miałem dużo.

– Dobrze. A dzisiaj jest poniedziałek. Odwiedzisz Ike'a, prawda? To wiele dla niego znaczy.

W każdy poniedziałek matka przypominała Theo, że dziś jest właśnie poniedziałek. To oznaczało dwie rzeczy: po pierwsze, spodziewała się, że syn spędzi co najmniej pół godziny u Ike'a, a po drugie, że kolacja odbędzie się we włoskiej restauracji Robilio. Wizyta w Robilio była znacznie przyjemniejsza od odwiedzin u Ike'a.

– Dobrze, mamó – odparł, otwierając drzwi. Wyjaśnił Sędziemu, że wróci za kilka minut.

Kolacja zawsze była o siódmej. Kiedy jedli w domu, co rzadko się zdarzało, bo mama nie lubiła gotować, to jedli o siódmej. Kiedy gdzieś wychodzili, też jedli o siódmej. Kiedy byli na wakacjach, również o

siódmej. Gdy odwiedzali znajomych, nie mogli być tak bezczelni, żeby mówić im, kiedy ma być kolacja, ale kiedy wszyscy już się dowiedzieli, jak bardzo dla rodziny Boone'ów ważna jest godzina siódma, zwykle się do nich dopasowywali. Od czasu do czasu, gdy Theo zasiedział się u kolegi, wyjeżdżał pod namiot albo z jakiegokolwiek innego powodu opuszczał miasto, to z wielką przyjemnością jadł kolację przed albo po siódmej.

Pięć minut później Theo zostawił rower na stojaku i zapiął łańcuch. Sąd rodzinny mieścił się na drugim piętrze, zaraz obok wydziału spadkowego, naprzeciwko wydziału karnego. W budynku znajdowało się jeszcze wiele innych wydziałów: ruchu drogowego, ksiąg wieczystych, sąd grodzki, wydział narkotykowy, wydział do spraw zwierząt, gospodarczy – a przypuszczalnie jeszcze z jeden czy dwa, których Theo do tej pory nie odkrył.

Miał nadzieję, że zastanie April, ale już jej nie było. Sąd opustoszał. Po korytarzach nikt się nie przechadzał.

Otworzył przeszkłone drzwi do recepcji. Piękna Jenny już czekała.

– Cześć, Theo – powiedziała z szerokim uśmiechem, spoglądając na niego sponad komputera na długim kontuarze.

– Cześć, Jenny – odpowiedział.

Była taka młoda i piękna. Theo był w niej zakochany. Gdyby tylko mógł, ożeniłby się z nią choćby jutro, jednak sprawę komplikowały jej wiek i mąż. Zresztą spodziewała się dziecka, co martwiło Theo, chociaż nikomu o tym nie mówił.

– To od mojej matki – powiedział, wręczając papiery.

Jenny wzięła je, przeglądała przez chwilę, a potem oznajmiła:

– Rety, rety, znowu rozwody.

Theo tylko na nią patrzył.

Przybiła pieczętę, naskrobała coś i zajęła się oficjalnym przyjmowaniem dokumentów. Theo tylko na nią patrzył.

– Idziesz jutro na rozprawę? – zapytał w końcu.

– Mogłabym się wśliznąć, jakbym tylko zdołała się wyrwać. A ty?

– Ja tak. Nie mogę się już doczekać.

– Zapowiada się ciekawie.

Pochylił się nieco bliżej i zapytał:

– Myślisz, że jest winny?

Jenny też nachyliła się ku niemu, nawet jeszcze bliżej, i rozejrzała wokół, jakby wymieniali ważne sekrety.

– Jestem tego pewna. A ty?

– No wiesz, obowiązuje zasada domniemania niewinności.

– Theo, za dużo czasu spędzasz, włóczęc się po kancelariach. Pytam się, co ty sam myślisz, oczywiście tak nieoficjalnie.

– Myślę, że jest winny.

– Pewnie się niedługo przekonamy, prawda? – Posłała mu przelotny uśmiech, potem odwróciła się, żeby dokończyć pracę.

– Jenny, ta rozprawa rano, sprawa Finnemore'ów, chyba już się skończyła?

Rozejrzała się wokół podejrzliwie, jak gdyby nie wolno im było rozmawiać o trwającym procesie.

– Sędzia Sanford zarządził przerwę dzisiaj o czwartej po południu, proces będzie kontynuowany jutro rano.

– Byłaś w sali sądowej?

– Nie, Theo. Dlaczego pytasz?

– Chodzę do szkoły z April Finnemore. To jej rodzice się rozwodzą. Jestem po prostu ciekawy.

– Widzę – powiedziała, ze smutkiem marszcząc brwi.

Theo tylko na nią patrzył.

– No dobrze, Theo, na razie.

Sala sądowa na końcu korytarza była zamknięta. Przy głównym wejściu stał strażnik bez broni, w przyciasnym, wyblakłym mundurze. Theo znał wszystkich strażników, a ten, pan Gossett, był jednym z najbardziej niemiłych. Pan Boone wyjaśnił kiedyś, że strażnikami sądowymi zostają zwykle starsi i trochę zniedołężniali policjanci zbliżający się już do emerytury. Dostają nowy tytuł „woźnych” i przydziela się ich do sądu, tam gdzie jest nudniej i bezpieczniej niż na ulicy.

– Cześć, Theo – powiedział pan Gossett bez uśmiechu.

– Witam, panie Gossett.

– Co cię tu przyniosło?

– Załatwiam różne sprawy dla rodziców.

– To wszystko?

– Tak, proszę pana.

– A czy ty na pewno teraz tutaj nie węszysz, żeby zobaczyć, czy sala rozpraw jest już gotowa na ten jutrzejszy duży proces?

– To też.

– Tak właśnie myślałem. Dzisiaj był tu spory ruch. Właśnie wyszli ludzie z telewizji. Powinno być ciekawie.

– Pracuje pan jutro?

– Oczywiście, że jutro pracuję – powiedział pan Gossett i nieco wypiął pierś, jakby ten proces nie mógł się odbyć bez niego. – Będzie dużo ochrony.

– Dlaczego? – zapytał Theo, chociaż wiedział. Pan Gossett uważał, że dobrze zna się na prawie, że wchłonął sporo prawniczej wiedzy, wysiadując na różnych procesach i przesłuchaniach (często na wpół przy tym drzemiąc). I podobnie jak wielu ludzi, którzy wiedzą mniej, niż sądzą, że

wiedzą, chętnie dzielił się swoimi spostrzeżeniami z gorzej poinformowanymi.

Zerknął na zegarek, jakby musiał trzymać się jakiegoś sztywnego harmonogramu.

– To proces o zabójstwo, duży proces – stwierdził poważnym tonem. No bez żartów, pomyślał Theo. – A procesy o zabójstwo przyciągają różnych ludzi, którzy mogą stanowić zagrożenie.

– Na przykład kto?

– No, Theo, zaraz ci to wytłumaczę. Przy każdym morderstwie jest ofiara, a ta ofiara ma przyjaciół i rodzinę, i ci ludzie, oczywiście, nie są zadowoleni z tego, że ofiarę zamordowano. Nadążasz za mną?

– Jasne.

– I jest jeszcze oskarżony. W tym przypadku to pan Duffy, który twierdzi, że jest niewinny. Oczywiście, oni zawsze tak mówią, ale przyjmijmy, że nie jest winny. Jeśli to prawda, to prawdziwy zabójca wciąż pozostaje na wolności. Może go interesować ten proces. – Pan Gossett rozejrzał wokół podejrzliwie, jak gdyby prawdziwy morderca czaił się tuż obok i mógł zaraz zaatakować.

Theo o mało nie zapytał: A dlaczego prawdziwy morderca miałby ryzykować i przychodzić na proces? Co by tam zrobił? Zabił jeszcze kogoś? W sądzie? Na oczach dziesiątek świadków?

– Rozumiem – powiedział Theo. – Lepiej bądźcie ostrożni.

– Wszystko pod kontrolą.

– Do zobaczenia jutro rano.

– Będziesz tutaj?

– Jasne.

Pan Gossett pokręcił głową.

– Nie sądzę, Theo. Będzie tłum ludzi. Nie znajdziesz wolnego miejsca.

– Ale już rano rozmawiałem z sędzią Gantrym. Obiecał, że zarezerwuje mi świetne miejsca.

Theo odwrócił się do wyjścia.

Pan Gossett nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

Ike był stryjem Theo, starszym bratem Woodsa Boone'a. Razem z rodzicami Theo założył kancelarię Boone & Boone jeszcze przed narodzinami chłopca. Jako jeden z niewielu prawników w mieście specjalizował się w podatkach. Ze skąpych informacji, jakie zdobył Theo, wynikało, że cała trójka pracowała z przyjemnością i pożytkiem aż do czasu, gdy Ike zrobił coś złego. Bardzo złego. Tak bardzo złego, że zakazano mu uprawiania zawodu. Kilka razy wypytywał rodziców, co to było, ale nie chcieli podawać żadnych szczegółów. Twierdzili, że nie chcą o tym rozmawiać. Albo że wszystko wyjaśnią, jak tylko będzie na tyle duży, by to zrozumieć.

Ike nadal zajmował się podatkami, ale już tylko pomniejszych sprawami. Nie był ani prawnikiem, ani księgowym. Musiał jednak z czegoś żyć, dlatego teraz przygotowywał zeznania podatkowe dla pojedynczych osób i małych firm. Miał biuro na piętrze starej kamienicy w śródmieściu. Na parterze greckie małżeństwo prowadziło delikatesy. Ike zajmował się ich podatkami i w ramach wynagrodzenia dostawał darmowy lunch pięć razy w tygodniu.

Kiedy stracił uprawnienia, rozwiodła się z nim żona. Był samotny, dosyć niesympatyczny, więc Theo nie zawsze miał ochotę, by odwiedzać go w każde poniedziałkowe popołudnie. Jednak Ike należał do rodziny, co zdaniem rodziców miało bardzo duże znaczenie, nawet jeśli sami prawie się z nim nie widywali.

– Cześć, Theo – zawołał Ike, gdy Theo otworzył drzwi podłużnego, zagraconego pokoju i wszedł do środka.

– Cześć, Ike. – Chociaż stryj był starszy od ojca Theo, nalegał, żeby mówić mu po imieniu. Tak jak u Elsy, stanowiło to część jego wysiłków, aby pozostać młodym. Miał na sobie sprane dżinsy, sandały, podkoszulek z reklamą piwa, a na lewym nadgarstku kilka koralikowych bransoletek. Długie potargane, siwe włosy zebrał z tyłu w kucyk.

Ike siedział przy szerokim biurku zawalonym aktami. Z głośników stereo cicho sączyła się muzyka zespołu Grateful Dead. Na ścianach wisiały tanie kolorowe obrazki.

Z tego, co opowiadał pan Boone, zanim Ike wpadł w tarapaty, był typowym korporacyjnym specjalistą od podatków, zapiętym na ostatni guzik i ubranym w ciemny garnitur. Teraz jednak pozował na starego hipisa, wobec wszystkiego nastawionego „anty”, prawdziwego buntownika.

– Jak tam mój ulubiony bratanek? – zapytał, kiedy Theo usadowił się na krześle po drugiej stronie stołu.

– Świetnie. – Theo był jego jedynym bratankiem. – A co tam u ciebie?

Ike machnął ręką ku papierom zaścielającym biurko.

– Po staremu – powiedział. – Rozwiązywanie problemów z pieniędzmi ludzi bez pieniędzy. Co słychać w Boone & Boone?

– Też po staremu. – Chociaż dzieliły ich tylko cztery przecznice, Ike rzadko widywał się z rodzicami Theo. Byli sobie życzliwi, ale mieli skomplikowaną przeszłość.

– Jak idzie w szkole?

– Świetnie.

– Same piątki?

– Tak. No, może piątka z minusem z chemii.

– Spodziewałem się całych piątek.

Tak jak wszyscy, pomyślał Theo. Nie wiedział, dlaczego Ike uważa, że ma jakieś prawo do tego, aby wyrażać swoją opinię o jego stopniach,

jednak uznał, że chyba właśnie tacy są już stryjowie. Rodzice mówili, że Ike bardzo dobrze się uczył i skończył college w trzy lata.

– U twojej matki wszystko w porządku?

– U mamy wszystko gra, ciężko pracuje. – Ike nigdy nie pytał o pana Boone'a.

– Pewnie jesteś podekscytowany jutrzejszym procesem.

– Tak. Pójdziemy do sądu na WOS–ie. Będziemy tam cały dzień. A ty idziesz? – zapytał, chociaż znał odpowiedź.

Ike parsknął z odrazą.

– Nie. Ja dobrowolnie nie chodzę do sądu. Poza tym mam za dużo pracy. Typowy Boone.

– Ja już nie mogę się doczekać – odpowiedział Theo.

– Czyli wciąż chcesz zostać prawnikiem, takim wspaniałym prawnikiem sądowym?

– A co w tym złego?

– No myślę, że nic. – Rozmawiali tak co tydzień. Ike chciał, żeby Theo został architektem albo artystą, kimś twórczym. – Większość dzieciaków marzy o byciu policjantem, strażakiem, wielkim sportowcem albo aktorem. Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś aż tak opętanego pomysłem, żeby zostać prawnikiem.

– Każdy chce kimś być.

– Domyślam się. A ten adwokat, Clifford Nance, jest bardzo dobry. Widziałeś go w akcji?

– Nie na dużym procesie. Widziałem w sali sądowej, jak składał wnioski i takie tam, ale nie na procesie.

– Kiedyś dobrze znałem Clifforda. Wiele lat temu. Mogę się założyć, że wygra.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jasne. Z tego, co wiem, oskarżenie ma wątplę podstawy. – Chociaż Ike się nie przyznawał, to uważnie słuchał sądowych plotek. Ojciec Theo podejrzewał, że informacje uzyskiwał na cotygodniowym pokerze z grupą byłych prawników.

– Tak naprawdę nie ma żadnego dowodu na to, że pan Duffy zabił żonę – powiedział Ike. – Oskarżyciel może podać solidny motyw i wzbudzić trochę podejrzeń, ale nic poza tym.

– Jaki motyw? – zapytał Theo, chociaż myślał, że zna odpowiedź. Chciał tylko sprawdzić, co wie Ike albo co chce mu powiedzieć.

– Pieniądze. Milion dolarów. Dwa lata temu pan Duffy wykupił ubezpieczenie na życie żony w wysokości miliona dolarów. W razie jej śmierci zgarnia milion. Interesy nie szły mu dobrze. Potrzebował pieniędzy, więc teoretycznie mógł wziąć sprawy w swoje ręce. Dosłownie.

– Udusił ją? – Theo przeczytał wszystko o tym morderstwie i znał przyczynę zgonu.

– Taka jest teoria. Umarła na skutek uduszenia. Prokurator będzie przekonywał, że pan Duffy ją udusił, przetrząsnął dom, zabrał jej biżuterię i postarał się, żeby wszystko wyglądało tak, jakby przyłapała włamywacza.

– A co pan Nancy będzie próbował udowodnić?

– On nie musi niczego udowadniać, jednak będzie argumentował, że nie ma żadnego dowodu na to, że pan Duffy był na miejscu zbrodni. Z tego, co wiem, nie ma świadka, który mógłby stwierdzić, że tam był. To dla oskarżenia bardzo duży problem.

– Myślisz, że jest winny?

Ike strzelił co najmniej ośmioma palcami i splótł dłonie za głową. Zastanawiał się przez chwilę, a potem oznajmił:

– Przypuszczalnie tak. Mogę się założyć, że Duffy zaplanował to wszystko bardzo starannie i że poszło dokładnie tak, jak chciał. Ci ludzie

spod miasta czasem robią dziwne rzeczy.

„Tymi ludźmi” byli mieszkańcy Waverly Creek, luksusowego strzeżonego osiedla zbudowanego wokół pola golfowego o dwudziestu siedmiu dołkach. Nowi mieszkańcy, w przeciwieństwie do tych bardziej zakorzenionych, z właściwej części miasta i uznających się za jedynych prawdziwych obywateli Strattenburga. Często się mówiło: „oni mieszkają pod miastem, w Creek”, i zazwyczaj chodziło wtedy o ludzi niewiele wnoszących do życia społeczności i zbyt skupiających się na pieniądzu. Zdaniem Theo taki podział był raczej bez sensu. Sam miał w Waverly Creek kilku przyjaciół. Jego rodzice mieli tam klientów. Osiedle leżało tylko cztery kilometry od centrum, a jednak traktowano je jak jakąś inną planetę.

Pani Boone powiedziała kiedyś, że ludzie z małych miast za dużo czasu spędzają na patrzeniu na innych z góry albo z dołu. Od małego uczyła syna, że nie wolno oceniać innych.

Rozmowa zeszła na bejsbol i oczywiście na drużynę Yankees. Ike był jej zażartym fanem, bardzo chętnie cytował statystyki ulubionych graczy. Chociaż dopiero co zaczął się kwiecień, już przepowiadał, kto wygra najbliższe World Series. Theo jak zwykle próbował z nim dyskutować, ale jako fanowi Twinsów szybko zabrakło mu argumentów.

Gdy minęło pół godziny, wyszedł, obiecując, że zajrzy za tydzień.

– Popraw te stopnie z chemii – surowo polecił Ike.

ROZDZIAŁ 5

Sędzia Henry Gantry pociągnął za prawy rękaw czarnej togi, aby materiał porządnie się ułożył, następnie wszedł przez wielkie dębowe drzwi i skierował się ku ławie sędziowskiej.

– Proszę wstać, Sąd idzie – krzyknął woźny.

Wszyscy – widzowie, ławnicy, prawnicy, kanceliści, każdy uczestnik procesu – jak jeden mąż zerwali się z miejsc. Kiedy sędzia Gantry usadowił się już na przypominającym tron krześle, woźny szybko wyrecytował zwyczajową formułę:

– Ogłaszam otwarcie posiedzenia sądu dystryktu dziesiątego, pod przewodnictwem sędziego Henry'ego Gantry'ego. Proszę o przedstawienie sprawy. Niech Bóg pobłogosławi temu sądowi.

– Proszę usiąść – głośno polecił sędzia Gantry, mówiąc do ustawionego przed sobą mikrofonu. Tłum, który tak posłusznie gwałtownie się poderwał, teraz tak samo zgodnie usiadł na miejscach. Krzesła zaskrzypiały. Ławy zatrzęszczały. Na nowo ułożono torebki i aktówki i dwieście osób jakby jednocześnie odetchnęło. A potem zrobiło się cicho.

Sędzia Gantry omiół wzrokiem salę rozpraw. Tak, jak się spodziewał, była wypełniona po brzegi.

– No, widzę, że mamy dzisiaj spore zainteresowanie – powiedział. – Dziękuję państwu za przybycie.

Zerknął na balkon, spojrzął na Theo Boone'a, potem uśmiechnął się na widok jego zastygłych w skupieniu kolegów z klasy.

– Stronami w tej sprawie są władze stanu przeciwko panu Peterowi Duffy'emu. Czy przedstawiciele stanu są gotowi?

Jack Hogan, oskarżyciel, wstał i odpowiedział:

– Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia Gantry obrócił się w prawo i spojrzał na ławę przysięgłych.

– Panie i panowie przysięgli – powiedział – wybrano was w zeszłym tygodniu, a ja przekazałem wam szczegółowe instrukcje, aby z nikim nie omawiać rozpatrywanej przez nas sprawy. Uczuliłem państwa, że jeśli ktokolwiek będzie chciał rozmawiać z wami na ten temat, należy mi to zgłosić. Teraz pytam więc, czy coś takiego się wydarzyło? Czy ktokolwiek kontaktował się z kimkolwiek z państwa w związku z rozprawą?

Wszyscy przysięgli zaprzeczyli, kręcąc głowami.

– Dobrze. Nie ma więc żadnych przeszkód, aby zacząć proces. Na tym etapie rozprawy obie strony będą miały możliwość zwrócenia się bezpośrednio do państwa i ogłoszenia tego, co nazywa się oświadczeniem wstępnym. Nie jest to przedstawienie dowodów, ale tylko przedstawieniem przez każdą ze stron jej wersji wydarzeń. W związku z tym, że to na władzach stanu spoczywa obowiązek udowodnienia winy, przedstawiciel stanu zawsze będzie się wypowiadał pierwszy. Panie Hogan, czy jest pan gotowy do wystąpienia?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Udzielam panu głosu.

Theo nie dał dziś rady zjeść śniadania i był niewyspany. Wielokrotnie czytał o sportowcach, którzy przed ważnym meczem nie mogli jeść ani zasnąć ze zdenerwowania. Przegrywali z tremą i skurczami żołądka spowodowanymi strachem i presją. Theo bez wątplenia czuł presję. Atmosfera w sali rozpraw była ciężka i napięta. Chociaż Theo był tu jedynie widzem, miał tremę. Właśnie zaczynał się naprawdę ważny mecz.

Pan Hogan był doświadczonym oskarżycielem. Miał już za sobą wiele poważnych rozpraw w strattenburskim sądzie. Był wysoki, żylasty, łysy, zawsze w czarnym garniturze. Za plecami żartowano na temat tych jego czarnych garniturów. Nikt nie wiedział, czy ma tylko jeden, czy też kilkanaście. Rzadko się uśmiechał, ale zaczął przemowę od przyjaznego „dzień dobry”, następnie przedstawił siebie i dwóch podległych mu prokuratorów. I tak, z wdziękiem, przełamał pierwsze lody.

Potem zajął się sprawą. Przedstawił ofiarę, Myrę Duffy, pokazując przysięgłym jej duży barwny portret.

– Kiedy ją zamordowano, miała tylko czterdzieści sześć lat – stwierdził ponuro. – Była matką dwóch synów, Willa i Clarka, obaj są studentami college'u. Chciałbym, aby teraz wstali. – Wskazał pierwszy rząd, dokładnie za stołem oskarżenia. Dwaj młodzi mężczyźni niezgrabnie podnieśli się z miejsc i spojrzeli na ławę przysięgłych.

Theo wiedział z gazet, że ich ojciec, pierwszy mąż ofiary, zginął w katastrofie samolotowej, kiedy byli jeszcze mali. Pan Duffy był drugim mężem Myry, a ona jego drugą żoną.

Ludzie mówili, że ci „stamtąd, z Creek” często brali ślub kilka razy w życiu.

Pan Hogan opisał zbrodnię. Panią Duffy znaleziono w sypialni dużego, nowoczesnego domu, w którym mieszkała razem z mężem. To był nowy dom, stał w zagajniku przylegającym do pola golfowego. Zza tych wszystkich drzew ledwie można go było dojrzeć z ulicy, podobnie jak większość domów w Waverly Creek. Ludzie stamtąd cenili sobie prywatność.

Kiedy znaleziono ciało pani Duffy, drzwi wejściowe nie były zamknięte na zamek i były uchylone. Systemy alarmowe znajdowały się w stanie czuwania. Ktoś zabrał biżuterię z szafy pani Duffy, kolekcję starych

zegarków jej męża i trzy pistolety z szuflady przy telewizorze w małym pokoju. Wartość wszystkich skradzionych przedmiotów szacowano na około trzydzieści tysięcy dolarów.

Ustalono, że przyczyną zgonu było uduszenie. Za pozwoleniem sędziego Gantry'ego pan Hogan podszedł do projektora i wcisnął guzik. Na ekranie naprzeciwko ławy przysięgłych pojawiło się duże, kolorowe zdjęcie. Widać było na nim panią Duffy, która leżała na dywanie, starannie ubrana, pozornie nietknięta. Na stopach wciąż miała pantofle z wysokimi obcasami. Pan Hogan wyjaśnił, że w dzień zabójstwa umówiła się z siostrą na lunch. Najwyraźniej, kiedy ją napadnięto i zabito, była już gotowa do wyjścia.

Morderca przetrząsnął dom, wziął brakujące przedmioty, potem wyszedł. Siostra pani Duffy zaczęła wydzwaniać na jej komórkę – dziesięć prób połączenia w ciągu dwóch godzin – aż w końcu tak bardzo się zaniepokoiła, że sama pojechała do Waverly Creek i znalazła siostrę. Jak na miejsce zbrodni, wszystko wyglądało dosyć spokojnie. Ofiara mogła po prostu zemdleć. Początkowo siostra pani Duffy i policja sądzili, że zmarła na atak serca, z powodu wylewu lub z innych przyczyn naturalnych. Jednak gdy wzięto pod uwagę jej wiek, kondycję fizyczną oraz brak doświadczeń z narkotykami, szybko nabrano podejrzeń. Sekcja zwłok wykazała prawdziwą przyczynę zgonu. Zabójca pani Duffy złapał ją od tyłu i mocno ścisnął tętnicę szyjną. Pan Hogan przyłożył palce do własnej tętnicy, z prawej strony szyi.

– Dziesięć sekund ucisku w odpowiednim miejscu i traci się przytomność – wyjaśnił. – Potem odczekał chwilę, a wszyscy zamarli, patrząc, czy zaraz sam nie pozbawi się przytomności, tutaj, w sali sądowej. Jednak nic takiego się nie stało.

– Kiedy pani Duffy już zemdląca – kontynuował – jej zabójca uciskał w dalszym ciągu, coraz mocniej i mocniej, i sześćdziesiąt sekund później już

nie żyła. Brak śladów walki, połamanych paznokci, zadrapań, nie ma nic. A dlaczego? Bo pani Duffy знаła człowieka, który ją zamordował.

Pan Hogan odwrócił się gwałtownie i spojrzał na pana Duffy'ego, który siedział między Cliffordem Nance'em oraz drugim adwokatem.

– Znała go, ponieważ za niego wyszła.

Nastąpiła długa chwila przytłaczającej ciszy, kiedy cała sala spojrzała na pana Duffy'ego. Theo oglądał tył jego głowy, a bardzo chciałby teraz zobaczyć jego twarz.

Pan Hogan kontynuował:

– Był w stanie podejść tak blisko, bo mu ufała.

Oskarżyciel stanął obok projektora i wyświetlił kolejne fotografie. Korzystając z nich, zaprezentował całe miejsce zbrodni – wnętrze domu, drzwi wejściowe, drzwi tarasu, niedalekie pole golfowe. Pokazał zdjęcie głównej bramy osiedla Waverly Creek, z ciężką furtką, budką strażnika i monitorującymi kamerami. Wyjaśnił, że jest wysoce nieprawdopodobne, aby jakiś intruz, nawet sprytny, zdołał ominąć takie zabezpieczenia. Chyba że, oczywiście, ten intruz tak naprawdę nie był żadnym intruzem i też tam mieszkał.

Żaden z sąsiadów nie widział, aby spod domu Duffych odjeżdżał jakiś obcy pojazd. Nikt nie widział żadnej obcej osoby przechadzającej się po ulicy albo wychodzącej z budynku. Nie doniesiono również o żadnym nietypowym zdarzeniu. W ciągu ostatnich sześciu lat w Waverly Creek doszło tylko do dwóch włamań. Na tym spokojnym osiedlu praktycznie nie zdarzały się przestępstwa.

W dzień zabójstwa pan Duffy grał w golfa, co robił prawie co czwartek. Zgodnie z zapisem z komputera w klubie golfowym zaczął o jedenastej dziesiątej. Był na polu sam, w czym nie było nic dziwnego, i jak zwykle używał własnego elektrycznego wózka golfowego. Pracownikowi

obsługującemu pole oznajmił, że zamierza grać do osiemnastu dołków, Dziewiątki Północnej i Dziewiątki Południowej, dwóch najpopularniejszych tras.

Dom Duffych graniczył z szóstą aleją pola Creek, taką mniejszą, wybieraną zwykle przez panie.

Pan Duffy traktował golfa poważnie – zawsze liczył punkty i nie oszukiwał. Samotna gra z osiemnastoma dołkami zwykle zajmowała około trzech godzin. Dzień był pochmurny, chłodny i wietrzny. Taka pogoda większość ludzi zniechęcałaby do golfa. Oprócz czwórki osób, które zaczęły o dziesiątej dwadzieścia, o jedenastej dziesięć przy żadnym z trzech ciągów dołków nie grał nikt inny. Następne cztery osoby przyszły o pierwszej czterdzieści po południu.

Siostra pani Duffy natychmiast zadzwoniła pod 911. Jej zgłoszenie zarejestrowano o drugiej czternaście po południu. Sekcja zwłok określiła czas zgonu na około jedenastą czterdzieści pięć.

Korzystając z pomocy asystenta, pan Hogan ustawił duży plan osiedla Waverly Creek. Umieszczono na nim trzy trasy golfowe, klub golfowy, strzelnicę golfową, korty tenisowe i inne ważne miejsca. Następnie Hogan wskazał przysięgłym dom Duffych, nieopodal pola Creek. Zgodnie z tym, co twierdzono, pan Duffy, w chwili gdy zamordowano żonę, miał być przy czwartym albo piątym dołku Dziewiątki Północnej. Jadąc takim wózkiem, jaki miał, można było stamtąd dotrzeć do domu Duffych przy szóstej alei mniej więcej w osiem minut.

Peter Duffy spojrział na diagram i powoli pokręcił głową, jakby pan Hogan opowiadał jakieś bzdury. Miał czterdzieści dziewięć lat i lekko skrzywioną twarz, a nad nią gęste, siwiejące włosy. Nosił okulary w rogowych oprawkach, łatwo można by go wziąć za prawnika.

Jack Hogan podkreślił dobitnie, że pan Duffy doskonale wiedział, iż jego żona była w domu, i oczywiście mógł do niego swobodnie wejść. Na miejsce zbrodni mógł dotrzeć wózkiem golfowym w ciągu dziesięciu minut, a kiedy grał, pole praktycznie opustoszało. Szanse, żeby ktokolwiek go widział, były więc niewielkie.

– Bardzo dobrze to sobie zaplanował – ciągle powtarzał pan Hogan.

Już sam fakt, że dobry prawnik stale twierdził, że pan Duffy zabił żonę, sprawiał, iż cała teoria brzmiała wiarygodnie. Powtarzaj coś, a ludzie w końcu w to uwierzą. Pan Mount zawsze twierdził, że w dzisiejszych czasach domniemanie niewinności to jakiś żart. Domniemywać można czyjaś winę. I Theo musiał przyznać, że ciężko było myśleć o panu Duffym jako o kimś niewinnym, przynajmniej teraz, w pierwszych minutach procesu.

Dlaczego pan Duffy miałby zabić żonę? Pan Hogan zadał to pytanie przysięgłym w taki sposób, że jasne było, iż zna już odpowiedź.

– Dla pieniędzy, panie i panowie. – Teatralnym gestem chwycił jakiś dokument ze swojego stołu i obwieścił: – Oto polisa na życie, warta milion dolarów, dwa lata temu wykupiona przez pana Petera Duffy'ego na jego żonę, Myrę Duffy.

Grobowa cisza. Wina zdawała się ciążyć coraz bardziej.

Pan Hogan wertował polisę, jakby nieco wytracił impet. Kiedy już skończył, cisnął ją z powrotem na stół i zaczął omawiać biznesowe kłopoty pana Duffy'ego. Był on przedsiębiorcą budowlanym, który sporo zaryzykował, sporo stracił, a w chwili śmierci żony naciskało go kilka banków. Pan Hogan obiecał ławie przysięgłych udowodnić, że oskarżony, Peter Duffy, znalazł się na skraju bankructwa.

A to oznacza, że potrzebował gotówki. Na przykład z polisy na życie.

To nie było wszystko na temat motywu zbrodni. Pan Hogan zapowiedział, że ława przysięgłych dowie się prawdy o małżeństwie Duffy eh, które wcale nie było szczęśliwe. Mieli problemy, i to mnóstwo. Co najmniej dwa razy decydowali się na separację. Oboje wynajęli prawników, jednak w końcu żadne nie złożyło pozwu o rozwód.

Wreszcie pan Hogan stanął tak blisko przysięgłych, jak tylko się dało, i spojrział na nich z powagą:

– Panie i panowie, to było morderstwo popełnione z zimną krwią. Perfekcyjnie zaplanowane i starannie zrealizowane. Żadnych przeszkód. Żadnych świadków, żadnych śladów. Nic, tylko miła, młoda kobieta, duszona tak długo, aż umarła. – Pan Hogan nagle zamknął oczy, popukał się w głowę i dodał jeszcze: – Och, o czymś zapomniałem. Zapomniałem dodać, że dwa lata temu, kiedy pan Duffy kupił polisę ubezpieczeniową na życie, zaczął także samotnie grywać w golfa. Przedtem rzadko grał samotnie, prawie nigdy. Sprowadzimy tu kilku jego starych znajomych, którzy to potwierdzą. Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności? Pan Duffy planował to wszystko od dwóch lat. Dopasował swoją grę w golfa do rozkładu zajęć żony i spokojnie czekał. Czekał na chłodny, wietrzny dzień, by na polu było pusto. Czekał na dogodną chwilę, aby popędzić do domu, zaparkować wózek nieopodal patio, wejść tylnymi drzwiami, zawołać „cześć kochanie, już jestem”, a potem chwycić żonę, gdy na niego nie patrzyła. Po minucie była już martwa. Planował to od tak dawna, że dobrze wiedział, co ma robić. Zabrał jej biżuterię, zabrał swoje drogocenne zegarki i pistolety, żeby policja wzięła to wszystko za dzieło włamywacza. Kilka chwil później pan Duffy był już za drzwiami z powrotem na wózku golfowym i pędził do dołka numer 5 w Dziewiątce Północnej, gdzie wzięł żelazny kij nr 4, od niechcienia oddał piękny strzał i ukończył kolejną samotną grę w golfa.

Pan Hogan urwał. Wszyscy milczeli. Wziął notatnik i wrócił na miejsce. Mijało właśnie dziewięćdziesiąt minut rozprawy. Sędzia Gantry uniósł młotek i obwieścił:

– Ogłaszam dziesięć minut przerwy.

Pan Mount zebrał klasę na końcu wąskiego korytarza na pierwszym piętrze. Chłopcy z ożywieniem rozmawiali o widowisku, jakie właśnie widzieli.

– To znacznie lepsze niż w telewizji – zauważył ktoś.

– W porządku – powiedział pan Mount. – Wysłuchaliście tylko jednej ze stron. Powiedzcie mi teraz, tak dla zabawy, ilu z was uważa, że on jest winny?

W górę wystrzeliło co najmniej kilkanaście rąk. Theo też chciał zagłosować za winą, ale uznał, że jeszcze na to za wcześnie.

– A co z domniemaniem niewinności? – zapytał pan Mount.

– On to zrobił – stwierdził Darren, perkusista.

Kilku pozostałych się z nim zgodziło.

– On jest winny – powiedział Brian, pływak.

– Nie ma mowy, żeby się z tego wymigał.

– Doskonale to zaplanował.

– On to zrobił.

– Dobrze, dobrze – powiedział pan Mount. – Porozmawiamy o tym jeszcze podczas przerwy na lunch, jak już wysłuchacie drugiej strony.

Druga strona zaczęła z hukiem. Clifford Nance, zanim podszedł do ławy sędziowskiej, najpierw poczekał, aż w sali ucichnie gwar. Miał około sześćdziesięciu lat, siwe skronie, szerokie ramiona i klatkę piersiową. Kroczył dumnie, jak ktoś, kto nigdy nie poddaje się bez walki, ani w sądzie, ani poza nim.

– Ani cienia dowodu! – zagrzemiał głębokim, ochrypłym głosem, który odbił się echem od ścian. – Ani cienia dowodu! – zagrzemiał znowu, tak jakby ktoś mógł nie dosłyszeć za pierwszym razem. Theo aż się wzdrygnął. – Nic! Żadnego świadka. Żadnych dowodów z miejsca zbrodni. Nic poza tą zgrabną historyjką, wydumaną wersją tego, co być może się zdarzyło. Być może Pete Duffy chciał zabić swoją żonę. Być może to wszystko starannie zaplanował. Być może pędził po pustym polu golfowym. Być może przybył do domu akurat na czas, aby dokonać jednej z najdoskonalszych zbrodni w dziejach. Potem być może ukradł kilka rzeczy, zostawił otwarte drzwi i pognął z powrotem do czwartego ciągu dołków, następnie wrócił do gry. Być może tak się właśnie stało.

Teraz pan Nance z wolna przechadzał się przed ławą przysięgłych, perfekcyjnie dopasowując rytm kroków do swoich słów.

– Pan Hogan prosi was, panie i panowie, abyście zagrali w grę być może. Być może stało się to, być może stało się tamto. A chce, żebyście w to zagrali, ponieważ brak mu dowodu. On niczego nie ma. Niczego poza tym, że jakiś mężczyzna grał w golfa, zajmował się własnymi sprawami, podczas gdy jego żonę zamordowano w ich przytulnym domu, niecałe dwa kilometry dalej.

Zatrzymał się i podszedł do ławników. Wybrał jakiegoś starszego pana w pierwszym rzędzie, zbliżył się do niego, jakby zaraz miał go poklepać po kolanie. Zniżył głos i powiedział:

– Ja tak naprawdę nie mam do pana Hogana pretensji o to, że gra w być może. On naprawdę nie ma wyboru, ponieważ tutaj w ogóle nie ma wyboru. Tutaj nie ma nic poza bujną wyobraźnią.

Pan Nance przesunął się w prawo i spojrzał prosto w oczy jakiejś gospodyni domowej w średnim wieku.

– Nasza konstytucja, nasze prawa, nasze reguły postępowania, wszystko to opiera się na idei sprawiedliwości. I co? I absolutnie nie ma tam miejsca na zbiór różnych być może. Nasze prawo jest jasne. Sędzia Gantry później je objaśni, a kiedy będzie to robił, proszę słuchać uważnie. Bo nie usłyszą państwo, aby chociaż raz wypowiedział słowa „być może”. Tym, co państwo usłyszą, będzie dobrze znana, uświęcona tradycja, staroświecka amerykańska zasada, według której jeśli stan oskarża kogoś o zbrodnię, to musi zjawić się tutaj, ze wszystkimi środkami, jakimi dysponuje, ze śledczymi, policją, biegłymi, prokuratorami, specjalistami od kryminalistyki – tymi wszystkimi bystrymi i doświadczonymi ludźmi – i udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że oskarżony rzeczywiście tej zbrodni się dopuścił.

Pan Nance przesunął się w lewo i powiódł szczerym, pełnym przekonania spojrzeniem po sześciu przysięgłych z drugiego rzędu. Przemawiał, nie zaglądając do żadnych notatek, płynnie, prawie bez wysiłku, jakby robił to już tysiące razy. Jednocześnie zupełnie nie sprawiał wrażenia człowieka, który popadł w rutynę.

– Ponad wszelką wątpliwość. Ponad wszelką wątpliwość. Na stanie spoczywa właśnie taki obowiązek, obowiązek, którego przypuszczalnie nie zdołano tu wypełnić.

Przerwał i wszyscy wstrzymali oddech. Podeszedł do stolika obrony i podniósł żółty notatnik, ale wcale na niego nie spojrzął. Był teraz aktorem występującym na głównej scenie i znał swoje kwestie na pamięć. Odchrząknął, a potem kontynuował pełnym głosem:

– Według prawa Pete Duffy nie musi wcale zeznawać, nie musi powoływać świadków na swoją obronę, nie musi niczego udowadniać. A dlaczego? To bardzo proste. Chroni go pewne znakomite zabezpieczenie. Nosi ono nazwę domniemania niewinności.

Pan Nance odwrócił się i wskazał na swojego klienta.

– Pete Duffy siedzi tutaj jako człowiek niewinny, tak samo jak wy, tak samo jak ja.

Znowu zaczął się powoli przechadzać, nie spuszczać wzroku z przysięgłych.

– Jednak Pete Duffy będzie zeznawać. On chce zeznawać. A kiedy zajmie miejsce na podium dla świadków, to będzie zeznawał pod przysięgą i powie wam prawdę. A prawda, panie i panowie, jest czymś innym od tej historyjki, jaką właśnie ułożył pan Hogan.

Prawda, panie i panowie, jest taka, że Pete Duffy rzeczywiście grał sam owego pamiętnego dnia w golfa, bo tak lubił grać. Rejestry podają, że zaczął o jedenastej dziesiąt i odjechał od pierwszego dołka swoim golfowym wózkiem, tym, który trzymał w garażu, podobnie jak większość jego sąsiadów. Oczywiście był sam, a jego żona szykowała się, żeby wyjść do miasta na lunch. Złodziej, jakiś nieznany przestępca, który wciąż pozostaje na wolności i zapewne, na razie, dalej pozostanie, cichaczem wszedł do domu i błędnie uznał, że nikogo tam nie ma. Alarm był wyłączony. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz, podobnie jak drzwi na taras. W tamtej chwili nie było to i nadal nie jest niczym niezwykłym.

Niespodziewanie złodziej natknął się na Myrę Duffy, zaatakował ją rękoma, bo nie miał przy sobie żadnej innej broni, i wtedy stał się jeszcze kimś innym. Stał się mordercą.

Pan Nance przerwał, podszedł do stołu obrony, wziął stamtąd szklanekę wody i pociągnął długi łyk. Wszyscy na niego patrzyli. Nie sposób było patrzeć gdziekolwiek indziej.

– I wciąż jest na wolności! – zawołał nagle, praktycznie wrzeszcząc. – I może jest tutaj – powiedział wymachując rękoma, jakby chciał objąć całą

salę. – Gramy sobie właśnie w być może, więc być może tutaj jest. Obserwuje ten proces. Bo czemu nie? Na pewno nie zagrażają mu pan Hogan i spółka.

Theo spostrzegł, że niektórzy przysięgli zerkali ku widowni.

Pan Nance zmienił temat i zaczął opowiadać o ubezpieczeniu na życie, a szczególnie o tym, że pan Duffy rzeczywiście wykupił polisę, z której w razie śmierci żony wypłacono by mu milion dolarów. Istniała jednak identyczna wykupiona na jego życie polisa, z której pieniądze dostałaby pani Duffy. Po prostu zrobili to, co robi większość par małżeńskich. Wykupili podwójną polisę. Nance obiecał udowodnić ławie przysięgłych, że interesy Pete'a Duffy'ego wcale nie szły aż tak fatalnie, jak twierdził pan Hogan. Przyznał, że państwo Duffy mieli małżeńskie problemy i co najmniej raz byli w separacji, nigdy jednak nie złożyli pozwu o rozwód. Byli zdeterminowani, aby przezwyciężyć swoje problemy.

Pan Mount siedział w drugim rzędzie na balkonie, za swoimi uczniami. Wybrał to miejsce specjalnie, aby w razie potrzeby mieć całą szesnastkę na oku. Jak dotąd, całkowicie pochłaniały ich oświadczenia wstępne. A najbardziej ze wszystkich pochłaniały Theo, czemu nauczyciel się nie dziwił. Chłopak był dokładnie tam, gdzie zawsze chciał być.

Kiedy pan Nance skończył, sędzia Gantry ogłosił przerwę na lunch.

ROZDZIAŁ 6

Klasa przeszła przez Main Street i ruszyła na wschód, w stronę rzeki. Pan Mount siedł za chłopcami i z rozbawieniem słuchał ich dyskusji. Niektórzy używali wyrażen i słów podsłuchanych właśnie u prawdziwych prawników.

– Tędy – powiedział i grupa skręciła w lewo, w wąską boczną uliczkę. Zatrzymali się w Pappy's, słynnych delikatesach znanych z kanapek z pastrami i krążków cebuli w cieście. Zostało jeszcze dziesięć minut do południa, zdążyli więc tuż przed godzinami szczytu. Szybko pozamawiali jedzenie, a potem stłoczyli się wokół długiego stołu nieopodal witryny.

– I który prawnik waszym zdaniem był lepszy? – zapytał pan Mount.

Odpowiedziało mu naraz co najmniej dziesięć głosów, doszło nawet do rozłamu na stronnictwa Jacka Hogana i Clifforda Nance'a. Nauczyciel podjudzał chłopców różnymi pytaniami. „Któremu prawnikowi wierzycie?” „Któremu byście zaufali?” „Którego powinna się posłuchać ława przysięgłych?”

Gdy przyniesiono jedzenie, rozmowa gwałtownie się urwała.

– Podnieście ręce – polecił pan Mount. – Będziecie teraz głosować. Żadnego niezdecydowania. Kto uważa, że Duffy jest winny, niech podniesie rękę.

Zliczył dziesięć rąk.

– Dobra, a teraz, że niewinny.

Naliczył pięć rąk.

– Theo, przecież powiedziałem, że macie zagłosować.

– Przepraszam, ale ja nie mogę. Myślę, że jest winny, ale nie widzę możliwości, żeby mu to udowodniono. Jedyne, co mogą udowodnić, to istnienie motywu. Być może.

– Gra w być może, co? – powiedział pan Mount. – Myślę, że właśnie ta przemowa odniosła spory skutek.

– Ja się zgadzam z Theo – odezwał się Aaron. – Jasne, że wydaje się winny, ale prokurator nie może nawet stwierdzić, że był na miejscu zbrodni. To chyba jest problem, prawda?

– Powiedziałbym nawet, że duży problem – odparł pan Mount.

– A co ze skradzioną biżuterią, z zegarkami i bronią? – zapytał Edward.
– Znaleźli te rzeczy? Nikt o tym nawet nie wspomniał.

– Nie wiem, ale w oświadczeniach wstępnych trzeba robić dużo skrótów.

– Wydawały mi się całkiem długie.

– Dowiemy się tego, jak już zostaną powołani świadkowie – dodał Theo.

– Kto jest pierwszym świadkiem? – zapytał Chase.

– Nie widziałem listy świadków – powiedział pan Mount. – Ale zwykle zaczynają od miejsca zbrodni. Przymuszczalnie to będzie jeden z detektywów.

– Świetnie.

– Panie Mount, na jak długo zostajemy?

– Musimy wrócić do szkoły o trzeciej trzydzieści.

– A jak długo potrwa rozprawa?

– Sędzia Gantry lubi pracować – powiedział Theo. – Co najmniej do piątej.

– Panie Mount, możemy tam wrócić jutro?

– Obawiam się, że nie. To tylko jednodniowa wycieczka. Wiecie, chłopaki, macie też inne przedmioty. Żaden nie jest tak ciekawy jak mój, ale to już tylko moje zdanie.

W delikatesach nagle zrobiło się tłoczno, a na zewnątrz ustawiła się kolejka. Pan Mount kazał uczniom kończyć. Właściciel, Pappy, był znany z tego, że nie lubił klientów przesiadujących przy stolikach, gdy już zjedli.

Poszli Main Street, o tej porze pełną ludzi spieszących się na lunch. Przy fontannie jedli i rozmawiali pracownicy biurowi, zażywając kąpieli słonecznej. Pan Peacock, leciwy policjant z drogówki, kierował ruchem samochodów za pomocą swojego wysłużonego gwizdka i żółtych rękawic i zapobiegał wypadkom, co nie zawsze mu się udawało. Przed uczniów z jednego z budynków wyszła grupka mężczyzn w ciemnych garniturach. Ruszyli w tym samym kierunku. Pan Mount wyszeptał głośno:

– Patrzcie, panowie, to pan Duffy i jego prawnicy.

Chłopcy zwolnili na chwilę, bo faceci w ciemnych garniturach byli tuż przed nimi. Pete Duffy, Clifford Nance, jeszcze dwóch innych prawników z poważnymi minami, potem dołączył piąty mężczyzna. Nazywał się Omar Cheepe i nie był prawnikiem, był jednak dobrze znany w tym środowisku. Pan Cheepe pracował kiedyś jako agent federalny, teraz prowadził własną firmę. Specjalizował się w śledztwach, inwigilowaniu, innych tego rodzaju rzeczach, których od czasu do czasu potrzebowali prawnicy. On i pani Boone byli kiedyś zaangażowani w paskudną sprawę rozwodową. Theo słyszał, jak o Omarze mówiono, że to „uzbrojony zbir” i „człowiek, który lubuje się w łamaniu prawa”. Rzecz jasna, takie komentarze nie były przeznaczone dla jego uszu, ale w kancelarii docierało do niego to i owo. Jeszcze nigdy nie spotkał się twarzą w twarz z panem Cheepe'em, chociaż widywał go w sądzie. Mówiono, że gdy Omar Cheepe dla kogoś pracował, to ten ktoś musiał być winny.

Omar spojrzał prosto na Theo. Był potężnie zbudowany, miał wielką okrągłą głowę, którą regularnie golił. Starał się wyglądać groźnie i nieźle mu to wychodziło.

Odwrócił się i pospieszył za Duffym.

Ruszyli dalej Main Street. Chłopcy szli szybko luźną grupką, aby dotrzymać kroku oskarżonemu i jego ekipie. Omar Cheepe od tyłu zasłaniał Pete'a Duffy'ego swoją potężną sylwetką, tak jakby ktoś mógł próbować go zastrzelić. Clifford Nance powiedział coś zabawnego, pozostali wybuchnęli śmiechem.

Najgłośniejszym śmiał się Pete Duffy. Winny. Theo bardzo nie chciał tak o nim myśleć, bo nie przesłuchano jeszcze żadnego świadka. Poza tym sam chętnie sobie powtarzał, że wierzy w domniemanie niewinności.

Winny, powtórzył raz jeszcze w duchu. Dlaczego nie potrafił teraz przestrzegać zasad i nie pozwalał Duffy'emu cieszyć się przywilejem niewinności? Dlaczego nie umiał tego, co powinni umieć dobrzy prawnicy? Bardzo go to męczyło, gdy tak szedł za panem Duffym i jego ludźmi.

Coś mu się w tej sprawie nie zgadzało, a po tym, co usłyszał w sądzie, podejrzewał, że zagadka nigdy nie doczeka się rozwiązania.

Usiedli na swoich miejscach, w pierwszym rzędzie z prawej strony balkonu, i pozwolili, aby lunch dobrze ułożył im się w żołądkach. Sędzia Gantry zarządził przerwę do pierwszej po południu, zostało więc jakieś piętnaście minut. Pan Gossett, stary strażnik, przywłókł się do nich.

– Theo – powiedział.

– Tak, proszę pana.

– Czy to twoja klasa?

A kto inny to mógłby być? Nauczyciel i szesnastu uczniów?

– Tak, proszę pana.

– Sędzia Gantry chce was widzieć w gabinecie sędziowskim. I pospieszcie się, bo ma mało czasu.

Theo wskazał na siebie i spróbował coś powiedzieć.

– Całą klasę – powiedział pan Gossett. – Idźcie już.

Wygramolili się za strażnikiem i przepchnęli do schodów.

„W gabinecie sędziowskim” oznaczało, że sędzia jest teraz w biurze przyległym do sali rozpraw. To było inne pomieszczenie niż jego urzędowy gabinet w dalszej części korytarza. Można się było pomylić i Theo już chciał zacząć wszystko wyjaśniać, kiedy pan Gossett otworzył drzwi do długiego pokoju wyłożonego boazerią, gdzie na ścianach wisiały stare portrety brodatych sędziów. Sędzia Gantry nie miał na sobie czarnej togi. Wstał zza biurka i wyszedł chłopcom na spotkanie.

– Witaj, Theo – powiedział, czym trochę zmieszał chłopca. Pozostali uczniowie byli teraz zbyt oszołomieni, aby w ogóle się odzywać.

– A pan to na pewno pan Mount – zauważył Gantry, kiedy podawali sobie ręce.

– Tak, panie sędzio, a oto moi ósmoklasiści, uczący się wiedzy o społeczeństwie.

Miejsz siedzących nie starczyło dla wszystkich, sędzia zwrócił się więc do uczniów, tam gdzie stali.

– Dziękuję za przybycie. To ważne, aby uczniowie oglądali wymiar sprawiedliwości w akcji. Co myślicie o tym, co dotąd zobaczyliście?

Wszystkich szesnastu chłopców milczało. Bo co mieli powiedzieć?

Uratował ich pan Mount.

– Moi uczniowie są zafascynowani rozprawą – wyjaśnił. – Właśnie omawialiśmy ją podczas lunchu, ocenialiśmy prawników, rozmawialiśmy o przysięgłych i przedstawiliśmy mnóstwo opinii co do winy i niewinności.

– Nie będę pytał dalej. Ale mamy tutaj w sali dwóch dobrych prawników, prawda?

Cała szesnastka pokiwała głowami.

– To prawda, że Theo Boone udziela porad prawnych?

Kilka nerwowych śmiechów. Theo poczuł się i zakłopotany, i dumny.

– Tak, ale ja nie pobieram żadnych opłat – wyjaśnił.

Znowu kilka śmiechów.

– Macie jakieś pytania związane z procesem? – zapytał sędzia Gantry.

– Tak, proszę pana – odezwał się odważnie Brandon. – W telewizji zawsze się zjawiają niespodziewani świadkowie, tacy znikąd, i zmieniają przebieg procesu. Czy tu jest szansa na jakiegoś niespodziewanego świadka? Bo jak nie, to wygląda na to, że oskarżenie ma bardzo słabe podstawy.

– Dobre pytanie, synu. Odpowiedź brzmi „nie”. Nasza procedura zabrania niespodziewanych świadków. To, co pokazują w telewizji, to nieprawda. W prawdziwym życiu, zanim zacznie się jakiś proces, każda strona musi przedstawić listę wszystkich potencjalnych świadków.

– Kto jest pierwszym świadkiem? – zapytał Jarvis.

– Siostra ofiary, ta pani, która odnalazła ciało. Po niej detektywi z wydziału zabójstw. Jak długo dzisiaj zostajecie?

– Musimy wrócić do szkoły o trzeciej trzydzieści – wyjaśnił pan Mount.

– W porządku. Ogłoszę przerwę o trzeciej i będziecie mogli spokojnie wyjść. Jak tam miejsca na balkonie?

– Świetne. Dziękujemy panu.

– Przeniosłem was na dół. Trochę się już rozluźniło. Jeszcze raz dziękuję za zainteresowanie naszym wymiarem sprawiedliwości. Ma kluczowe znaczenie dla sprawnej administracji.

Tymi słowami sędzia Gantry zakończył rozmowę. Uczniowie mu podziękowali. Sędzia i pan Mount raz jeszcze uścisnęli sobie dłonie.

Pan Gossett zaprowadził uczniów z powrotem do sali rozpraw, a potem głównym przejściem dla widowni do drugiego rzędu za stanowiskiem prokuratora. Przed nimi siedzieli dwaj młodzi mężczyźni, których woźny przedstawił jako synów pana Duffy'ego. Prawnicy byli zaledwie metr dalej.

Po drugiej stronie alejki, za Pete'em Duffym, siedział teraz Omar, a jego czarne oczy pospiesznie rozglądały się po sali, tak jakby zaraz musiał kogoś zastrzelić. Znowu popatrzył prosto na Theo.

Chłopcy nagle przesiedli się z oddalonych miejsc do samego centrum zdarzeń i aż nie mogli w to uwierzyć. Chase, szalony naukowiec, usiadł z prawej strony Theo, ramię w ramię. Wyszeptał:

- Theo, to ty pociągnąłeś za jakieś sznurki?
- Nie, ale sędzia Gantry i ja całkiem dobrze się znamy.
- Niezła robota.

Dokładnie o pierwszej po południu woźny sądowy wstał i ryknął:

- Wkrótce zbierze się sąd. Proszę pozostać na miejscach.

Pojawił się ubrany w togę sędzia Gantry. Usiadł i spojrzał na Jacka Hogana.

- Oskarżenie może teraz powołać swojego pierwszego świadka.

Przez boczne drzwi drugi woźny wprowadził ładnie ubraną kobietę i zaprowadził ją na podium dla świadków. Położyła dłoń na Biblii, przysięgła mówić tylko prawdę. Kiedy usiadła i podsunęto jej mikrofon, pan Hogan rozpoczął przesłuchanie.

Nazywała się Emily Green, była siostrą Myry Duffy. Miała czterdzieści cztery lata, mieszkała w Strattenburgu, pracowała jako doradca fitness, a w dzień zabójstwa zrobiła dokładnie to, co pan Hogan przedstawił w swoim oświadczeniu wstępnym. Kiedy siostra nie pojawiła się na lunchu i nie zadzwoniła, zaczęła się martwić, aż wreszcie wpadła w panikę. Wielokrotnie dzwoniła do niej na komórkę, a następnie pojechała do Waverly Creek, do domu Duffych, gdzie znalazła martwą Myrę na dywanie w salonie.

Było oczywiste, przynajmniej dla Theo, że pan Hogan i pani Green starannie przygotowali to zeznanie. Miało uzmysłwić zebranym, że pani

Duffy została zabita, i wzbudzić współczucie. Kiedy już skończyli, Clifford Nance wstał i ogłosił, że nie ma do świadka dalszych pytań. Pani Green została zwolniona i zajęła miejsce w pierwszym rzędzie, obok swoich dwóch siostrzeńców, bezpośrednio przed uczniami pana Mounta.

Następny zeznawał detektyw Krone z wydziału zabójstw. Korzystając z dużego ekranu oraz projektora, wspólnie z Jackiem Hoganem pokazali otoczenie domu Duffych, a także sam dom i miejsce zbrodni. Przedstawiono kilka ważnych faktów, chociaż przysięgli już je znali. Drzwi wejściowe zastano otwarte. Drzwi na taras i boczne drzwi na patio nie były zamknięte na zamek. System alarmowy nie był włączony.

Pojawiły się też nowe fakty. W domu znaleziono odciski palców pana Duffy'ego, pani Duffy oraz ich gospodyni – tego można było się spodziewać. Jednak na klamkach, oknach, telefonach, szufladach, kasetce z biżuterii i na starym mahoniowym pudełku, tam, gdzie pan Duffy trzymał cenne zegarki, nie odnaleziono już żadnych innych odcisków. To oznaczało dwie rzeczy: (1) złodziej/morderca nosił rękawiczki lub starannie powycierał wszystkie ślady, albo (2) złodziejem/mordercą był pan Duffy lub gospodyni. Gospodyni w dzień zabójstwa nie pracowała, razem z mężem wybrała się za miasto.

Ktokolwiek zabrał biżuterię, broń i zegarki, pootwierał też kilka innych szafek oraz szuflad, a ich zawartość wyrzucił na podłogę. Detektyw Krone, który raczej przynudzał, systematycznie omawiał kolejne zdjęcia bałaganu pozostawionego przez złodzieja/ mordercę.

Po raz pierwszy proces zaczął być nudny. Pan Mount zauważył, że kilku chłopców się wierci. Paru przysięgłych wyglądało na sennych.

Dokładnie o godzinie trzeciej po południu sędzia Gantry uderzył młotkiem i ogłosił piętnaście minut przerwy. Sala rozpraw prędko opustoszała. Wszyscy potrzebowali wytchnienia. Theo i jego koledzy

wyszli z sądu, wsiedli do niewielkiego żółtego gimbusa i po dziesięciu minutach znaleźli się z powrotem w szkole, gdzie puszczono ich do domów.

Trzydzieści minut po wyjściu z sądu Theo już był w nim z powrotem. Popędził schodami na drugie piętro. Nie znalazł ani śladu po wojnie Finnemore'ów – żadnego prawnika na korytarzu, nigdzie też nie było April. Wczoraj wieczorem nie dzwoniła, nie odpowiadała na e-maile, nie zostawiła też żadnej wiadomości na Facebooku. Rodzice nie zgodzili się kupić jej komórki, dlatego nie mogła wysłać SMS-a. Nic w tym zresztą dziwnego, bo przecież i tak połowa ósmoklasistów z gimnazjum nie miała komórek.

Theo szybko zszedł na pierwsze piętro i obrzucony podejrzliwym spojrzeniem strażnika Gossetta, wkroczył na salę. Znalazł wolne miejsce w trzecim rzędzie, za ławą oskarżonych. Oskarżony, pan Duffy siedział mniej niż siedem metrów od niego. Theo słyszał jego prawników, jak szeptali różne ważne rzeczy. Wciąż był tam Omar Cheepe. Siadając, zauważył Theo – jako wytrawny obserwator, potrafił dostrzec każdy ruch, jednak robił to od niechcienia, jakby naprawdę mało go to obchodziło.

Zeznawał teraz lekarz sądowy, który przeprowadził sekcję zwłok ofiary. Korzystał z dużego kolorowego diagramu pokazującego ciało ludzkie od klatki piersiowej w górę, a przede wszystkim rejon szyi. Theo uważniej niż świadkowi przyglądał się Cliffordowi Nance'owi. Obserwował go, jak przysłuchuje się zeznaniu, robi notatki i ciągle zerka w stronę przysięgłych. Zdawało się, że prawnikowi nie umyka nic, co dzieje się w sali sądowej. Był odprężony, pewny siebie, chociaż w razie potrzeby gotów do ataku.

Pytania do lekarza padały szybko i nie przyniosły niczego nowego. Na razie pan Nance zgadzał się z większością słów świadków oskarżenia. Fajerwerki miały być później.

Sędzia Gantry zakończył posiedzenie sądu zaraz po piątej po południu. Jeszcze zanim zwolnił przysięgłych, znowu ostrzegł ich przed omawianiem sprawy z kimkolwiek. Gdy już wyszli, sala rozpraw zaczęła pustoszeć. Theo trochę się po niej pokręcił, przyglądając się prawnikom, którzy zabierali akta i książki, chowając je do grubych teczek, i rozmawiali ściszymi głosami. Wymieniano uwagi poprzez alejkę dzielącą salę. Jack Hogan powiedział coś do Clifforda Nance'a i obaj mężczyźni się roześmiali. Pozostali, niżsi rangą prawnicy dołączyli do nich i ktoś zapytał:

– Może pójdziemy się napić?

Przed chwilą wrogowie, teraz starzy kumple. Theo już to widywał. Matka próbowała mu wytłumaczyć, że prawnikom płaci się za ich pracę, a chcąc wykonywać ją porządnie, muszą swoje osobiste uczucia zostawiać za progiem. Powiedziała, że profesjonaliści nigdy nie tracą opanowania i nigdy nie żywią urazy.

Ike twierdził, że to bzdury. Nie cierpiał większości prawników z miasta.

Omar Cheepe nie śmiał się i nie zaproszono go też, aby napił się teraz z przeciwnikami. Razem z Pete'em Duffym szybko wyszedł bocznymi drzwiami.

ROZDZIAŁ 7

Środowy wieczór w rodzinie Boone'ów oznaczał kolację w garkuchni. Nie był to jednak najgorszy posiłek tygodnia, bo ten przypadał w niedzielę, kiedy matka brała się do pieczenia kurczaka. No, ale do pysznych też się nie zaliczał.

Garkuchnia była nią tylko z nazwy. W rzeczywistości wcale nie była kuchnią i rzadko podawano tam coś prosto z gara. Mówiono tak o dużej stołówce w piwnicach kościoła, gdzie przychodzili bezdomni, żeby coś zjeść i spędzić noc. Jedzenie przyrządzali ochotnicy, zwykle kanapki, frytki, owoce i ciastka.

– Jedzenie z torebki – mówiła o nim matka Theo. Niezbyt zdrowe.

Theo słyszał, że w Strattenburgu mieszka około trzystu bezdomnych. Spotykał ich na Main Street, gdzie żebrali o pieniądze i spali na ławkach. Widział ich też przy kontenerach na śmietniku, jak szukali jedzenia. W mieście niepokojono się ich liczbą oraz brakiem miejsc w przytułkach. Zdawało się, że radni co tydzień roztrząsają ten problem.

Pani Boone też się martwiła. Tak się przejęła bezdomnymi matkami, że uruchomiła cały program pomocy ofiarom przemocy domowej. Kobietom, które bito i dręczono. Kobietom, które nie miały gdzie mieszkać i nie miały nikogo, do kogo mogłyby się zwrócić. Pani Boone, wspólnie z kilkoma innymi prawniczkami z miasta, założyła niewielką poradnię prawną dla takich właśnie osób.

W każdy środowy wieczór Boone'owie przemierzali kilka przecznic dzielących ich śródmiejską kancelarię od schroniska Highland Street i

spędzali tam trzy godziny z tymi, którzy mieli mniej szczęścia od nich. Po kolei wydawali kolację dla setki osób, a potem sami szybko coś przegryzali.

Theo nie powinien był się o tym dowiedzieć, ale przypadkowo podsłuchał rodziców, jak dyskutowali, czy nie powinni swojej miesięcznej dotacji dla schroniska podnieść z dwustu do trzystu dolarów. Jego rodzicom daleko było do zamożności. Koledzy myśleli, że jest bogaty, bo pochodzi z prawniczej rodziny, ale tak naprawdę praca państwa Boone'ow nie przynosiła wysokich dochodów. Żyli skromnie, odkładali na naukę Theo i okazowali hojność tym, którzy mieli mniej.

Po kolacji pan Boone siadał w zaimprovizowanym biurze na drugim końcu stołówki i podchodziło do niego kilku bezdomnych. Pomagał im rozwiązywać różne problemy, od eksmisji z mieszkań po odmowę wydania kartek żywnościowych albo udzielenia pomocy lekarskiej. Często mawiał, że to jego ulubieni klienci. Nie mogli płacić honorarium, dlatego nie czuł presji, aby je od nich pobierać. Byli wdzięczni za wszystko, co starał się dla nich zrobić. I naprawdę lubił z nimi rozmawiać.

Pani Boone zajmowała się delikatniejszymi sprawami, ze swoimi klientkami spotykała się więc w niewielkim pokoiku na piętrze. Pierwsza dzisiejsza klientka miała dwójkę małych dzieci, nie miała pracy ani pieniędzy i, gdyby nie schronisko, nawet miejsca, gdzie mogłaby zatrzymać się na noc.

Theo miał pomagać przy odrabianiu prac domowych. W schronisku mieszkało kilka rodzin, którym wolno było zatrzymać się tam na dwanaście miesięcy – tyle wynosiła maksymalna długość pobytu na Highland Street. Po roku należało się wyprowadzić. Większość bezdomnych w końcu znajdowała sobie pracę i mieszkanie, ale do tego potrzebowali czasu. Kiedy przebywali w przytułku, traktowano ich tak samo jak wszystkich innych mieszkańców Strattenburga. Karmiono, ubierano i zapewniano opiekę

lekarską. Oni zaś dostawali pracę albo jej szukali. Zapraszano ich do kościołów na nabożeństwa.

Ich dzieci chodziły do miejscowych szkół. Wieczorem w schronisku ochotnicy z kościoła organizowali dla nich sesje odrabiania lekcji. Co środę zadaniem Theo było uczenie angielskiego dwojga drugoklasistów, Hectora i Rity, oraz pomaganie ich bratu w algebrze. Dzieci pochodziły z Salwadoru, ich ojciec zniknął w tajemniczych okolicznościach, zostawiając rodzinę bez dachu nad głową. Znalazła je policja, gdy razem z matką chowały się pod mostem.

Jak zwykle Hector i Rita wprost nie mogli doczekać się spotkania z Theo. Przykleili się do niego, kiedy jadł kanapkę. Potem razem z nim pognali korytarzem do dużej sali, gdzie uczyły się pozostałe dzieci.

– Nie po hiszpańsku – ciągle powtarzał Theo. – Mówimy tylko po angielsku.

Ich angielski był po prostu niesamowity. Wchłaniali go codziennie w szkole i jeszcze potem uczyli matkę. Znaleźli sobie stolik w kącie i Theo zaczął czytać książkę z obrazkami, coś o żabce zagubionej na morzu.

Pani Boone nalegała, żeby Theo zaczął się uczyć hiszpańskiego już w czwartej klasie, kiedy tylko ten język pojawił się w programie zajęć. Gdy się okazało, że na lekcjach jest za łatwo, wynajęła prywatnego bardzo wymagającego korepetytora, który dwa razy w tygodniu zaglądał do kancelarii. Matka wywierała ogromną presję, a Madame Monique codziennie dostarczała inspiracji, dlatego Theo uczył się bardzo szybko.

Przeczytał stronę książki, potem jeszcze raz przeczytała ją Rita, a później Hector. Theo poprawił ich błędy i przeszli do następnych zadań. W sali panował gwar, wręcz hałas, bo ze dwa tuziny uczniów w różnym wieku głośno odrabiali swoje prace domowe.

Bliźnięta miały starszego brata, Julia, który chodził już do gimnazjum Theo od czasu do czasu widywał go na placu zabaw obok szkoły. Chłopak był bardzo nieśmiały, wręcz ciapowaty. Pani Boone snuła domysły, że biedny dzieciak ciężko przeżywał stratę ojca w tym dziwnym kraju, gdzie nie miał się do kogo zwrócić.

Matka zawsze snuła jakieś teorie, kiedy ktoś zachowywał się nietypowo.

Gdy Theo skończył już czytać drugą książeczkę z Hectorem i Ritą, przyłączył się do nich Julio i usiadł przy stole.

– Co słychać? – zapytał Theo.

Julio uśmiechnął się i odwrócił wzrok.

– Poczytajmy jeszcze książkę – poprosił Hector.

– Za chwilę.

– Mam problem z algebrą – wyjaśnił Julio. – Pomożesz?

– On jest teraz z nami – powiedziała Rita do brata, wyglądała na gotową do kłótni.

Theo zabrał z półki dwie książki i położył je przed Hectorem oraz Ritą. Potem dał im jeszcze dwa notatniki i dwa ołówki.

– Poczytajcie sobie – powiedział. – Wymawiajcie każde słowo, które czytacie. Jak napotkacie wyraz, którego nie rozumiecie, to go zapiszcie. OK?

Rzucili się do książek, jakby chodziło o jakieś zawody.

Theo i Julia wkrótce pochłonął świat algebry dla początkujących.

O dziesiątej wieczorem Boone'owie byli z powrotem w domu, przed telewizorem. Sędzia spał na sofie, łeb trzymał na kolanach Theo. Morderstwo u Duffych było dziś w Strattenburgu jedyną sensacją i w obu miejskich stacjach telewizyjnych nie mówiono o niczym innym. Pokazano, jak Pete Duffy wchodzi do sądu w otoczeniu prawników, ich asystentów oraz innych ludzi w ciemnych garniturach i z ponurymi minami. Kolejny

materiał, nakręcony z lotu ptaka, pokazywał dom Duffych przy szóstej alei w Waverly Creek. Reporter, stojący przed gmachem sądu, pospiesznie wyrzucał z siebie raport o dotychczasowych zeznaniach świadków. Sędzia Gantry zabronił kontaktów z mediami, dlatego żaden z prawników, policjantów lub innych świadków nie mógł się podzielić swoimi przemyśleniami i opiniami.

Sędzia Gantry zakazał także obecności kamer w sali rozpraw. Ekipy telewizyjne pozostały na zewnątrz.

Theo mówił dzisiaj tylko o procesie. Rodzice podzielali jego podejrzenia co do winy Pete'a Duffy'ego. Wydawało się jednak, że trudno będzie ją udowodnić.

W trakcie przerwy na reklamy Theo zaczął kaszleć. Rodzice nie zwrócili na niego uwagi, więc zaczął kaszleć jeszcze bardziej, a potem oznajmił:

- Gardło mnie boli.
- Jakoś tak blado wyglądasz – zauważył ojciec. – Na pewno coś cię bierze.
- Źle się czuję.
- Masz zaczerwienione oczy? – zapytał ojciec.
- Tak myślę.
- Ból głowy?
- Tak, ale nie jakiś straszny.
- Cieknie ci z nosa?
- Tak.
- Od kiedy? – zapytała mama.
- Ale się rozchorowałeś – stwierdził ojciec. – Myślę, że nie powinieneś jutro iść do szkoły, żeby dalej nie roznosić tej okropnej infekcji. Ale może byłoby fajnie, zamiast do niej pójść sobie do sądu i pooglądać proces Duffy'ego? Co o tym sądzi mama?

– O tak, rozumiem – powiedziała. – Nagły atak grypy.

– Przypuszczalnie jedna z tych okropnych jednodniówek, które w cudowny sposób mijają zaraz po lekcjach.

– Ja się naprawdę źle czuję – powiedział Theo. Był pokonany, ale dzielnie nie składał broni.

– Weź aspirynę, może pastylki na kaszel – polecił ojciec.

Woods Boone rzadko chodził do lekarza i uważał, że większość ludzi wydaje za dużo na lekarstwa.

– Misiaczku, a możesz zakasłać jeszcze raz? – poprosiła pani Boone. Była matką, więc kiedy syn źle się czuł, okazywała mu nieco więcej współczucia. Tak naprawdę Theo czasem symulował, zwłaszcza wtedy gdy miał coś lepszego do roboty niż siedzenie w szkole.

Ojciec zaczął się śmiać.

– O tak, Theo, to był naprawdę bardzo słaby kaszel, nawet jak na twoje standardy.

– A może ja właśnie umieram – zaprotestował Theo, starając się nie śmiać.

– Owszem, ale akurat nie w tej chwili – stwierdził pan Boone. – A jeśli pokażesz się jutro na sali rozpraw, to sędzia Gantry zaaresztuje cię jako wagarowicza.

– No to może znasz jakichś dobrych prawników? – odparował Theo.

Matka wybuchnęła śmiechem i w końcu Woods zrozumiał żart.

– Idź już spać – powiedział.

Theo pokuśtykał schodami, całkiem pokonany. Sędzia powlókł się w ślad za nim. W łóżku chłopiec otworzył laptopa i połączył się z April. Poczul ulgę, kiedy odpowiedziała.

APRILNPARIS: Cześć, Theo. Co u ciebie?

TBOONEESQ: W porządku. Gdzie jesteś?

APRILNPARIS: W domu, w sypialni, mam zamknięte drzwi.

TBOONEESQ: Gdzie jest twoja matka?

APRILNPARIS: Na dole. Nie rozmawiamy ze sobą.

TBOONEESQ: Byłaś w szkole?

APRILNPARIS: Nie, rozprawa trwała do południa. Tak się cieszę, że już po niej.

TBOONEESQ: Jak ci się zeznawało?

APRILNPARIS: Okropnie, popłakałam się. Nie mogłam przestać płakać. Powiedziałam sędziemu, że nie chcę mieszkać ani z matką, ani z ojcem. Przepytował mnie jej prawnik, przepytował mnie jego prawnik. To było straszne.

TBOONEESQ: Współczuję.

APRILNPARIS: Nie rozumiem, dlaczego ty chcesz zostać prawnikiem.

TBOONEESQ: Właśnie po to, żeby pomagać ludziom takim jak ty. Tak właśnie robią dobrzy prawnicy. Podobał ci się sędzia?

APRILNPARIS: Nikt mi się nie podobał.

TBOONEESQ: Mama mówi, że jest dobry. Zdecydował już, kto dostanie opiekę nad tobą?

APRILNPARIS: Nie. Powiedział, że zdecyduje za kilka dni. Na razie, mieszkam z matką i jej prawnik sądzi, że tutaj zostanę.

TBOONEESQ: Tak pewnie będzie. Idziesz jutro do szkoły?

APRILNPARIS: NO tak, a od tygodnia nawet nie tknęłam swojej pracy domowej.

TBOONEESQ: Do zobaczenia jutro.

APRILNPARIS: Dzięki, Theo.

Godzinę później wciąż jeszcze nie spał, a jego myśli krążyły tam i z powrotem, od April do procesu Duffy'ego.

ROZDZIAŁ 8

Czekał na niego Julio. Theo ostro zahamował przy stojaku na rowery, obok masztu flagowego pod szkołą.

– *Hola, Julio. Buenos días!* – zawołał.

– *Hola, Theo.*

Owinął łańcuchem przednie koło, zatrzasnął kłódkę. Ten łańcuch ciągle go denerwował. Jeszcze rok temu w Strattenburgu rowery były bezpieczne. Nikt nie zawracał sobie głowy jakimiś łańcuchami. A potem zaczęły znikać i znikają do tej pory, a rodzice naciskali, żeby je dodatkowo przymocowywać.

– Dzięki za wczorajszą pomoc – odezwał się Julio.

Dobrze mówił po angielsku, chociaż nadal z mocnym akcentem. Sam podszedł i sam rozpoczął rozmowę, co stanowiło wielki krok do przodu. Albo Theo tak tylko myślał.

– Żaden problem. Zawsze do usług.

Julio rozejrzał się wokół. Tłum, który wysiadł z gimbusów, teraz przesuwał się przez drzwi wejściowe.

– Theo, ty się znasz na prawie, no nie?

– Oboje moi rodzice to prawnicy.

– Policja, sądy, takie rzeczy?

Wzruszył ramionami. Nigdy nie zaprzeczał, że całkiem dobrze zna się na prawie.

– Sporo z tego rozumiem – powiedział. – Ale o co chodzi?

– Czy to duża sprawa, ten proces pana Duffy'ego?

– Tak, to proces o morderstwo. Tak, to jest duża sprawa.

– A możemy o nim porozmawiać?

– Jasne – odparł Theo. – Mogę tylko zapytać dlaczego?

– Bo może ja coś wiem.

Theo spojrział mu uważnie w oczy. Julio odwrócił wzrok, jakby zrobił coś złego. Dyrektor wrzasnął na uczniów, żeby przestali się wreszcie kłębić i wchodzili do środka. Theo i Julio ruszyli ku drzwiom.

– Znajdę cię, jak będzie lunch – powiedział Theo.

– Dobra. Dzięki.

– Spoko.

Tak jakby Theo do tej pory wystarczająco dużo nie rozmyślał o procesie Duffy'ego, to teraz rozmyślał o nim jeszcze więcej. Znacznie więcej. Co bezdomny dwunastolatek z Salvadora może wiedzieć o zamordowaniu Myry Duffy?

Nic, uznał Theo, idąc do klasy. Przywitał się z panem Mountem i rozpakował plecak. Nie miał dobrego humoru. Proces, największy proces w historii Strattenburga, zaczynał się ponownie za pół godziny, a jego tam nie będzie. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Na porannej przerwie Theo wymknął się do biblioteki i schował w boksie. Wyciągnął laptopa, po czym wziął się do pracy.

Na sekretarza sądowego przy sprawie Duffy'ego wyznaczono pannę Finney. Z tego, co Theo słyszał w sądzie, była najlepsza w mieście. Jak na każdym procesie, panna Finney usiadła pod ławą sędziowską, obok świadków. Zajmowała najlepsze miejsce i nie bez powodu. Miała notować każde słowo wypowiedane przez sędziego, prawników, świadków i wreszcie ławę przysięgłych. Dzięki maszynie stenograficznej bez trudu mogła zapisywać dwieście pięćdziesiąt słów na minutę.

W dawnych czasach, jak opowiadała pani Boone, sekretarze sądowi korzystali ze znaków stenograficznych, specjalnej metody zapisu złożonej z symboli, kodów, skrótów oraz wszystkiego innego, czego trzeba, aby na bieżąco notować dialogi. Następnie sekretarz sądowy przekładał zapis stenograficzny na schludny, drukowany transkrypt tego, co powiedziano w trakcie rozprawy. Wszystko to mogło zabierać wiele dni, nawet tygodni, czasem nawet miesięcy, i było ciężką pracą.

Teraz jednak, dzięki technice, zapisywanie zrobiło się znacznie łatwiejsze. I co jeszcze lepsze, zapis rozprawy powstawał od razu. W sali sądowej stały co najmniej cztery komputery – jeden obok sędziego Gantry'ego, jeden na ławie oskarżonych, jeden u oskarżyciela i jeden u sekretarza. Gdy panna Finney łapała każde słowo, tekst był natychmiast przekładany, formatowany oraz słany do systemu, tak że cztery komputery zapisywały wszystko w czasie rzeczywistym.

Nierzadko w trakcie procesu dochodziło do sporu o to, co powiedział, a czego nie powiedział jakiś świadek. Przed laty sędzia musiał w takiej sytuacji zarządzać przerwę. Biedny sekretarz wertował swoje notatki, znajdował stenograficzne zapiski i ponownie je sprawdzał. Teraz jednak wszystko rejestrowano od razu i znacznie dokładniej.

Pani Finney dzieliła gabinet na piętrze z kilkoma innymi protokolantkami. Używały programu o nazwie Veritas. Theo włamał się kiedyś do niego, ciekawy, co się dzieje w sądzie.

System nie miał zabezpieczeń, bo chodziło o informacje i tak powszechnie dostępne. Każdy mógł wejść do sądu i obejrzeć rozprawę. Oczywiście każdy, kto akurat wtedy nie musiał być w gimnazjum. Jednak chociaż Theo nie mógł teraz pojawić się w sądzie osobiście, postanowił, że będzie wiedział, co się tam teraz dzieje.

Niewiele stracił. Drugiego dnia procesu jako pierwszy zeznawał szef ochrony, dyżurujący przy głównej bramie Waverly Creek. Na teren osiedla prowadziły tylko dwie bramy – główna i południowa. Przy obu stały strażnice, obsadzone przez przynajmniej jednego uzbrojonego oraz umundurowanego wartownika. W obu zainstalowano też wiele kamer monitoringu. Na podstawie nagrań wideo szef ochrony poświadczył, że pan Duffy, a przynajmniej samochód pana Duffy'ego, w dniu morderstwa wyjechał główną bramą o godzinie szóstej czterdzieści osiem rano i wrócił o godzinie dziesiątej dwadzieścia dwie rano.

Według tego zapisu samochód pana Duffy'ego był przy jego domu w chwili morderstwa. To nic nie wносиło do sprawy, bo oskarżony sam się do tego przyznał. Pojechał do pracy, wrócił, zaparkował auto, wszedł do golfowego wózka i odjechał, zostawiając jeszcze żywą żonę.

Nieźle, pomyślał Theo. Potem sprawdził czas. Zostało mu tylko pięć minut przerwy.

Oskarżenie dokonywało właśnie nudnego podsumowania faktów, opisując każdy pojazd, który tamtego ranka wjeżdżał do Waverly Creek. Do jednego z domów przyjechała ciężarówka firmy kanalizacyjnej razem z ekipą. Do drugiego robotnicy kładący podłogi. I tak dalej. Wydawało się, przynajmniej zdaniem Theo, że prokurator stara się opisać każdego, kto przekroczył bramę, a nie był mieszkańcem osiedla.

I co chciał tym udowodnić? Może Jack Hogan planował wykazać, że w chwili morderstwa w Waverly Creek nie było żadnych pojazdów ani ludzi przebywających tam bez pozwolenia. Theo wydawało się to jednak naciągane.

Postanowił darować sobie tę nudną część procesu. Wyłączył laptopa i pospieszył do klasy.

Julia nie było w kafeterii. Theo zjadł w pośpiechu, potem poszedł go poszukać. Męczyła go ciekawość, a im dłużej siedział na lekcji, tym bardziej chciał się dowiedzieć, co też on takiego może wiedzieć. Wypytywał się kilku siódmoklasistów. Żaden nie wiedział, gdzie jest Julio.

Theo wrócił do biblioteki, do tego samego boksu, i szybko włamał się do komputera panny Finney. Tak jak się spodziewał, sędzia ogłosił przerwę na lunch. Gdyby tak się nie stało, Theo znalazłby jakąś wymówkę, żeby wymknąć się do śródmieścia w trakcie południowej przerwy i sprawdzić, co dzieje się w sądzie.

Tak jak podejrzewał, oskarżenie starało się udowodnić, że w chwili zabójstwa w Waverly Creek nie przebywał żaden nieznany pojazd. Według teorii Jacka Hogana morderca nie był więc kimś, kto wszedł bez pozwolenia. Rozbudowany system ochrony natychmiast wyłapałby każdego intruza. Zabójca musiał więc być kimś, kto mógł bez problemu wchodzić i wychodzić, nie przyciągając uwagi strażników. Kimś, kto tam mieszkał. Kimś takim jak Pete Duffy.

Wysiłki oskarżenia zostały storpedowane przez pana Clifforda Nance'a, który pierwsze godziny dzisiejszej rozprawy przesiedział spokojnie. Wziął szefa ochrony w krzyżowy ogień pytań. Zmusił go, aby przyznał, że: (1) w Waverly Creek są sto pięćdziesiąt cztery domki jednorodzinne i osiemdziesiąt mieszkań oraz (2) co najmniej czterysta siedemdziesiąt siedem pojazdów będących w posiadaniu mieszkańców. Jest tam również (3) asfaltowa droga techniczna, nieobserwowana ani przez strażników, ani przez kamery i są (4) co najmniej dwie drogi żwirowe, prowadzące na teren osiedla, a niezaznaczone na mapie.

Pan Nance wykazał także, że Waverly Creek zajmuje obszar około pięciu hektarów i jest tam mnóstwo strumyków, potoków, stawów, lasków,

uliczek, alejek, domów, apartamentowców, są trzy trasy golfowe, i zabezpieczenie tego wszystkiego jest niemożliwe.

Szef ochrony niechętnie się z tym zgodził.

Później przyznał, że nie sposób dokładnie określić, kto znajdował się za bramami osiedla w chwili morderstwa.

Theo uznał to przesłuchanie za znakomite i bardzo dużo wnoszące do sprawy. Posmutniał na myśl, że go to wszystko ominęło.

– Co ty robisz? – Ten głos wstrząsnął Theo i ściągnął go z powrotem do świata gimnazjum. To była April. Znała jego kryjówki.

– Sprawdzam, co było na rozprawie.

– Ja mam nadzieję, że już nigdy więcej nie zobaczę żadnej rozprawy.

Zamknął laptopa i oboje poszli do małego stolika obok czasopism. Chciała porozmawiać. Niemalże szepcząc, odtworzyła koszmar zeznań w sądzie przed gronem marszczących brwi dorosłych, łapiących ją za każde słowo.

Ostatni dzwonek w szkole zabrzmiał o trzeciej trzydzieści, a dwadzieścia minut później Theo już był w sądzie. Został mniejszy tłum niż dzień wcześniej. Na szczęście znalazł miejsce obok Jenny, swojej miłości z biura wydziału rodzinnego. Jednak ona tylko poklepała go po kolanie, jakby był miłym, małym szczeniakiem. Coś takiego zawsze go irytowało.

Przysięgłych nie było. Sędziego Gantry'ego nie było. Trwała przerwa.

– Co się dzieje? – wyszeptał.

– Prawnicy targują się w biurach – odszeptała, marszcząc brwi ze zdenerwowania.

– Cały czas myślisz, że on jest winny? – zapytał jeszcze ciszej.

– Tak, a ty?

– Nie wiem.

Szeptali tak przez kilka minut, a potem dostrzegli jakiś ruch z przodu. Wrócił sędzia Gantry. Prawnicy zebrali się w sali, woźny poszedł po przysięgłych.

Następnym świadkiem oskarżenia był bankier. Jack Hogan zaczął od serii pytań o kredyty udzielone Pete'owi Duffy'emu. Sporo mówiono o finansach i zabezpieczaniu pożyczki, a także o niedotrzymywaniu warunków płatności, wiele z tych spraw było dla Theo za trudnych. Kiedy przyglądał się przysięgłym, zauważył, że większość z nich też nie nadaża. Przesłuchanie szybko zrobiło się nudne. Jeśli miało udowodnić, że Pete Duffy był bankrutem i potrzebował pieniędzy, to zdaniem Theo ten bankier okazał się kiepskim świadkiem.

Oskarżenie miało dzisiaj zły dzień, przynajmniej tak uznał Theo. Rozejrzał po sali sądowej i uświadomił sobie, że nie ma już na niej złowrogiego Ornara Cheepe'a. Stwierdził, że pewnie jest gdzieś w pobliżu i przypatruje się albo nasłuchuje.

Bankier w dalszym ciągu usypiał wszystkich dookoła. Theo zerknął w górę i do tyłu, na balkon, gdzie było pusto, jeśli nie liczyć jednej osoby. Julio. Siedział na drugim krańcu pierwszego rzędu, zgięty wpół, a jego głowa ledwie wystawała ponad barierkę, jakby wiedział, że nie powinien tam się znaleźć.

Theo odwrócił się, spojrzął na świadka, na ławę przysięgłych i zadał sobie pytanie, dlaczego Julio miałby przyglądać się procesowi.

Bo coś wiedział.

Kilka minut później ponownie zerknął w górę. Julio już nie był sam. Bezpośrednio za nim siedział Omar Cheepe. Ale chłopiec nie wiedział, że jest obserwowany.

ROZDZIAŁ 9

Sędzia Gantry zakończył posiedzenie sądu zaraz po piątej i zwołał prawników do swojej kancelarii na to, co jak zapowiadał, będzie nerwową dyskusją. Theo pospieszył na zewnątrz i rozejrzał się za Juliem, lecz ten zniknął bez śladu. Kilka minut później zatrzymał się pod kancelarią prawniczą rodziców i wszedł do środka. Elsa uprzątała biurko, przygotowując się do wyjścia.

– W szkole wszystko w porządku? – zapytała, obejmując go z ciepłym uśmiechem.

– Nie.

– A dlaczego nie?

– Szkoła mnie nudzi.

– Jasne. A szkoła najbardziej nudzi, kiedy trwa akurat proces sądowy, zgadza się?

– Zgadza.

– U twojej matki jest klient. A z tego, co usłyszałam, to twój ojciec teraz ćwiczy uderzenia.

– Przyda mu się trochę praktyki – odparł Theo. – Pa.

– Pa, kochanie. Do zobaczenia jutro. – Elsa wyszła i Theo zamknął za nią drzwi.

Woods Boone trzymał przy biurku kij golfowy i kilka piłeczek. Ćwiczył na starym orientalnym dywaniku, który miał bardzo mało wspólnego ze sztuczną trawą do treningu golfa. Kilka razy dziennie, kiedy „musiał rozprostować plecy”, wybijał kilka piłek. Gdy pudłował, co zdarzało mu się

niewiele częściej niż trafianie, piłki wytaczały się z dywanika i turlały po drewnianej podłodze z charakterystycznym stukotem, nie aż tak głośnym jak kula przetaczająca się po torze w kręgielni, ale i tak robił się niezły hałas. Wszyscy w firmie, na dole, wiedzieli, że kiepski golfista na piętrze znowu chybił.

– No, cześć, Theo – powiedział pan Boone. Siedział przy biurku, nie ćwiczył już strzałów, miał podwinęte rękawy, fajkę wetkniętą między zęby z prawej strony, a przed sobą stertę papierów.

– Cześć, tato.

– Dobrze ci poszło w szkole?

– Super. – Jeśli Theo narzekał, od czego czasem nie potrafił się powstrzymać, wtedy musiał wysłuchać standardowego wykładu o wadze edukacji i takie tam. – Po szkole zajrzałem do sądu.

– Tak myślałem. Coś ciekawego?

Przez kilka minut rozmawiali o procesie. Zdawało się, że ojciec prawie w ogóle się nim nie interesuje, co zdumiewało Theo. Jak prawnika mogło nie pochłaniać tak ważne wydarzenie związane z miejscowym wymiarem sprawiedliwości?

Zadzwonił telefon, pan Boone przeprosił na chwilę. Theo zszedł na dół, aby zobaczyć, co dzieje się w pozostałej części kancelarii. Asystent Vince pracował za zamkniętymi drzwiami. Dorothy, która pomagała przy sprawach związanych z nieruchomościami, poszła już do domu. Theo usłyszał zaaferowane głosy dobiegające z gabinetu matki, dlatego ostrożnie przekradł się korytarzem. Często dochodził stamtąd płacz, żale kobiet przygniecionych małżeńskimi kłopotami, rozpaczliwie potrzebujących pomocy.

Nie potrafił się powstrzymać przed uśmiechem na myśl o tym, jak ważną osobą jest jego matka. Nie miał ochoty zostać takim prawnikiem jak ona,

ale i tak zawsze był z niej dumny.

Poszedł do swojego biura, tam kilka chwil pogawędził z Sędzią i wziął się do odrabiania lekcji. Tych kilka chwil się przeciągnęło, więc zaczęło już robić się ciemno. Pies zawarczał, słysząc jakiś odgłos z zewnątrz, a potem ktoś zapukał do drzwi. Theo, zaskoczony, zerwał się i wyjrzał na zewnątrz. To był Julio. Otworzył mu drzwi.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz? – Chłopak skinieniem głowy wskazał wyjście z budynku.

– Jasne – odparł Theo i zamknął za sobą drzwi. – O co chodzi?

– Sam nie wiem.

– Widziałem cię w sądzie. Co tam robiłeś?

Julio odszedł kilka kroków od budynku kancelarii, tak jakby bał się, że ktoś mógłby go stamtąd podsłuchać. Rozejrzał się wokół, bardzo nerwowo.

– Theo, muszę komuś coś powiedzieć w tajemnicy – oznajmił. – Komuś, kto zna się na prawie.

– Możesz mi zaufać – powiedział Theo, chcąc usłyszeć resztę tej historii, o której myślał cały dzień.

– Ale jak ci to powiem, to nie możesz o tym powiedzieć nikomu innemu, dobra?

– Dobra, ale po co miałbyś mi coś mówić, skoro ja nie mógłbym potem o tym opowiedzieć? Nie rozumiem.

– Potrzebuję rady. Ktoś musi o tym wiedzieć.

– Wiedzieć o czym?

Julio wetknął ręce w kieszenie dżinsów. Skulił barki. Wyglądał na przestraszonego. Theo pomyślał o nim, o jego matce, małym braciszku i siostrzyczce. Mieszkali w przytułku, z dala od swojego prawdziwego domu, opuszczeni przez ojca. Pewnie bali się wszystkiego.

– Julio, możesz mi zaufać – zapewnił.

– Dobra. – Julio wbił wzrok w swoje stopy, niezdolny patrzeć w oczy Theo. – Mam kuzyna z Salwadoru. On tutaj jest, w Strattenburgu. Jest starszy ode mnie, ma może z osiemnaście, dziewiętnaście lat. Jest tutaj mniej więcej od roku. Pracuje na polu golfowym. Przycina trawę, wlewa wodę do zraszaczy, takie rzeczy. Grasz w golfa?

– Tak.

– To pewnie widzisz tych ludzi opiekujących się polem?

– Tak. – W każdy sobotni poranek Theo grał z ojcem na miejskim polu golfowym w Strattenburgu. Zawsze było tam kilku robotników, głównie Latynosów, jak sobie teraz uświadomił, którzy dbali o tory i trawniki.

– Na którym polu golfowym? – zapytał.

W okolicy były co najmniej trzy.

– Tam, gdzie zamordowano tamtą panią.

– Waverly Creek?

– Tak.

Theo poczuł, jak coś ściska go w dołku, taki węzeł, który właśnie się zawiązuje.

– No, dalej – zachęcił, chociaż coś mu w środku mówiło, że powinien natychmiast przerwać tę rozmowę. Wbiec z powrotem do biura i zamknąć za sobą drzwi.

– Widzisz, on pracował w dzień tego morderstwa. Jadł wtedy lunch. Jego przerwa na lunch zaczyna się o jedenastej trzydzieści i trwa do dwunastej. Bardzo tęskni za domem i najczęściej wymyka się i je sam. Ma przy sobie zdjęcie rodziny, swojej matki, ojca i czterech młodszych braci. Kiedy je, to patrzy na to zdjęcie. Robi się wtedy bardzo smutny, ale to mu też przypomina, po co tutaj jest. Co miesiąc wysyła im pieniądze. Są bardzo biedni.

– Gdzie je ten lunch? – zapytał Theo, ale i tak już się domyślił.

– Nie znam się na golfie, wiem tylko tyle, co sam mi powiedział. Aleja i „psia łapa”. Wiesz, co to jest?

– Jasne.

– No i mój kuzyn siedział pod drzewami, na tym zakręcie. Schował się, bo jego przerwa na lunch to jedyny czas, kiedy może pobyć sam. I tam widział tego człowieka, jechał wózkiem golfowym, naprawdę szybko, ścieżką wzdłuż alei. Ten człowiek miał z tyłu wózka zestaw kijów golfowych, ale nie miał piłeczek. Spieszył się. Nagle skręcił w lewo i zatrzymał wózek obok patio domu, w którym zamordowano tamtą kobietę.

Theo, który dotąd wstrzymywał oddech, teraz powiedział:

– O rany.

Julio spojrzał na niego.

– Mów dalej – polecił Theo.

– No i ten człowiek zeskoczył z wózka, podszedł do drzwi na taras, szybko zdjął buty do golfa, otworzył drzwi i wszedł do środka. Drzwi nie były zamknięte, a mężczyzna szedł tak szybko, jakby dokładnie wiedział, gdzie ma iść. Mój kuzyn zbytnio się nad tym nie zastanawiał, bo ci ludzie, którzy tam mieszkają, to cały czas grają w golfa. Ale to wszystko wyglądało trochę dziwnie. To, że ten mężczyzna zdjął na patio buty. I że zrobił jeszcze coś, co mój kuzyn też uznał za dziwne.

– Co?

– Ten człowiek miał na lewej ręce białą rękawiczkę. To normalne, nie?

– Tak. Większość praworęcznych golfistów nosi rękawiczkę na lewej ręce.

– I właśnie tak powiedział mój kuzyn. Czyli że ten mężczyzna grał gdzieś w golfa i postanowił zajrzeć do tamtego domu...

– I zapomniał zdjąć rękawiczkę – powiedział Theo.

– Może, ale teraz będzie coś dziwnego. Gdy ten człowiek już zdjął buty i postawił pod drzwiami, sięgnął do kieszeni, wyciągnął drugą rękawiczkę i szybko wsunął na prawą rękę. I miał już na dłoniach dwie białe rękawiczki.

Supel w dołku Theo zrobił się wielki jak piłka do futbolu.

– Po co ten człowiek miałby wkładać dwie rękawiczki? – zapytał Julio.

Theo nie odpowiedział. W myślach skupił się na obrazie pana Pete'a Duffy'ego, siedzącego w sali sądowej, w otoczeniu prawników, z zadowoloną miną, jakby popełnił zbrodnię doskonałą i nie mógł zostać złapany.

– Która część pola golfowego?

– Numer sześć, na polu Creek, cokolwiek to znaczy.

Dom Duffych, powiedział w duchu.

– Jak daleko był twój kuzyn?

– Nie wiem. Nie byłem tam. Ale był dobrze schowany. Kiedy tamten mężczyzna wyszedł z domu, to się rozejrzał, tak żeby się upewnić, że nikt go nie widzi. Nie miał najmniejszego pojęcia, że mój kuzyn go obserwuje.

– Jak długo tamten mężczyzna był w domu?

– Niedługo. Ale mój kuzyn nie był podejrzliwy. Właśnie kończył lunch i mówił paciorek za swoją rodzinę, kiedy tamten mężczyzna wyszedł tymi samymi drzwiami. Przez chwilę szedł dookoła patio, powoli rozejrzał się po pasie zieleni, a gdy to robił, to zdjął obie rękawiczki i wepchnął do golfowej torby. Włożył buty, potem wskoczył na wózek golfowy i szybko odjechał.

– Co było potem?

– W południe mój kuzyn wrócił do pracy. Kilka godzin później, kiedy już przycinał trawę przy Dziewiątce Północnej, kolega mu powiedział, że coś się stało przy polu Creek, że wszędzie jest pełno policji, że było włamanie i zamordowano jakąś kobietę. Po południu wieści rozeszły się już

po całym polu, no i mój kuzyn szybko się dowiedział, czyj to był dom. Podjechał tam na jednym z wózków obsługi, zobaczył, że wokół kręci się policja. Odjechał czym prędzej.

– Czy komuś o tym powiedział?

Julio kopnął kamyk i znowu się rozejrzył. Nikt im się nie przyglądał.

– Theo, my wciąż rozmawiamy w tajemnicy, prawda?

– Oczywiście.

– Wiesz, kuzyn przebywa tu nielegalnie. Moja matka ma dla nas papiery, ale mój kuzyn nie ma żadnych. Dzień po morderstwie na pole przyjechała policja i zadawała mnóstwo pytań. Pracuje tam jeszcze dwóch innych chłopaków z Salwadoru i obaj są nielegalnie. Dlatego szef kazał mojemu kuzynowi i tym dwóm innym chłopakom, żeby zniknęli, przycupnęli gdzieś na parę dni. Tak właśnie zrobili. Jakikolwiek spotkanie z policją i mój kuzyn zostanie aresztowany, trafi do więzienia, a potem odeślą go z powrotem do Salwadoru.

– I dlatego nikomu nie powiedział?

– Tak. Tylko mi. Pewnego wieczoru oglądał telewizję i zobaczył tam reportaż o tym morderstwie. Pokazali ten dom i mój kuzyn go poznał. Pokazali też tego mężczyznę, chyba pana Duffy'ego, jak szedł po chodniku. Mój kuzyn powiedział, że jest całkiem pewien, że to właśnie ten człowiek, którego widział wchodzącego do domu.

– Dlaczego ci o tym powiedział?

– Bo ja jestem jego kuzynem i chodzę do szkoły. Dobrze mówię po angielsku i mam dokumenty. On nie zna się na systemie prawnym i poprosił mnie o pomoc.

Powiedziałem, że spróbuję się czegoś dowiedzieć. Theo, właśnie dlatego tutaj jestem.

– Czego ode mnie chcesz?

– Powiedz nam, co mamy robić? On może być ważnym świadkiem, prawda?

– O tak.

– No to co mój kuzyn ma zrobić?

Zwiewać z powrotem do Salwadoru, pomyślał Theo, ale tak nie powiedział.

– Daj mi chwilę – odparł, drapiąc się po szczęce. Nagle zaczął go uwierać aparat na zębach. Kopnął kamień i spróbował sobie wyobrazić burzę, która się rozpęta, jeżeli kuzyn Julia zacznie zeznawać.

– Czy jest jakaś nagroda? – zapytał Julio.

– On chce pieniędzy?

– Każdy chce pieniędzy.

– Nie wiem, ale może już być za późno. Proces jest już w połowie. – Theo znowu kopnął kamień. Przez chwilę obaj patrzyli sobie pod nogi.

– To niewiarygodne – powiedział Theo. Czuł się nieomal oszołomiony i zmieszany. Myślał jednak na tyle jasno, aby mieć świadomość, że to wszystko znacznie go przerasta. To było coś dla dorosłych.

I nie było jak zachować tego w tajemnicy.

– I co? – naciskał Julio. Wpatrywał się w Theo, oczekując, aż ten powie coś mądrego.

– Gdzie mieszka twój kuzyn?

– Niedaleko Quarry. Nigdy tam nie byłem.

Tego Theo się już sam domyślił. Quarry było kiepską dzielnicą, gdzie mieszkali ludzie o niskich dochodach. Strattenburg stanowił raczej bezpieczne miasto, ale czasem dochodziło do jakiejś strzelaniny, przemytu narkotyków – i chyba zawsze działo się to gdzieś w Quarry.

– Mogę porozmawiać z twoim kuzynem? – zapytał.

– Sam nie wiem. On jest tym naprawdę zdenerwowany. Boi się, że może wpaść w poważne kłopoty. Jego praca jest bardzo ważna dla rodziny, którą zostawił w domu.

– Rozumiem. Ale zanim postanowię, co mamy dalej robić, muszę ustalić kilka rzeczy. Jak często widzisz się z kuzynem?

– Raz albo dwa na tydzień. Wpada do przytułku i zagląda do mojej matki. Bardzo tęskni za domem, a my jesteśmy jego jedyną rodziną.

– Ma jakiś telefon?

– Nie, ale mieszka z kilkoma innymi chłopakami i jeden z nich ma telefon.

Theo dreptał po żwirowym parkingu, pogrążony w myślach. Potem pstryknął palcami.

– Dobra, mam plan – oznajmił. – Jak zgaduję, dzisiaj wieczorem będziesz potrzebował pomocy przy pracy domowej z algebry.

– Tak myślę.

– Po prostu powiedz „tak”.

– Tak.

– Dobrze. Skontaktuj się ze swoim kuzynem i powiedz mu, żeby zajrzał do schroniska za godzinę. Będę się spieszył, żeby pomóc ci w pracy domowej, i natknę się na twojego kuzyna. Powiedz mu, że można mi zaufać i nikomu nic nie powiem, dopóki mi na to nie pozwoli. Kumasz?

– Spróbuję. Co będzie, jak już z nim porozmawiasz?

– Nie wiem. Do tego jeszcze nie doszedłem.

Julio zniknął w ciemności. Theo wrócił do swojego biura, tam gdzie trzymał teczkę poświęconą sprawie Duffy'ego. Miał w niej artykuły, gazety, kopię aktu oskarżenia i wyniki internetowych poszukiwań informacji o Pecie Duffym i Cliffordzie Nansie, nawet o oskarżycielu, Jacku Hoganie.

Wszyscy prawnicy zakładali takie teuczki.

Środa oznaczała chińszczyznę na wynos ze Złotego Smoka. Zawsze jedli ją w salonie. Boone'owie oglądali wtedy telewizję, ulubiony program Theo, powtórkę starego serialu o Perrym Masonie.

U pani Boone wciąż jeszcze siedziała klientka, jakaś biedna kobieta, której płacz dochodził zza zamkniętych drzwi. Pan Boone właśnie wybierał się do Złotego Smoka, kiedy Theo wyjaśnił, że musi zajrzeć do schroniska i spędzić kilka chwil z Juliem.

– Nie spóźnij się – powiedział ojciec. – Jemy o siódmej.

– Nie spóźnię się. – No jasne, że jedli o siódmej.

Na parterze kancelarii, nieopodal ściany frontowej, mieściła się biblioteka. Pośrodku stał długi stół, a wokół niego skórzane fotele. Na ścianach wisiały półki pełne opasłych tomów. Tam właśnie odbywały się ważne spotkania. Od czasu do czasu prawnicy zbierali się, aby ustalić oświadczenia albo dojść do ugody. W bibliotece chętnie pracował Vince. Theo też, jeśli w firmie nie było zbyt wielu osób. Chłopiec lubił też zakradać się do biblioteki wieczorem, już po zamknięciu biura, gdy wszyscy wyszli.

Wszedł tam z Sędzią i zamknął drzwi. Nie włączał światła. Rozsiadł się w skórzanym fotelu, położył nogi na stole i patrzył na książki pograżone w półmroku. Tysiące książek. Ledwie słyszał głosy matki oraz jej klientki, dobiegające przez korytarz.

Theo nie znał żadnego innego dzieciaka, którego rodzice pracowaliby razem. Nie znał też żadnego innego dzieciaka, który po lekcjach kręciłby się po kancelarii prawniczej. Większość jego kolegów grała w bejsbol, w nogę, pływała albo łąziła po domu, czekając na kolację. A on siedział sobie tutaj w ciemnej prawniczej bibliotece, rozmyślając o wydarzeniach ostatniej godziny.

Uwielbiał to miejsce, mocny zapach garbowanej skóry, starych dywanów i zakurzonych książek prawniczych. Nastrój powagi.

Jak to możliwe, że właśnie on, Theodore Boone, poznał prawdę o zamordowaniu pani Duffy? Dlaczego właśnie on – ze wszystkich siedemdziesięciu pięciu tysięcy mieszkańców Strattenburga. Dlaczego? To najpoważniejsze przestępstwo w mieście od lat pięćdziesiątych i właśnie on, Theo, nagle znalazł się w samym środku wydarzeń.

Nie miał pojęcia, co robić.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Theo zatrzymał swój rower pod schroniskiem Highland Street, kręciło się tam kilku podejrzanych typów. Przeszedł obok nich z grzecznym „przepraszam”, obdarzając ich swoim srebrnym uśmiechem. Tak naprawdę się nie bał, bo przecież ci ludzie nie zaczepiliby dziecka. W powietrzu wisiał paskudny odór przetrawionego alkoholu.

– Mały, masz drobne? – zapytał ochrypły głos.

– Nie, proszę pana – odparł Theo, nie zwalniając kroku.

W środku, w suterenie, zastał Julia i jego rodzinę. Właśnie kończyli kolację. Matka Salvadorczyka całkiem znośnie mówiła po angielsku, ale najwyraźniej nie pojmowała, czemu Theo przyszedł do nich w środowy wieczór. Theo wyjaśnił, używając tego, co uważał za doskonałą hiszpańszczyznę, że Julio potrzebuje dodatkowej pomocy z algebry. Jednak najwyraźniej kobieta nie zrozumiała tej jego doskonałej hiszpańszczyzny, bo zapytała Julia, co Theo do niej mówi. Potem Hector zaczął płakać i musiała się nim zająć.

W kafeterii było tłoczno i duszno, były tam też jeszcze inne płaczące dzieci. Theo uciekł więc z Juliem do niewielkiej świetlicy na górze, tam gdzie pani Boone czasem spotykała się ze swoimi klientkami ze schroniska.

– Rozmawiałeś ze swoim kuzynem? – zapytał Theo, kiedy zamknął drzwi.

– Tak, powiedział, że przyjdzie, ale ja tam nie wiem. On się bardzo boi. Nie zdziw się, jak się nie pojawi.

– Dobra. Zajmijmy się algebrą.

– Musimy?

– Julio, masz same tróje. To jeszcze za mało. Powinieneś dostawać czwórki.

Po dziesięciu minutach obaj się znużyli. Theo nie potrafił się skupić, bo myśli wędrowały mu do kuzyna Julia i tego, jaką bombą mogą okazać się jego zeznania. Julio odpływał, bo nie cierpiał algebry. Zadzwoiła komórka Theo.

– To moja mama – wyjaśnił i odebrał.

Wychodziła właśnie z biura, martwiła się o niego. Zapewniał ją, że wszystko z nim w porządku, że teraz sumiennie pracuje z Juliem i zjawi się w domu na chińszczyźnie, nawet jeśli miałyby to być zimna chińszczyzna. Jaka to zresztą różnica, ciepła czy zimna?

Kiedy się rozłączył, odezwał się Julio.

– Ale ty masz fajnie, że masz komórkę.

– Nie ja jeden w szkole mam komórkę – wyjaśnił Theo. – A ta jest tylko do połączeń lokalnych, nie do rozmów na duże odległości.

– I tak fajnie.

– Ale to jest tylko komórka, a nie komputer.

– Nikt w mojej klasie nie ma komórki.

– Jesteś dopiero w siódmej klasie. Poczekaj do następnego roku. Jak myślisz, gdzie teraz jest twój kuzyn?

– Zadzwoń do niego.

Theo się zawahał. Potem pomyślał: A czemu nie? Nie miał przecież całego wieczoru na spotkanie z tym kuzynem. Wystukał numer, wręczył telefon Juliowi, który posłuchał przez kilka sekund, a potem stwierdził:

– Poczta głosowa.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Kuzyn wciąż jeszcze miał na sobie roboczy drelich koloru khaki, z dużym napisem „Waverly Creek Golf” z tyłu bluzy i podobnym, chociaż znacznie mniejszym, na kieszeni z przodu. Do kompletu miał jeszcze czapkę z takim samym napisem. Salvadorczyk był niewiele wyższy od Theo i jeszcze zanim usiadł, już było widać, że jest gotów wyjść w każdej chwili.

Nie podał ręki Theo i nie podał imienia ani nazwiska. Pospiesznie rozmówił się z Juliem po hiszpańsku. Ton głosu miał nerwowy.

– On chce wiedzieć, dlaczego miałby ci zaufać – wyjaśnił Julio.

Theo był wdzięczny za tłumaczenie, bo prawie nie rozumiał hiszpańszczyzny tego chłopaka.

– Słuchaj, Julio, co powiesz na takie małe podsumowanie? On przyszedł do ciebie, ty przyszedłeś do mnie, a teraz ja jestem tutaj. Ja tego nie zacząłem. Jeśli chce wyjść, to do widzenia. Ja tam chętnie pójdę do domu – mówił bez ogródek i po angielsku brzmiało to dosyć ostro. Julio przetłumaczył wszystko na hiszpański, a kuzyn spojrzał na Theo tak, jakby go właśnie obrażono.

Theo wcale nie chciał wychodzić. Wiedział jednak, że powinien. Wiedział, że lepiej się w to nie mieszać. Powtarzał sam sobie, żeby stąd zaraz zmiatać, ale tak naprawdę podobało mu się, że znalazł się właśnie tutaj i teraz.

– Powiedz mu, że może mi zaufać i że tego, co mi powie, nikomu nie powtórzę – oznajmił, zwracając się do Julia.

Julio przetłumaczył, a kuzyn jakby się nieco odprężył.

Dla Theo było oczywiste, że ten chłopak bardzo się martwi i potrzebuje pomocy. Julio w dalszym ciągu szwargotał po hiszpańsku. Wychwalał Theo pod niebiosa, przynajmniej z tego, co rozumiał młody Boone.

Kuzyn się uśmiechnął.

Theo wydrukował kolorową mapę pola golfowego Creek, ściągniętą z Google Earth i zaznaczył dom Duffy'ego. Kuzyn, nadal bezimienny, zaczął opowiadać. Wskazał miejsce wśród drzew na ostrym zakręcie szóstej alejki i pospiesznie opowiedział o tym, co zobaczył. Siedział tam na jakichś belkach, przy strumyku, zaraz za linią drzew. Jadł lunch i zajmował się swoimi sprawami, kiedy dostrzegł tamtego mężczyznę wchodzącego do domu tylnymi drzwiami. Kilka minut później mężczyzna wyszedł. Julio dzielnie wszystko tłumaczył, często stopując kuzyna, by przełożyć jego słowa na angielski. Z kolei Theo coraz więcej rozumiał z hiszpańszczyzny chłopaka, w miarę jak się przyzwyczajał do używanych przez niego wyrażen.

Kuzyn opowiadał o szaleństwie, które rozpętało się na polu golfowym, kiedy pojawiła się tam policja i rozeszły wieści o morderstwie. Jeden z jego znajomych, dzieciak z Hondurasu, który pracował w klubowym grillu, opowiadał, że pan Duffy jadł akurat późny lunch i pił drinka, gdy dostał wiadomość o śmierci żony. Zareagował gwałtownie. Wypadł z lokalu, wskoczył na golfowy wózek i popędził do domu. Ten kolega mówił jeszcze, że pan Duffy miał na sobie czarny sweter, brunatne spodnie i kasztanową czapkę golfową. Kuzyn stwierdził, że wszystko doskonale pasowało do mężczyzny, którego sam widział, tego, który wszedł do domu Duffych i kilka chwil później z niego wyszedł.

Theo wyciągnął ze swojej teczki cztery zdjęcia Pete'a Duffy'ego. Wszystkie znalazł w Internecie, w archiwach strattenburskiego dziennika. Powiększył je do formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i wydrukował. Teraz rozłożył zdjęcia na stole i czekał na reakcję, ale kuzyn nie potrafił zidentyfikować pana Duffy'ego. Mówił, że kiedy jadł w odosobnieniu swój lunch, siedział w odległości sześćdziesięciu do stu metrów od tego człowieka. Mężczyzna bardzo przypominał tego z

fotografii, jednak kuzynowi brakowało całkowitej pewności. Miał ją jednak co do tego, jak tamten człowiek był ubrany.

Pozytywna identyfikacja dokonana przez kuzyna byłaby pomocna, ale nie miała kluczowego znaczenia. Łatwo dałoby się ustalić ubranie, jakie miał na sobie pan Duffy, a zeznanie świadka, że widział jakiegoś mężczyznę w identycznym stroju, wchodzącego do domu zaledwie kilka chwil przed popełnieniem morderstwa, ostatecznie potwierdziłoby winę oskarżonego. Przynajmniej zdaniem Theo.

Gdy przysłuchiwał się Juliowi tłumaczącemu jego słowa na hiszpański, bacznie obserwował też kuzyna. Nie miał wątpliwości, że mówi prawdę. Zresztą dlaczego miałyby być inaczej? Kłamiąc, niczego by nie uzyskał, za to mógł mnóstwo stracić. Jego opowieść była wiarygodna i pasowała doskonale do teorii oskarżenia. Problem jednak w tym, że oskarżenie w ogóle nie miało pojęcia o istnieniu tego świadka.

Theo słuchał uważnie i ponownie pytał sam siebie, co ma teraz robić.

Kuzyn zaczął mówić jeszcze szybciej, tak jakby w końcu pękła w nim jakaś tama i chciał wyrzucić z siebie wszystko, co wiedział. Julio jeszcze bardziej trudził się przy tłumaczeniu, a Theo gorączkowo stukał na klawiaturze laptopa, robiąc tyle notatek, ile tylko zdołał. Przerywał opowieść, prosił Julia, aby coś powtórzył i kontynuowali.

Kiedy Theo nie przychodziły już do głowy żadne pytania, zerknął na zegarek i zdziwił się, że jest tak późno. Minęła siódma. Rodzice raczej się nie ucieszą, że spóźni się na kolację. Powiedział, że musi już iść. Kuzyn zapytał, co się teraz stanie.

– Nie jestem pewien – odparł. – Daj mi trochę czasu. Daj mi się z tym przespać.

– Ale obiecałeś, że nikomu nie powiesz – przypomniał Julio.

– Nie powiem. Przynajmniej dopóki my trzej nie wymyślimy jakiś planu.

– Jeśli on się wystraszy, to po prostu zniknie – stwierdził Julio, ruchem głowy wskazując kuzyna. – Nie może dać się złapać. Rozumiesz?

– Jasne, że rozumiem.

Ryż z kurczakiem okazał się chłodniejszy niż zwykle, ale Theo i tak nie miał apetytu. Boone'owie jedli z tacek, siedząc w salonie i oglądając telewizję. Sędzia, który już od swojego pierwszego tygodnia w roli członka rodziny odmawiał karmy dla psów, jadł ze swojej miski pod telewizorem. Z jego apetytem wszystko było w porządku.

– Dlaczego nie jesz? – zapytała matka, zatrzymując pałeczki w połowie drogi do ust.

– Jem przecież.

– Chyba się czymś martwisz – zauważył ojciec. On akurat używał widelca.

– Właśnie – przytaknęła matka. – Coś się stało w schronisku?

– Nie, tylko myślę o Juliu i o jego rodzinie, i o tym, jak im musi być ciężko.

– Misiaczk, ale z ciebie kochany dzieciak.

Ech, gdybyście tylko wiedzieli, pomyślał Theo.

Czarno-biały Perry Mason był właśnie w samym środku dużego procesu, o krok od jego przegrania. Sędzia miał go już dosyć. Przysięgli wydawali się nastawieni sceptycznie. Oskarżyciela aż przepełniała pewność siebie. Nagle Perry spojrział na tłum widzów i wypowiedział nazwisko niespodziewanego świadka. Świadek zajął miejsce, potem zaczął zeznawać coś bardzo różniącego się od wersji prokuratura. Nowe fakty doskonale do wszystkiego pasowały. Świadek przetrzymał krzyżowy ogień pytań, ława przysięgłych wzięła stronę klienta Perry'ego Masona.

Kolejne szczęśliwe zakończenie. Kolejny triumf w sali sądowej.

– To tak nie działa – odezwała się pani Boone.

Starła się to wyjaśnić co najmniej trzy razy w trakcie każdego odcinka.

– Nie ma czegoś takiego, jak niespodziewani świadkowie.

Theo dostrzegł swoją szansę.

– Ale co jeśli nagle pojawia się jakiś świadek? Taki o kluczowym znaczeniu dla poznania prawdy? I to taki, o którym nikt nie wiedział?

– Jeśli nikt o nim nie wiedział, to jak miałby dotrzeć do sali sądowej? – zapytał pan Boone.

– A co, jeśli się po prostu pojawi? – mówił Theo. – Co, jeśli jakiś naoczny świadek przeczyta o procesie w gazecie albo zobaczy coś w telewizji i sam się zgłosi? Nikt nie wiedział o jego istnieniu. Nikt nie miał pojęcia, że widział zbrodnię. Co wtedy zrobiłby sędzia?

Theo rzadko kiedy potrafił, nawet na krótko, zabić klina dwojgu pozostałym prawnikom z rodziny. Teraz jednak rodzice zastanowili się nad pytaniem. Pewne stały się dwie sprawy. Po pierwsze, każde z rodziców wyrazi inną opinię. Po drugie, nie było mowy, aby się zgodzili.

Pierwsza odezwała się matka.

– Oskarżenie nie może wykorzystać świadka, który nie został ujawniony sądowi ani obronie. Przepisy zabraniają niespodziewanych świadków.

– Ale – odezwał się ojciec, niemal jej przerywając. Widać było, że ma ochotę na dyskusję. – Skoro oskarżenie nic nie wie o świadku, to oskarżenie nie może wyjawić jego tożsamości. W procesie chodzi przede wszystkim o odkrycie prawdy. Odmawianie naocznemu świadkowi możliwości złożenia zeznań jest tym samym ukrywaniem prawdy.

– Prawo to prawo.

– Ale sędzia może w razie potrzeby modyfikować reguły.

– Wyrok skazujący nie przetrzymałby apelacji.

– Nie jestem tego taki pewien.

Ciągłe odbijanie piłeczki, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Theo zamilkł. Pomyślał, czy aby nie przypomnieć rodzicom, że przecież żadne z nich nie specjalizuje się w prawie karnym – no ale taka uwaga pewnie ściągnęłaby na niego ostrzał z obu stron. W domu Boone'ów często dochodziło do podobnych sporów. Theo wiele dowiadywał się na temat prawa przy kolacji, na ganku, nawet na tylnym siedzeniu samochodu.

Na przykład dowiedział się, że jego rodziców, jako prawników, uznawano za funkcjonariuszy sądowych. I jako tacy mieli obowiązek wspomagania wymiaru sprawiedliwości. Jeśli inni prawnicy łamali zasady etyki zawodowej, policja łamała regulamin albo jeśli sędzia nie stosował się do przepisów, wtedy jego rodzice musieli podejmować odpowiednie działania.

Zdaniem Boone'ów wielu prawników ignorowało ten obowiązek – ale nie oni.

Theo bał się im powiedzieć o kuzynie Julia. Poczucie obowiązku przypuszczalnie skłoniłoby ich, aby iść z tym prosto do sędziego Gantry'ego. Kuzyna zabrałaby policja, zaciągnęłaby go do sądu, zmusiła do złożenia zeznań i zatrzymała za nielegalny pobyt. Wsadziliby go do aresztu, a potem do jakiegoś miejsca internowania, gdzie, zgodnie z tym, co mówił pan Mount, mógł spędzić całe miesiące, zanim zostałby odesłany do Salwadoru.

Wiarygodność Theo ległaby w gruzach. Przez niego poważnie ucierpiałaby czyjaś rodzina.

Ale winny zostałby skazany. W innym wypadku Pete Duffy pewnie wyjdzie z sądu jako wolny człowiek. Uniknie kary za morderstwo.

Theo przełknął kolejny kęs zimnego kurczaka.

Wiedział, że dzisiaj niewiele będzie spał.

ROZDZIAŁ II

Koszmary skończyły się tuż przed wschodem słońca, a Theo porzucił w końcu nadzieję na odrobinę porządnego wypoczynku. Przez dłuższy czas wpatrywał się w sufit sypialni, czekając na odgłosy świadczące o tym, że rodzice już wstali. Przywitał się z Sędzią śpiącym pod łóżkiem.

W nocy wielokrotnie przekonywał sam siebie, że nie ma innego wyboru, jak wcześnie rano usiąść z rodzicami i opowiedzieć o kuzynie Julia. Jednak wielokrotnie zmieniał zdanie. Kiedy wreszcie zwlókł się z łóżka, uznał, że nie potrafi zmusić się do złamania obietnicy złożonej Juliowi oraz jego kuzynowi. Nie mógł powiedzieć nikomu. Jeśli ktoś winny morderstwa ma przez to zachować wolność, trudno, to już nie jego problem.

A może jego?

Trochę pohłasował, tak jak zwykle, gdy przechodził swój poranny rytuał – prysznic, mycie zębów, zakładanie aparatu, codzienną mękę, co dziś na siebie włożyć. Jak zwykle pomyślał o Elsie i jej irytującym zwyczaju szybkiego sprawdzania jego koszuli, spodni i butów – czy aby wszystko do siebie pasuje i niczego nie nosił dłużej niż trzy dni.

Słyszał, jak kilka minut przed siódmą z domu pośpiesznie wychodzi ojciec. Słyszał, że matka ogląda w saloniku jakiś poranny program telewizyjny. Dokładnie o siódmej trzydzieści zdenerwowany Theo zamknął drzwi łazienki, włączył komórkę i zadzwonił do stryja Ike'a.

Ike wstawał późno. Jego smutna kariera niezbyt rozchwytywanego specjalisty od podatków nie wiązała się z dużą liczbą zajęć. Ike zresztą nie rwał się do nich. Wykonywał nudną pracę, o czym wspominał Theo przy

wielu okazjach. Miał jeszcze jeden problem – za dużo pił i ten nieszczęsny nałóg sprawiał, że jego poranki były jeszcze trudniejsze. Theo już od lat słyszał, jak dorośli rozmawiają o tym, że stryj lubi zajrzeć do kieliszka. Gdy kiedyś Elsa pytała się Vince'a o coś związanego z Ikiem, asystent odpowiedział szorstko: „Może jak wytrzeźwieje”. Co prawda, nie było to przeznaczone dla uszu Theo, ale przecież kręcąc się po kancelarii, chłopiec słyszał o wiele więcej, niż myślano.

Ike nareszcie odebrał telefon. W słuchawce rozległo się szorstkie i nieuprzejme:

– Theo?

– Tak, to ja, dzień dobry. Przepraszam, że zawracam ci głowę tak wcześnie. – Starał się mówić tak łagodnie, jak tylko zdołał.

– Nie ma problemu. Przypuszczam, że masz jakąś sprawę.

– Tak, możemy porozmawiać dzisiaj rano, jak najwcześniej? W twoim biurze? Wydarzyło się coś naprawdę poważnego i nie wiem, czy mogę o tym rozmawiać z rodzicami.

– Oczywiście, Theo. O której?

– Może być kilka minut po ósmej? Szkoła zaczyna się o ósmej trzydzieści. Jeśli wyjdę za wcześnie, to mama może zacząć coś podejrzewać.

– Jasne. Może być.

– Dzięki, Ike.

Theo pospiesznie przebrnął przez śniadanie, ucałował mamę na pożegnanie, pogadał z Sędzią, a potem, równo o ósmej pognął na rowerze po Mallard Lane.

Ike siedział przy biurku. Przed sobą miał duży papierowy kubek parującej kawy i wielką cynamonową bułeczkę z co najmniej centymetrową

warstwą lukru. Ciastko wyglądało pysznie, ale Theo dopiero co skończył owsiankę. Zresztą wcale nie chciało mu się jeść.

– Czy z tobą wszystko w porządku? – zapytał Ike, kiedy Theo usiadł na brzegu krzesła.

– Chyba tak. Ale muszę porozmawiać z kimś, komu mogę zaufać, z kimś, kto się zna na prawie.

– Zamordowałeś kogoś? Obrabowałeś bank?

– Nie.

– Wyglądasz na bardzo spiętego – zauważył Ike, oderwał wielki kawał cynamonowego ciastka i wepchnął sobie do ust.

– Ike, chodzi o sprawę Duffy'ego. Chyba wiem, czy Duffy jest winny, czy nie.

Ike, nie przerywając żucia, pochylił się do przodu i oparł na łokciach. Kiedy spojrział na bratanek, wokół oczu pojawiły mu się zmarszczki.

– Mów dalej.

– Jest pewien świadek, taki chłopak, o którym nikt nic nie wie, który widział coś akurat wtedy, kiedy popełniono morderstwo.

– A ty wiesz, kto to jest?

– Tak i obiecałem, że nie powiem.

– Jak dotarłeś do tego chłopaka?

– Przez kolegę ze szkoły. Ike, ja już nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Obiecałem.

Ike przełknął z trudem, potem chwycił kubek i pociągnął długi łyk kawy. Ani razu nie spuścił wzroku z Theo. Tak naprawdę wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Jego bratanek znał przecież więcej prawników, urzędników sądowych, sędziów i policjantów niż ktokolwiek inny w tym mieście.

– A cokolwiek widział ten nieznany świadek, to by miało wielki wpływ na proces, prawda? – zapytał Ike.

- Tak.
 - Czy ten świadek rozmawiał już z policją, z prawnikami albo z kimkolwiek związanym ze sprawą?
 - Nie.
 - I ten świadek nie chce się teraz ujawniać?
 - Nie chce.
 - Czy ten świadek się czegoś boi?
 - Tak.
 - Czy zeznania tego świadka pomogłyby skazać pana Duffy'ego, czy też pomogłyby go uniewinnić?
 - Zdecydowanie skazać.
 - Rozmawiałeś z tym świadkiem?
 - Tak.
 - I wierzysz mu?
 - Tak. On mówi prawdę.
- Kolejny długi łyk kawy. Mlaśnięcie. Oczy Ike'a wierceły dziurę w Theo.
- Dzisiaj jest czwartek – kontynuował – trzeci pełny dzień procesu. Z tego, co słyszałem, sędzia Gantry bardzo chce skończyć w tym tygodniu, nawet jeśli by to oznaczało rozprawę w sobotę. Więc ten proces pewnie jest już w połowie.
- Theo pokiwał głową. Ike wepchnął do ust kolejny duży kęs i przeżuwał powoli. Minęła minuta. Wreszcie przełknął.
- Rozumiem więc, że pytanie brzmi: co, jeśli cokolwiek, należy zrobić na tym etapie procesu w związku z pojawieniem się tego świadka?
 - Właśnie tak – stwierdził Theo.
 - Tak. A z tego, co wiem, panu Jackowi Hoganowi przydałyby się jakieś niespodzianki. Oskarżenie od początku miało słabe podstawy i one robią się coraz słabsze.

- Myślałem, że nie śledzisz tego procesu.
- Theo, mam przyjaciół. Źródła informacji.

Ike zerwał się z krzesła i poszedł na drugi koniec pokoju, gdzie stało kilka starych regałów pełnych książek prawniczych. Przesunął palcem po grzbietach paru tomów, a potem ściągnął jeden z półki i zaczął wertować. Wrócił do biurka, usiadł, położył książkę przed sobą. Zaczął szukać w niej tego, co właśnie przyszło mu do głowy. Po długiej chwili ciszy oznajmił wreszcie:

– Mam. Według procedury w trakcie sprawy karnej sędzia ma możliwość unieważnienia procesu, jeśli uzna, że doszło do czegoś niestosownego. Podają tutaj kilka przykładów: z przysięgłym skontaktował się ktoś zainteresowany określonym wynikiem rozprawy; ważny świadek zachorował albo z jakiegoś powodu nie może zeznawać; zniknął kluczowy dowód. Tego typu rzeczy.

Theo już o tym wiedział.

- Czy jest tam coś o niespodziewanych świadkach? – zapytał.
- Nie dosłownie, ale zgodnie z tym przepisem sędzia może zrobić absolutnie wszystko, co uważa za słuszne. Można uznać, że powodem do unieważnienia postępowania sądowego jest brak ważnego świadka.
- Co się dzieje po takim unieważnieniu?
- Zarzuty nie zostają oddalone. Ustala się datę następnego procesu.
- Kiedy?
- To zależy od sędziego, ale podejrzewam, że w tej sprawie Gantry nie będzie długo czekał. Ze dwa miesiące. Wystarczająco dużo czasu, żeby ten tajny świadek wziął się w garść.

Myśli Theo tak się rozpędziły, że aż nie wiedział, co teraz ma powiedzieć.

– Zatem, Theo – odezwał się Ike – pytanie brzmi, jak przekonać sędziego Gantry'ego do unieważnienia, zanim sprawa pójdzie do ławy przysięgłych? Zanim ława przysięgłych nie uzna pana Duffy'ego niewinnym, podczas gdy w rzeczywistości jest winny?

– Nie wiem. Ike, tu się właśnie zaczyna twoja rola. Potrzebuję twojej pomocy.

Stryj odsunął książkę na bok i oderwał kolejny kawałek cynamonowej bułeczki. Przeżuwał go, rozważając sprawę.

– Zrobimy tak – oznajmił wreszcie, w dalszym ciągu żując. – Pójdiesz do szkoły. Ja pójdę do sali rozpraw i przyjrę się wszystkiemu. Muszę zrobić rozpoznanie, może też porozmawiać z jakimś kolegą. Nie podam twojego nazwiska. Wierz mi Theo, ja cię zawsze będę chronił. Możesz do mnie zadzwonić w porze lunchu?

– Jasne.

– No to spadaj.

Kiedy Theo był już przy drzwiach, Ike zapytał jeszcze:

– Dlaczego nie powiedziałaś o tym rodzicom?

– A myślisz, że powinienem?

– Nie teraz. Może później.

– Ike, oni są tacy praworządni. Sam wiesz, są urzędnikami sądowymi i mogą mnie zmusić, żebym powiedział im, co wiem. To skomplikowane.

– Theo, to jest zbyt skomplikowane dla trzynastolatka.

– Chyba masz rację.

– Zadzwoń do mnie podczas lunchu.

– Zadzwonię, Ike. Dzięki.

W trakcie przerwy, kiedy Theo przepychał się, szukając April, ktoś zawołał go na korytarzu. To był Sandy Coe. Biegł do niego.

– Masz chwilkę, Theo? – zapytał.

– Jasne.

– Słuchaj, chciałem tylko powiedzieć, że moi rodzice poszli się zobaczyć z tym prawnikiem od bankructwa, z tym Mazingo, i on nam obiecał, że nie stracimy domu.

– To świetnie, Sandy.

– Powiedział im, że będą musieli ogłosić bankructwo, zrobić wszystko, co już mówiłeś, ale zatrzymamy dom.

Sandy sięgnął do plecaka, wyciągnął niewielką kopertę i wręczył ją Theo.

– To od mojej mamy. Powiedziałem jej o tobie i myślę, że to jest podziękowanie.

Theo niechętnie wziął kopertę.

– Sandy, nie trzeba było. To nic takiego.

– Nic? Theo, nie zabiorą nam domu.

Theo dostrzegł, że oczy Sandy'ego zwilgotniały. On prawie się rozkleił. Poklepał go po ramieniu i powiedział:

– Cała przyjemność po mojej stronie. A jakbym jeszcze kiedyś mógł pomóc, to daj znać.

– Dzięki, Theo.

Na lekcji wiedzy o społeczeństwie pan Mount poprosił Theo, aby przedstawił klasie nowe informacje na temat procesu pana Duffy'ego. Theo wyjaśnił, że oskarżenie starało się udowodnić, że państwu Duffym nie układało się w małżeństwie, a dwa lata temu o mała nie złożyli pozwów rozwodowych. Na świadków wezwano kilkoro ich przyjaciół, ci jednak zdaniem Theo nie radzili sobie postawieni w krzyżowym ogniu pytań Clifforda Nance'a.

Przez chwilę Theo zastanawiał się, czy aby nie włączyć laptopa i nie odczytać bezpośrednio dialogów z sali sądowej. Stwierdził jednak, że lepiej

nie. Co prawda nie popełnił przestępstwa, wchodząc na stronę sekretarza sądowego, ale nie było to też na pewno nic dobrego.

Gdy tylko lekcja się skończyła i chłopcy ruszyli do kafejki, Theo wśliznął się do ubikacji, skąd zadzwonił do Ike'a. Dochodziła już jedenasta trzydzieści.

– Uniewinnią go – oznajmił stryj, zaraz po tym jak odebrał. – Nie ma mowy, żeby Hogan uzyskał wyrok skazujący.

– Ile widziałeś? – zapytał Theo, chowając się w kabinie.

– Wszystko, co było rano. Clifford Nance jest za dobry, a Hogan dał się zbić z tropu. Przyglądałem się przysięgłym. Nie podoba im się Pete Duffy, ale brak im dowodów. Uniewinnią go.

– Ike, ale przecież on jest winny.

– Skoro tak mówisz. Ale ja nie wiem tego, co ty wiesz. Nikt nie wie.

– Co robimy?

– Cały czas nad tym pracuję. Wpadnij po szkole.

– Na pewno wpadnę.

ROZDZIAŁ 12

Wśród ósmoklasistek najbardziej lubiano pewną kędzierzawą brunetkę o imieniu Hallie – bardzo ładną, towarzyską i uwielbiającą flirtować. Hallie była kapitanem drużyny czirliderek, sama też grała. Jeszcze żaden z chłopaków nie pokonał jej w tenisa. Kiedyś pokonała Briana w pływaniu na sto metrów stylem dowolnym i na pięćdziesiąt metrów żabką. Interesowała się lekkoatletyką, więc jeśli chodzi o płęć przeciwną, Theo był u niej w połowie listy. Może nawet na końcu.

Jednak jej pies miał charakterek, dzięki czemu Theo awansował.

Psem tym był sznaucer, który zawsze szalał, gdy zostawał sam w domu.

Teraz zdołał uciec wyjściem dla psa, przekopać się pod ogrodzeniem podwórza, a potem, tak z kilometr od domu, złapał go hycel. Theo usłyszał tę historię, kiedy kończył lunch. Hallie z dwiema koleżankami niemal podbiegła do jego stołu i opowiedziała o wszystkim. Była zrozpaczona, tonęła we łzach, a Theo nie mógł przestać myśleć, jaka jest ładna, nawet kiedy płacze. Nadeszła jego wielka chwila.

– Czy to się już kiedyś wydarzyło? – zapytał.

Hallie otarła policzki.

– Tak. Raz już złapali Rocky'ego, kilka miesięcy temu.

– Czy go teraz zagazują? – zapytał Edward.

Edward znalazł się w grupce uczniów, która zebrała się wokół Theo, Hallie i jej przyjaciółek. Ładna Hallie zawsze przyciągała tłumy chłopaków. Na myśl o zagazowaniu swojego psa jeszcze bardziej się rozplakała.

– Zamknij się. – Theo warknął na Edwarda, który zresztą i tak był matolem. – Wcale go nie zagazują.

– Tata wyjechał z miasta – mówiła Hallie – a mama teraz przyjmuje pacjentów aż do późnego popołudnia. Nie wiem, co mam robić.

Odsunął lunch na bok, włączył laptopa.

– Hallie, wyluzuj. Już się kiedyś czymś takim zajmowałem. – Wcisnął kilka klawiszy, a cała towarzysząca mu grupka uczniów nieco się przysunęła. – Zakładam, że pies jest zarejestrowany.

W Strattenburgu właściciele psów musieli zgłaszać i rejestrować każde zwierzę. Bezpańskie czworonogi wyłapywano i przez trzydzieści dni trzymano w miejskim schronisku. Jeśli nikt nie zaadoptował takiego podrzutka, to po trzydziestu dniach biedaka usypiano – czyli zagazowywano, jak brutalnie stwierdził Edward. Chociaż tak naprawdę to nie używano gazu.

Rodzina Hallie była jedną z zamożniejszych. Ojciec kierował firmą, a matka pracowała jako lekarka. Oczywiście, że ich pies został zarejestrowany.

– Tak – odpowiedziała. – Na tatę taty.

– A jak on się nazywa? – zapytał Theo, stukając w klawisze.

– Walter Kershaw.

Theo wpisał imię i nazwisko. Wszyscy czekali. Płacz ustał.

– Dobra – powiedział, nachylając się nad monitorem i czytając tekst. – Właśnie sprawdzam rejestr zwierząt zatrzymanych przez hycla. – Znowu się nachylił. – O, już go mamy. Rocky'ego zabrano do schroniska dzisiaj rano, o dziewiątej trzydzieści. Cięży na nim zarzut chodzenia bez smyczy, a to jest w tym roku jego drugie przewinienie. Grzywna wynosi dwadzieścia dolarów, do tego jeszcze osiem dolarów za przechowanie. Przy trzecim przewinieniu będzie dziesięć dni w pace i grzywna sto dolców.

- Kiedy mogę go zabrać? – zapytała Hallie.
- Wydział do spraw zwierząt pracuje po południu, od czwartej do szóstej, cztery dni w tygodniu, jest zamknięty w poniedziałek. Możesz przyjść do sądu dzisiaj po południu?
- Chyba tak, ale czy nie muszę przyjść z rodzicami?
- Nie. Ja tam będę. Już to kiedyś załatwiałem.
- Ale czy ona nie potrzebuje jakiegoś prawdziwego prawnika? – zapytał Edward.
- Nie, nie w wydziale do spraw zwierząt. Nawet taki kretyn jak ty dałby tam sobie radę.
- A pieniądze? – spytała Hallie.
- Ja nie pobieram żadnych opłat. Nie mam jeszcze licencji.
- Nie dla ciebie, Theo. Pieniądze na grzywnę.
- A, tak. Mam plan. Teraz wypełnię online potwierdzenie odbioru. To znaczy, że Rocky'ego od razu uznają za winnego chodzenia bez smyczy, co jest pomniejszym wykroczeniem, i że ty, jako jeden z właścicieli, zapłacisz grzywnę i odbierzesz go ze schroniska. Po szkole wpadniesz do szpitala, zobaczysz się z matką, weźmiesz kasę i spotkamy się w sądzie o czwartej.
- Dzięki, Theo. Rocky już tam będzie?
- Nie, Rocky zostanie w schronisku. Będziesz go mogła odebrać później, razem z matką.
- Dlaczego nie mogę go odebrać w sądzie? – zapytała.

Theo często był zadziwiony tym, jak niemądre zadawano mu pytania. Wydział do spraw zwierząt stał najniżej w sądowej hierarchii. Przezywano go „kocim sądem” i traktowano jak niechciane dziecko wymiaru sprawiedliwości. Tamtejszy sędzia był prawnikiem, który wyleciał chyba z każdej kancelarii w mieście. Nosił niebieskie dżinsy, wojskowe buty i czuł się poniżony takim mało prestiżowym stanowiskiem. Regulamin wydziału

pozwalając każdej osobie, której zwierzę wpadło w tarapaty, przyjść bez prawnika i samodzielnie przedstawić swoją sprawę. Większość prawników omijała „koci sąd” szerokim łukiem, a zajmowanie się takimi rzeczami uważała za coś uwłaczającego godności. Sala rozpraw mieściła się w podziemiach gmachu, z dala od sal prawniczej pierwszej ligi.

Czy Hallie naprawdę sobie wyobrażała, że urzędnicy co popołudnie ciągną tam ze sobą stado psów i kotów, na łańcuchach i w kagańcach, aby załatwiać związane z nimi problemy i od razu oddawać zwierzaki ich właścicielom? Owszem, ludzi oskarżonych w sprawach karnych zabiera się z aresztu i sadza za kratami, gdzie czekają, aż nie nadejdzie ich kolej na pojawienie się przed sędzią. Ale nie psy i koty.

Z ust Theo o mało nie wyrwała się jakaś złośliwa uwaga, ale zamiast tego tylko uśmiechnął się do Hallie, teraz nawet jeszcze ładniejszej, i powiedział:

– Przykro mi Hallie, ale tak to nie wygląda. Ale dzisiaj wieczorem Rocky już będzie w domu, cały i zdrowy.

– Dzięki, Theo. Jesteś debeściak.

W zwyczajny dzień takie słowa dźwięczałyby Theo w uszach jeszcze kilka godzin, ale ten dzień nie był zwyczajny. Młodego Boone'a za bardzo zajmował teraz proces Pete'a Duffy'ego. Ike siedział właśnie na sali sądowej i Theo całe popołudnie wysyłał mu SMS-y.

THEO: Jesteś tam? Co nowego?

IKE: Tak, na balkonie. Wielki tłum. Oskarżenie skończyło o czternastej. Niezła robota, podważali gadkę o rozwodzie i zeznania starych kumpli od golfa.

THEO: Wystarczy dowodów?

IKE: Nie ma mowy. Uniewinnię tego faceta. Chyba że...

THEO: Masz jakiś plan?

IKE: Wciąż nad nim pracuję. Przyjdiesz do sądu?

THEO: Może. Co się dzieje?

IKE: Pierwszy świadek obrony. Partner w interesach Duffy'ego. Nuda.

THEO: Muszę lecieć. Chemia. Nara.

IKE: Masz mieć piątkę z chemii. OK?

THEO: Załatwione.

Prawnicy ze Strattenburga mogli nie szanować wydziału do spraw zwierząt, ale rzadko bywało tam nudno. Dzisiejsza rozprawa dotyczyła boadusiciela Hermana, który najwyraźniej przejawiał wielki talent do uciezek. Jego wyprawy nie stanowiłyby problemu, gdyby tylko właściciel gada mieszkał poza hrabstwem, gdzieś na wsi. Jednak ten właściciel, punkowiec, na oko trzydziestoletni, z tatuażami pnącymi się po szyi, mieszkał w zatłoczonym bloku w gorszej części miasta. Jego sąsiad się przeraził, kiedy pewnego dnia, wcześniej rano, chciał zrobić sobie owsiankę i ujrzał Hermana rozciągniętego na podłodze w swojej kuchni.

Sąsiad był wściekły, właściciel Hermana oburzony. Sprawa drażliwa. Theo i Hallie siedzieli na składanych krzeselkach, jako jedyni widzowie w maleńkiej sali sądowej. Nawet biblioteka w kancelarii Boone & Boone była większa, no i znacznie przyjemniejsza.

Hermana wystawiono na widok publiczny. Leżał w dużej drucianej klatce, na rogu ławy sędziowskiej, obok sędziego Yecka, który teraz uważnie mu się przyglądał. Poza sędzią jedynym urzędnikiem w sali była podstarzała sekretarka, pracująca tutaj od lat i ciesząca się opinią najgorszej starej jędzy w całym gmachu. Nie chciała zbliżyć się do Hermana. Zaszyła się w najdalszym kącie i wyglądała na przestraszoną.

– Panie sędzio, podobałoby się to panu? – pytał sąsiad. – Żyć w jednym budynku z taką kreaturą i nigdy nie wiedzieć, czy podczas snu nie wślizgnie się do łóżka?

– On jest niegroźny – zapewniał właściciel. – Nie gryzie.

– Niegroźny? A atak serca to co? Wysoki Sądzie, to nie w porządku. Sąd powinien nas bronić.

– On wcale nie wygląda na niegroźnego – zauważył sędzia Yeck i wszyscy spojrzeli na Hermana, który właśnie owinał się wokół sztucznej gałęzi pośrodku klatki. Nie ruszał się, najwyraźniej chciało mu się spać i cała powaga rozprawy nie robiła na nim wrażenia.

– Czy nie jest za długi jak na boa czerwonoogonowego? – zapytał Yeck takim tonem, jakby obejrzał już w życiu mnóstwo boa dusicieli.

– Z tego, co wiem, ma dwieście osiemnaście centymetrów – z dumą oznajmił właściciel. – Nieco ponad normę.

– Czy trzyma pan w mieszkaniu jeszcze jakieś inne węże? – zapytał sędzia.

– Kilka.

– Ile?

– Cztery.

– O mój Boże – jęknął sąsiad. Zbladł.

– Wszystkie to boa?

– Trzy boa i jeden lancetogłów królewski.

– Mogę zapytać po co?

Właściciel węża przestąpił z nogi na nogę, wzruszył ramionami.

– Jedni lubią papugi, inni myszokoczki. Inni psy, koty, konie, kozy. A ja lubię węże. To miłe zwierzaki.

– Miłe zwierzaki – syknął sąsiad.

– Czy uciekł po raz pierwszy? – zapytał sędzia Yeck.

– Tak – odparł właściciel.

– Nie – odparł sąsiad.

– No, to wyjaśnia sprawę.

To wszystko było wręcz fascynujące, jednak Theo z ogromnym trudem skupiał się na Hermanie i jego problemach. Jego myśli wciąż krążyły wokół dwóch spraw. Przede wszystkim Hallie, która siedziała tak blisko – Theo czuł, że to jedne z najpiękniejszych chwil w jego życiu. Jednak nawet to przysłoniła kwestia znacznie poważniejsza – pytanie, co ma zrobić z kuzynem Julia.

Rozprawa dobiegała końca. Prawnicy i świadkowie mieli wkrótce zakończyć czynności procesowe. Sędzia Gantry był już bliski przekazania sprawy ławie przysięgłych. Zegar tykał nieubłaganie.

– Panie sędzio, musi pan nas chronić – powtórzył sąsiad.

– A czego pan właściwie ode mnie chce? – odparował sędzia Yeck. Cierpliwość już mu się skończyła.

– Nie może pan nakazać zlikwidować tego czegoś?

– Chce pan, żebym wydał na Hermana wyrok śmierci?

– A dlaczego nie? Przecież w naszym bloku mieszkają dzieci.

– Ciężka sprawa – powiedział sędzia Yeck.

Jednak było jasne, że wcale nie zamierza skazywać Hermana na śmierć.

– Bez przesady – zachnął się właściciel. – Nigdy nikogo nie skrzywdził.

– Może pan zagwarantować, że węże pozostaną u pana w mieszkaniu? – zapytał sędzia.

– Tak. Ma pan moje słowo.

– Oto, co zrobimy – oznajmił sędzia Yeck. – Weźmie pan Hermana do domu. Nie chcę go już tutaj nigdy więcej widzieć. W schronisku nie ma

miejsca, żeby go trzymać. Nikt go tam nie chce. W schronisku nikt nie lubi Hermana. Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Domyślam się – odparł właściciel.

– Jeśli Herman znowu ucieknie albo jeśli jakieś inne pańskie węże zostaną złapane poza pańskim mieszkaniem, to nie będę już miał innego wyjścia, jak nakazać ich uśpienie. To wszystko. Czy to jasne?

– Tak, Wysoki Sądzie. Obiecuję, że tak się nie stanie.

– A ja kupię siekierę – gorąco zapewnił sąsiad. – Taką siekierę na długim trzonku. W Home Depot kosztuje dwanaście dolarów. – Wściekłym gestem wskazał na Hermana. – Jak w swoim mieszkaniu czy gdziekolwiek indziej zobaczę tego węża albo w ogóle jakiegoś węża, to Wysoki Sąd już nie będzie się musiał nim zajmować.

– Proszę się uspokoić.

– Przysięgam, że zatłukę gada. Powinienem go zatłuc już wtedy, ale o tym nie pomyślałem. I nie miałem siekiery.

– Już wystarczy – oznajmił sędzia Yeck. – Koniec rozprawy.

Właściciel pognał przed siebie, złapał ciężką klatkę i delikatnie podźwignął ją z ławy. Herman nie był speszony. Niezbyt ciekawiła go ta rozmowa na temat jego śmierci. Sąsiad z hukiem wyszedł z sali sądowej. Boa i jego właściciel nieco zamarudzili, ale również wyszli.

Gdy drzwi trzasnęły po raz ostatni, protokolantka rozparła się wygodnie, opierając plecami o ławę. Sędzia zerknął na papiery do wypełnienia, a potem na Theo i Hallie. W sali nie było już nikogo innego.

– No, witam pana, panie Boone – powiedział.

– Dzień dobry, panie sędzio – odparł Theo.

– Masz jakąś sprawę do sądu?

– Tak, proszę pana. Muszę odebrać psa.

Sędzia podniósł kartkę, wokandę, dzienny spis spraw.

– Rocky'ego? – zapytał.

– Tak, proszę pana.

– Bardzo dobrze. Możecie podejść.

Theo i Hallie przeszli przez niewielkie drzwiczki na zawiasach do jedyne go stołu w sali. Theo pokazał Hallie, gdzie ma usiąść. Sam stał niczym wytrawny prawnik z prawdziwego zdarzenia.

– Proszę przedstawić sprawę – polecił Yeck, najwyraźniej dobrze się bawiąc. Uznał, że młody Theo Boone będzie bardzo się starał, żeby zrobić wrażenie na swojej ładnej klientce. Uśmiechnął się, wspominając pierwszą wizytę chłopca, wtedy jeszcze wystraszonego malca, gorączkowo starającego się uratować bezdomnego szczeniaka, którego potem ze sobą zabrał i nazwał Sędzia.

– A zatem, Wysoki Sądzie – prawidłowo zaczął Theo. – Rocky jest miniaturowym sznauцерem, zarejestrowanym na nazwisko pana Waltera Kershawa, który właśnie wyjechał z miasta w interesach. Jego żona, doktor Phyllis Kershaw, jest pediatrą i nie mogła się tutaj stawić osobiście. Moją klientką jest ich córka, Hallie, która chodzi ze mną do klasy. – Wskazał na Hallie, wystraszoną, ale przekonaną, że Theo wie, co robi.

Sędzia Yeck uśmiechnął się do Hallie łagodnie. Potem oznajmił:

– Widzę, że to już drugie przewinienie.

– Tak, proszę pana – potwierdził Theo. – Pierwsze przewinienie miało miejsce cztery miesiące temu i pan Kershaw załatwił już wszystko ze schroniskiem.

– Rocky przebywa teraz w zamknięciu?

– Tak, proszę pana.

– Nie możesz zaprzeczyć, że biegał luzem, prawda?

– Nie mogę, proszę pana, jednak zwracam się do Wysokiego Sądu o uchylenie zarówno grzywny, jak i opłaty pobytowej.

– Na jakiej podstawie?

– Właściciele podjęli wszelkie stosowne kroki ku temu, aby zapobiec wydostaniu się psa. Tak jak zwykle Rocky był trzymany w bezpiecznym miejscu. Dom był zamknięty. Alarm włączony. Furtka ogrodzonego podwórka zamknięta. Zrobiono wszystko, aby zapobiec takiemu wydarzeniu. Rocky jest nerwowy i często staje się rozdrażniony, kiedy zostaje sam w domu. Jeśli tylko zdoła się wtedy uwolnić, ucieka. Właściciele o tym wiedzą i dlatego zachowali się odpowiedzialnie.

Sędzia zdjął swoje okulary do czytania. Gryząc koniuszek oprawki, zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Hallie, czy to prawda? – zapytał.

– Tak, proszę pana. Bardzo się martwimy tymi ucieczkami Rocky'ego.

– Wysoki Sądzie, to bardzo sprytny pies – wyjaśnił Theo. – Jakoś zdołał przedostać się przez przejście dla zwierząt w pralni i uciekł na podwórze, gdzie przekopał tunel pod ogrodzeniem.

– Pewnie zrobi to jeszcze raz.

– Właściciele zamierzają ulepszyć zabezpieczenia.

– Bardzo dobrze. Umorzę grzywnę i opłatę. Ale jeśli Rocky znowu zostanie złapany, to podwoję wszystkie grzywny i opłaty. Zrozumiano?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Koniec rozprawy.

Kiedy szli korytarzem na parterze w stronę głównego wyjścia, Hallie wsunęła dłoń pod lewy łokieć Theo. Dalej szli pod ramię. Odruchowo nieco zwolnił. Cóż za wspaniała chwila.

– Theo, jesteś świetnym prawnikiem – powiedziała Hallie.

– Nie bardzo. Jeszcze nie.

– Dlaczego czasem do mnie nie zadzwonisz? – zapytała.

Dlaczego? To było dobre pytanie. Pewnie dlatego, że według Theo Hallie była za bardzo zajęta wszystkimi innymi chłopcami. Zmieniała chłopaków co miesiąc.

Theo nawet nie przyszło do głowy, żeby samemu kiedyś do niej zadzwonić.

– Zadzwonię – obiecał. Ale wiedział, że nie zadzwoni. Tak naprawdę nie szukał dziewczyny, zresztą April by się załamała, gdyby teraz zaczął flirtować jak Hallie.

Dziewczyny, procesy o morderstwo, tajni świadkowie. Nagle życie stało się bardzo skomplikowane.

ROZDZIAŁ 13

Po długim pożegnaniu Theo wrócił na ziemię. Wbiegł po schodach na pierwsze piętro, potem wpadł na balkon, gdzie w pierwszym rzędzie odnalazł Ike'a. Wśliznął się na siedzenie obok stryja. Dochodziła piąta po południu.

Teraz zeznawał agent ubezpieczeniowy, który ponad dwa lata temu sprzedał Duffym polisę na życie. Clifford Nance spokojnie przepytывał go o jego kontakty z parą. Starannie podkreślił, że wykupiono dwie polisy, jedną na życie pani Myry Duffy i drugą na życie pana Pete'a Duffy'ego. Każda warta była milion dolarów. Obie polisy zastąpiły dotychczasowe ubezpieczenie, na mocy którego w razie śmierci wypłacano po pięćset tysięcy. W tej całej transakcji nie było niczego nadzwyczajnego. Przesłuchiwany agent zeznał to, czego się spodziewano – małżeństwo przezornie ulepszyło swoje zabezpieczenie na wypadek przedwczesnej śmierci. Państwo Duffy doskonale wiedzieli, co robią, dlatego nie wahali się podwyższyć kwoty.

Kiedy Clifford Nance skończył przepytывać świadka, sprawa ubezpieczenia na milion dolarów wyglądała już mniej podejrzanie. Jack Hogan wyprowadził co prawda podczas przesłuchania kilka ciosów, ale żaden nie był celny. Po zeznaniach agenta sędzia Gantry postanowił skończyć na dziś.

Theo patrzył, jak ława przysięgłych wychodzi z sali, a potem przyglądał się adwokatom gromadzącym się wokół Pete'a Duffy'ego. Wymienili pełne zadowolenia uśmiechy i kilka uścisków dłoni w nagrodę za kolejny udany

dzień procesu. Wydawali się bardzo pewni siebie. Omar Cheepe się nie pojawił.

– Nie chcę tutaj rozmawiać – powiedział Ike ściszym głosem. – Możesz wpaść do biura?

– Jasne.

– Teraz?

– Pójdę z tobą.

Dziesięć minut później byli już w gabinecie Ike'a za zamkniętymi drzwiami. Stryj otworzył małą lodówkę stojącą na podłodze obok biurka.

– Mam budweisera i sprite'a.

– Poproszę budweisera – powiedział Theo.

Ike dał mu sprite'a, a sobie otworzył puszkę buda.

– Masz ograniczony wybór – oznajmił i pociągnął łyk.

– Zauważyłem.

– Po pierwsze, nic nie możesz zrobić. Jutro jest piątek, a wygląda na to, że obrona będzie czekać do popołudnia. Krąży plotka, że jako ostatni będzie zeznawał Pete Duffy. Ława przysięgłych może dostać sprawę do rozpatrzenia dopiero późnym popołudniem. Jeśli nic z tym nie zrobisz, to przysięgli zasiądą w swoim pokoju i zastanowią się nad werdyktem. Mogą uznać Duffy'ego za winnego albo za niewinnego. Mogą też się podzielić i wtedy nie da się ogłosić werdyktu. Byłaby to wtedy tak zwana niejednomyślna ława przysięgłych.

Theo o tym wszystkim wiedział. Przez ostatnich pięć lat obejrzał znacznie więcej rozpraw niż Ike.

Stryj mówił dalej:

– Po drugie, możesz iść do tego tajnego świadka i spróbować go przekonać, żeby natychmiast się ujawnił. Nie jestem pewien, co sędzia Gantry zrobiłby teraz, gdyby stanął w obliczu takiego zeznania. Jestem

pewien, że jeszcze nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji, ale to jest dobry sędzia i zrobi, co będzie trzeba.

– Ten facet się nie ujawni. On się za bardzo boi.

– Dobra, to prowadzi nas do trzeciej możliwości. Nie możesz się zwrócić do sędziego, nie wyjawiając przy tym nazwiska świadka...

– Ja nie znam jego nazwiska.

– Ale wiesz, kto to jest, prawda?

– Jasne.

– Wiesz, gdzie on mieszka?

– Wiem ogólnie, w jakiej okolicy. Nie znam jego adresu.

– Wiesz, gdzie pracuje?

– Może.

Ike wpatrywał się w niego, pociągając z puszeki kolejny łyk. Otarł usta grzbietem dłoni.

– Jak już mówiłem, możesz, nie ujawniając jego tożsamości, powiadomić sędziego, że w procesie brakuje niezwykle ważnego świadka i jego nieobecność prawdopodobnie doprowadzi do wydania błędnego werdyktu. I wtedy, oczywiście, sędzia będzie chciał poznać szczegóły. Kim on jest? Gdzie pracuje? Jak i dlaczego stał się świadkiem? Co dokładnie widział? I tak dalej. Podejrzewam, że sędzia Gantry będzie miał z tysiąc pytań, a jak mu nie odpowiesz, to się może zdenerwować.

– Nie podoba mi się żaden z tych trzech wariantów – stwierdził Theo.

– Mnie też.

– To co ja mam robić?

– Zostaw to, Theo. Nie wtykaj nosa w ten bałagan. To nie jest sprawa dla dzieciaka. To nie jest nawet sprawa dla dorosłego. Ława przysięgłych podejmie złą decyzję, ale na podstawie dowodów i nie możesz ich za to winić. Sam wiesz, że system nie zawsze działa prawidłowo. Spójrz na tych

wszystkich niewinnych ludzi posyłanych do celi śmierci. Spójrz na tych wszystkich winnych, którzy się wywinęli. Błędy się zdarzają, Theo. Zostaw to.

– Ale ten błąd jeszcze się nie zdarzył i można mu zapobiec.

– Nie jestem pewien, czy można mu zapobiec. To bardzo mało prawdopodobne, żeby sędzia Gantry zatrzymał duży proces, który już prawie się zakończył, tylko dlatego, żeby posłuchać o jakimś potencjalnym świadku. Theo, to jest naciągana sprawa.

Faktycznie, coś takiego wydawało się mało prawdopodobne.

– Chyba masz rację.

– Oczywiście, mam rację. Jesteś tylko dzieciakiem. Spadaj.

– Dobra, Ike.

Nastąpiła długa chwila ciszy, kiedy wpatrywali się jeden w drugiego, czekając, aż któryś się odezwie. Wreszcie odezwał się Ike:

– Obiecuj, że nie zrobisz niczego głupiego.

– Na przykład czego?

– Obiecuj, że nie pójdziesz do sędziego. Wiem, że się kumplujecie.

Znowu chwila ciszy.

– Theo, obiecuj mi.

– Obiecuję, że nie zrobię niczego, zanim z tobą o tym nie porozmawiam.

– Może być.

Theo się zerwał.

– Muszę iść. Mam mnóstwo lekcji do odrobienia.

– Jak tam hiszpański?

– Świetnie.

– Słyszałem, że ta nauczycielka jest naprawdę do rzeczy. Ta Madame, zaraz jak się nazywa?

– Madame Monique. Jest bardzo dobra. Skąd ty wiesz...

– Theo, ja jestem na bieżąco. Nie jestem zwariowanym odludkiem, tak jak myślą sobie wszyscy dookoła. Czy w szkole jest też możliwość nauki chińskiego?

– Może w szkole średniej.

– Myślę, że powinieneś zacząć się uczyć chińskiego, tak dla siebie. Theo, to jest język przyszłości.

Znowu go rozdrażniło, że stryj lubi dawać rady, o które nikt go nie prosi i których nikt nie potrzebuje.

– Pomyślę o tym. Na razie i tak już mam sporo na głowie.

– Jutro też mogę oglądać ten proces – powiedział stryj. – Dzisiaj nawet się nieźle bawiłem. Wysyłaj mi SMS-y.

– Dobra, Ike.

Kiedy Theo pojawił się w kancelarii Boone & Boone kilka minut po szóstej wieczorem, było tam cicho. Elsa, Vince i Dorothy dawno już wyszli. Pani Boone wróciła już do domu i pewnie wertowała kolejną kiepską powieść. Członkinie jej klubu miłośników literatury zbierały się dziś o siódmej u pani Esther Guthridge, aby zjeść kolację, wypić wino i podyskutować prawie o wszystkim, poza książką wybraną na ten miesiąc. Klub składał się z dziesięciu kobiet, które na zmianę wybierały lekturę na dany miesiąc. Theo nie pamiętał, kiedy ostatni raz któraś z tych powieści podobała się matce – łącznie z tymi, jakie sama zaproponowała. Co miesiąc narzekała, obojętnie co miała przeczytać. Zdaniem Theo ten klub książki był trochę dziwny.

Kiedy Theo szedł wolno do jego gabinetu na piętrze, Woods Boone właśnie pakował teczkę. Theo często się dziwił, dlaczego ojciec codziennie wciska do teczki różne akta i książki, a potem dźwiga ją do domu, jakby zamierzał tam pracować do północy. A nie pracował. Nigdy nie pracował w domu. Nigdy nie tykał teczki, którą zawsze zostawiał pod stołem w holu,

nieopodal drzwi wejściowych. I tam już stała, całą noc, dopóki pan Boone nie zabierał jej, wychodząc wcześniej rano na śniadanie, a potem rozpakowywał w pracy, ciskając zawartość na swoje straszliwie zabałaganione biurko. Theo podejrzewał, że w teczce zawsze jest to samo, te same książki, akta i papiery.

Zauważył, że prawnicy rzadko gdziekolwiek ruszają się bez teczek. Może tylko na lunch. Matka także zabierała swoją teczkę do domu i tylko od czasu do czasu otwierała ją i czytała coś z tego, co miała w środku.

– W szkole wszystko w porządku? – spytał pan Boone.

– Wspaniale.

– To dobrze. Słuchaj, Theo, dzisiaj wieczorem matka ma spotkanie tego swojego klubu. Będę jakiś czas u sędziego Plankmore'a. Jest już stary i czuje się coraz gorzej, dlatego muszę posiedzieć z nim parę godzin. Pewnie niedługo będzie jego pogrzeb.

– Jasne, tato. Nie ma sprawy.

Sędzia Plankmore miał co najmniej pięćdziesiąt lat i umierał z mnóstwa powodów. Był legendą prawniczego świata Strattenburga, większość prawników bardzo go podziwiała.

– Zostało trochę spaghetti, możesz je odgrzać w mikrofalówce.

– Świetnie, tato. Nie przejmuj się. Pewnie nauczę się tutaj tak z godzinę, a potem pójdę do domu. Zajmę się Sędzią.

– Jesteś pewien?

– Tak, nie ma problemu.

Theo poszedł do swojego gabinetu, rozpakował plecak i właśnie próbował skupić się na pracy domowej z chemii, kiedy usłyszał delikatne pukanie do tylnych drzwi. Przyszedł Julio. Już drugi dzień z rzędu.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz? – zapytał, bardzo zdenerwowany.

– Wejź – odpowiedział Theo. – Wszyscy już poszli. Możemy porozmawiać tutaj.

– Na pewno?

– Tak. O co chodzi?

Julio usiadł. Theo zamknął drzwi.

– Przed godziną rozmawiałem z kuzynem. Bardzo się zdenerwował. Dzisiaj na polu golfowym była policja. On myśli, że ty im coś o nim powiedziałaś.

– Daj spokój, Julio. Nic nikomu nie powiedziałem. Przysięgam.

– To skąd się tam wzięła policja?

– Nie mam pojęcia. Czy chcieli rozmawiać z twoim kuzynem?

– Myślę, że nie. Schował się, jak tylko zobaczył radiowóz.

– Policjanci byli w mundurach?

– Tak mi się wydaje.

– Czy ich samochód to na pewno był radiowóz?

– Tak myślę.

– Julio, słowo daję, że nic nikomu nie powiedziałem. A gdyby policjanci chcieli porozmawiać z twoim kuzynem na temat morderstwa, to nie mieliby mundurów i nie przyjechali samochodem z napisem „Policja” na drzwiach. Nie ma mowy. To byliby detektywi, w marynarkach i krawatach, i w nieoznakowanym aucie.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

– To dobrze.

– Kuzyn pewnie nieźle się denerwuje, jak widzi policję, co?

– Jak większość nielegalnych.

– Wiem. Powiedz mu, żeby się nie stresował.

– Nie stresował? Trudno jest się nie stresować, jak cię mogą w każdej chwili zatrzymać.

– Racja.

Julio wciąż był zdenerwowany, wodził oczyma po niewielkim pomieszczeniu, jakby bał się, że ktoś jeszcze może ich usłyszeć. Nastąpiła długa chwila niezręcznego milczenia, kiedy każdy z nich czekał, aż drugi się odezwie. Wreszcie Julio powiedział:

– Jest jeszcze coś.

– Co?

Ręce mu się trzęsły, kiedy rozpiął koszulę i wyciągał przezroczystą, plastikową szczelnie zamkniętą torebkę. Ostrożnie położył ją na biurku, jakby była skarbem, którego bał się znowu dotykać. W środku znajdowały się dwa przedmioty, białe, lekko zniszczone, watowane.

Rękawiczki golfowe.

– Dał mi je kuzyn – powiedział Julio. – Dwie rękawiczki golfowe. Nosił je ten mężczyzna, którego widział, jak wchodził do domu, tam gdzie zabito tę panią. Jedna na prawą rękę, druga na lewą. Ta na prawą rękę jest nowa. Ta z lewej ręki jest używana.

Theo gapił się na rękawiczki w torebce i nie był w stanie się poruszyć, a przez chwilę nawet mówić.

– Gdzie on to znalazł...

– Kiedy ten mężczyzna wyszedł z domu, zdjął rękawiczki i włożył do torby golfowej. Później przy czternastej

rzutni, tam gdzie są podstawki pod piłeczki, włożył je do kosza na śmieci obok zraszacza. Mój kuzyn dwa razy dziennie musi tam opróżniać śmietniki. Zobaczył tego mężczyznę i pomyślał, że to dziwne, że on wyrzuca dobre rękawiczki.

– Czy tamten mężczyzna go widział?

– Nie sędzę. Gdyby widział, to wątpię, żeby zostawił te rękawiczki.
– I to jest ten mężczyzna, który teraz ma proces o morderstwo?
– Tak, tak myślę. Mój kuzyn jest całkiem pewien. Widział go w telewizji.

– Dlaczego zatrzymał rękawiczki?

– Chłopaki na polu golfowym przeglądają śmieci, szukają różnych rzeczy. Kuzyn wziął rękawiczki, a po kilku dniach nabrał podejrzeń. Myślę, że na polu golfowym sporo się plotkuje i rozmawiano pewnie o tej zabitej kobiecie. Mój kuzyn miał te rękawiczki. Teraz jest wystraszony i myśli, że policja go obserwuje. Jak go znajdą z rękawiczkami, to kto wie? Kuzyn boi się, że wpakuje się w tarapaty.

– Policja go nie obserwuje.

– Powiem mu.

Długa chwila ciszy, a potem Theo skinął ku rękawiczkom, wciąż bojąc się chociażby ich dotknąć.

– A co my z tym zrobimy?

– Ja ich nie zatrzymam.

– Tego się właśnie bałem.

– Wiesz, co robić, Theo?

– Nie mam pojęcia. Teraz to sam się zastanawiam, jak się w to wszystko wpakowałem.

– Nie możesz ich po prostu podrzucić na komisariat?

Theo ugryzł się w język, powstrzymując słowa, które pewnie zabrzmiałyby sarkastycznie albo nawet okrutnie. Albo i sarkastycznie, i okrutnie. Jak można było się spodziewać po Juliu, że zrozumie ten cały system? No jasne, pomyślał Theo. Tak po prostu pójdę na komisariat, dam recepcjonistce torebkę z dwiema golfowymi rękawiczkami, wyjaśnię, że nosił je taki miły pan, który teraz jest oskarżony o zabicie żony i który

naprawdę zabił swoją żonę, no bo ja, Theodore Boone, znam prawdę, ponieważ z jakiegoś powodu rozmawiałem sobie z kluczowym świadkiem, o którym nikt inny nie wie. I proszę, pani recepcjonistko, niech pani zanieśli rękawiczki detektywom z wydziału zabójstw, ale proszę im nie mówić, skąd je pani ma.

Biedny Julio.

– Nie, Julio, to nic nie da. Policja zacznie zadawać za dużo pytań i twój kuzyn może mieć kłopoty. Najlepiej będzie, jak weźmiesz te rękawiczki z powrotem, a ja udam, że ich nigdy nie widziałem.

– Theo, nie ma mowy. Teraz są twoje.

Julio zerwał się, złapał za klamkę i, będąc już jedną nogą za progiem, rzucił jeszcze przez ramię:

– I obiecałeś, że nikomu nie powiesz.

Theo ruszył za nim.

– Jasne.

– Dałeś mi słowo.

– Jasne.

Julio zniknął w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 14

Sędzia już pochłonął całą miskę spaghetti, ale Theo prawie nie tknął swojej porcji. Włożył naczynia do zmywarki, zamknął ją i poszedł do swojego pokoju. Przebrał się w piżamę, chwycił laptopa, potem wgramolił się do łóżka. April była online, więc poczatowali kilka minut. Ona też już się położyła, a drzwi jak zwykle miała zamknięte. Czuła się znacznie lepiej. Razem z matką wybrała się na pizzę i nawet udało im się wspólnie pośmiać. Jej ojca chyba nie było w mieście, a to zawsze ułatwiało życie. Theo i April pożegnali się i chłopiec zamknął laptopa. Wziął sobie najnowszy numer „Sports Illustrated”. Jednak nie dał rady czytać, w ogóle nie mógł się skupić. Chciało mu się spać, bo nie spał większą część poprzedniej nocy. Chociaż bardzo się martwił, a nawet bał, i tak szybko zasnął.

Pan Boone wrócił do domu pierwszy. Zakradł się po schodach i otworzył drzwi sypialni Theo. Jak zwykle zawiasy skrzypnęły. Włączył światło i uśmiechnął się na widok spokojnie śpiącego syna.

– Dobranoc, Theo – wyszeptał. Zgasił światło.

Dźwięk zamykanych drzwi obudził Theo. Przez kilka chwil leżał na plecach, wpatrując się w ciemny sufit. Rozmyślał o rękawiczkach golfowych ukrytych w jego gabinecie. Było coś okropnie nie w porządku z tą radą od Ike'a, żeby sobie tak po prostu ze wszystkim dać spokój, zapomnieć o istnieniu naocznego świadka i siedzieć cicho, podczas gdy wymiar sprawiedliwości nie działa jak należy.

Tak, ale obietnica to obietnica. Dał słowo Juliowi i jego kuzynowi, powiedział, że dochowa ich sekretu. A jak by tego nie zrobił? Jeśli jutro

rano od razu pomaszerowały do sędziego Gantry'ego, rzucił mu te rękawiczki na stół i wszystko wyjawiał? Kuzyn byłby ugotowany. Miały na karku Jacka Hogana do spółki z policją i trafiły do aresztu. Jego zeznanie uratowałyby akt oskarżenia. Ogłoszono by unieważnienie procesu. Zarządzono nowy proces. Wszystko by trafiło do gazet i telewizji. Kuzyn Julia stały się bohaterem, ale trafiły też za kraty jako nielegalny imigrant.

Czy jest jakaś szansa, żeby kuzyn Julia poszedł na układ z policją i prokuratorem? Czy wtedy by mu odpuścili, dlatego że tak bardzo im się przydał? Theo nie wiedział. Może tak, może nie, za duże ryzyko.

Potem zaczął rozmyślać o pani Duffy. W teczce miał gazetę z jej zdjęciem. Była bardzo ładną kobietą, blondynką o ciemnych oczach i prostych, białych zębach. Wyobraził sobie jej ostatnie chwile, jak ze zgrozą uświadamia sobie, że mąż – mający na rękach dwie golfowe rękawiczki – nie zajrzał do domu z błędnego powodu, ale po to, by ją udusić.

Serce Theo znowu załomotało. Odrzucił kołdrę, usiadł na skraju łóżka. Pani Duffy była tylko dwa lata młodsza od jego matki. Jakby się czuł, gdyby to mamę tak brutalnie zaatakowano?

Jeśli ława przysięgłych wypuści pana Duffy'ego, morderstwo dosłownie ujdzie mu na sucho. I może już nigdy nie zostanie osądzony za tę zbrodnię. Theo wiedział wszystko o zasadzie powtórnego pociągnięcia do odpowiedzialności za to samo przestępstwo. Nie można kogoś sądzić po raz drugi, jeśli za pierwszym razem ława przysięgłych uznała go za niewinnego. W tej sprawie brakowało innych podejrzanych, więc pozostanie nierozwiązana.

Pan Duffy będzie mógł wziąć swój milion dolarów. Jeszcze więcej grać w golfa. Pewnie znajdzie sobie nową, ładną i młodą żonę.

Theo wczółgał się z powrotem pod kołdrę i zamknął oczy. Miał pomysł. Po procesie, gdy pan Duffy już zostanie uniewinniony i wyjdzie z sądu,

odczeka kilka tygodni albo nawet miesięcy, potem wyśle mu te rękawiczki. Zapakuje je do niepodpisanej koperty, może doda liścik, mniej więcej taki: „Wiemy, że ją zabiłeś. I mamy cię na oku”.

Ale po co? Nie miał pojęcia. Następny głupi pomysł.

Jego myśli robiły się coraz bardziej chaotyczne. Na miejscu zbrodni nie było śladów krwi, prawda? Więc krwi nie będzie też na rękawiczkach. Ale co z włosami? Co, jeśli jakiś kosmyk włosów pani Duffy przyczepił się do jednej z tych rękawiczek? Nie miała krótkich włosów, na pewno były na tyle długie, że sięgały ramion. Theo nie odważył się otworzyć plastikowej torebki. Nie dotykał rękawiczek, bo nie wiedział, co na nich może być. Kosmyk włosów byłby doskonałym dowodem na to, że Myra Duffy zginęła z rąk męża.

Spróbował skupić się na swoim spektakularnym zwycięstwie, odniesionym w wydziale do spraw zwierząt na oczach Hallie: swojej klientki i może przyszłej dziewczyny. Wciąż jednak wracał myślami na miejsce morderstwa. Wreszcie się uspokoił i zasnął.

Marcella Boone wróciła do domu tuż przed jedenastą wieczorem. Zajrzała do lodówki, żeby sprawdzić, co Theo zjadł na kolację. Zajrzała też do zmywarki, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku. Pogadała z Woodsem, który czytał w saloniku. Potem weszła po schodach i tym samym Theo obudził się już drugi raz w ciągu godziny. Teraz jednak usłyszał, że mama się zbliża, i w czasie całego rytuału udawał, że śpi. Mama nie włączała światła, nigdy tego nie robiła. Pocałowała syna w czoło, wyszeptała „Kocham cię, Misiaczk” i wyszła.

Po godzinie Theo, całkiem już wybudzony, martwił się tym, gdzie schował rękawiczki.

Kiedy o szóstej trzydzieści zahuczała komórka, Theo sam już nie wiedział, czy się obudził, czy jeszcze śpi, czy może znalazł się pomiędzy

tymi stanami. Nie był też do końca pewien, czy w ogóle zasnął. Na pewno jednak czuł się zmęczony, podenerwowany, a na dodatek czekał go kolejny trudny dzień. Ciężar, jaki dźwigał na barkach, nie był czymś normalnym dla trzynastolatka.

Matka stała przy kuchence, czyli w nietypowym dla siebie miejscu. Smażyła kiełbaski i naleśniki. Coś takiego zdarzało jej się tylko ze dwa razy w roku. Każdego innego dnia Theo miałyby wilczy apetyt i byłby gotów na solidne śniadanie. Aż nie miał serca mówić mamie, że w ogóle nie chciało mu się jeść.

– Dobrze spałeś, Misiaczkę? – zapytała, szczypiąc go w policzek.

– Nie do końca – odpowiedział.

– A dlaczego nie? Wyglądasz na zmęczonego. Rozchorowałeś się?

– Nic mi nie jest.

– Sok pomarańczowy dobrze ci zrobi. Jest w lodówce.

Jedli, czytając poranną gazetę.

– Wygląda na to, że proces już się kończy – stwierdziła pani Boone. Okulary miała zsunięte do połowy nosa. Zazwyczaj rozpoczynała piątek od krótkiej wizyty u kosmetyczki, żeby trochę popracować nad paznokciami, dlatego wciąż jeszcze miała na sobie szlafrok.

– Nie jestem na bieżąco – powiedział Theo.

– Nie wierzę. Theo, ty masz zaczerwienione oczy. Wyglądasz na zmęczonego.

– Mówiłem ci, że źle spałem.

– Dlaczego?

No, bo tata obudził mnie o dziesiątej, a ty obudziłaś mnie o jedenastej. Theo nie miał jednak żalu do rodziców. Przecież nie spał z innego powodu.

– Mam dzisiaj ważną klasówkę – oznajmił i było w tym trochę prawdy. Panna Garman straszyla ich sprawdzianem z geometrii.

– Poradzisz sobie – powiedziała i wróciła do czytania gazety. – Jedz kielbasę.

Zdołał jakoś wcisnąć w siebie tyle naleśników i kielbasek, żeby mama była zadowolona. Podziękował za śniadanie i tak szybko, jak tylko się dało, życzył wszystkim dobrego dnia. Powiedział do widzenia, poklepał Sędziego po łbie i wskoczył na rower. Dziesięć minut później biegł już schodami do biura Ike'a, gdzie jego nawiedzony stryj czekał na drugie w ciągu ostatnich dwóch dni poranne spotkanie z bratankiem.

W piątek Ike wyglądał jeszcze bardziej niechlujnie. Oczy miał zapuchnięte i czerwienie od Theo. Nawet nie spróbował uporządkować zmierzwionych siwych włosów.

- Lepiej, żeby to było coś ważnego – burknął.
- To jest coś ważnego – oznajmił Theo, stojąc przed biurkiem.
- Siadaj.
- Wolę stać.
- Dobra. O co chodzi?

Theo wyrzucił z siebie wszystko o Juliu i dwóch golfowych rękawiczkach w plastikowej torebce, schowanych teraz w kancelarii Boone & Boone, pod aktami rozwodowymi, na dnie starego pojemnika w piwnicy – tam gdzie nikt nie zaglądał od co najmniej dziesięciu lat. Niczego nie pominął poza, rzecz jasna, tożsamością Julia i jego kuzyna. Skończył po kilku minutach.

Ike wysłuchał go uważnie. Podrapał się po brodzie, zdjął okulary, przetarł oczy, pociągnął łyk kawy, a kiedy Theo umilkł, zdołał tylko wymamrotać:

- Nie do wiary.
- Ike, co robimy? – zapytał Theo z rozpaczą.

– Nie wiem. Te rękawiczki trzeba by zbadać w laboratorium kryminalistycznym. Mogą być na nich drobinki skóry pani Duffy lub próbki jej włosów albo nawet DNA z potu pana Duffy'ego.

O tym ostatnim Theo nie pomyślał.

– Te rękawiczki mogą mieć kluczowe znaczenie dla sprawy – stwierdził Ike, zastanawiając się na głos i drapiąc po brodzie.

– Ike, nie możemy tego tak po prostu zignorować. No, proszę cię.

– Po co je wzięłeś?

– Wiesz co? Ja ich wcale nie wzięłem. To raczej kolega po prostu mi je zostawił. On się wystraszył. Jego kuzyn się wystraszył. Co mamy robić?

Ike wstał, przeciągnął się i siorbnął łyk kawy.

– Idziesz dziś do szkoły?

A co innego miałyby robić w piątkowy poranek?

– Jasne. Właśnie się spóźniam.

– Leć do szkoły. Ja pójdę popatrzeć na salę sądową. Coś wymyślę i później prześlę ci SMS–em.

– Dzięki Ike. Jesteś wielki.

– To ty jeszcze o tym nie wiedziałeś?

Theo spóźnił się na lekcję pięć minut, ale pan Mount był w dobrym humorze, a klasa jeszcze do końca się nie uspokoiła. Kiedy nauczyciel go zobaczył, wziął na bok i powiedział:

– Słuchaj Theo, myślę, że mógłbyś dzisiaj na wiedzy o społeczeństwie opowiedzieć nam, co było nowego na procesie.

Ostatnią rzeczą, jaką chciał dziś robić, było opowiadanie o procesie Duffy'ego, ale przecież nie mógł odmówić panu Mountowi. Zresztą Mounta znano z tego, że trochę zaniedbywał przygotowywanie się do piątkowych lekcji. Potrzebował Theo, żeby powypełniać luki.

– Jasne – odpowiedział Theo.

– Dzięki. Tylko same nowe wiadomości, tak żeby zajęło ci to około piętnastu minut. Dzisiaj sprawa idzie do ławy przysięgłych, prawda?

– Pewnie tak.

Theo usiadł. Pan Mount zastukał w biurko, a potem sprawdził listę. Uczniowie potwierdzili obecność, jak to zwykle na godzinie wychowawczej. Kiedy zabrzmiał dzwonek na pierwszą przerwę, chłopcy ruszyli do drzwi. W ślad za Theo na korytarz wyszedł Woody, jego kolega z klasy, i zaczepił go przy szafkach. Wystarczyło jedno spojrzenie, a Theo już wiedział, że coś jest nie tak.

– Theo, potrzebuję pomocy – ściszym głosem powiedział Woody, rozglądając się wokół. Rodzinny dom Woody'ego był pogrążony w wielkim chaosie.

Jego rodzice pozawierali już drugie, czy nawet trzecie małżeństwa i prawie stracili kontrolę nad synem.

Grał na gitarze elektrycznej w kiepskiej garażowej kapeli, palił już papierosy, ubierał się jak włóczęga, no i podobno miał mały tatuaż tam, gdzie kończą się plecy. Theo, podobnie jak reszta chłopaków, bardzo był ciekaw tego tatuażu, ale jakoś nie miał ochoty sprawdzać, czy to prawda. Mimo to Woody dostawał w szkole prawie same czwórki.

– O co chodzi? – zapytał Theo.

Naprawdę bardzo chciał powiedzieć Woody'emu, że wybrał fatalną porę, by prosić o poradę prawną. Miał już za dużo na głowie.

– Będziesz mógł to zachować tylko dla siebie? – zapytał Woody.

– Oczywiście.

Super. Właśnie czegoś takiego mu było trzeba. Jeszcze jednej tajemnicy.

Obok nich przechodziła Hallie. Na chwilę zwolniła krok i obdarzyła Theo zachęcającym uśmiechem. Zauważyła jednak, że jest czymś zajęty, i poszła dalej.

– Theo, wczoraj aresztowano mojego brata –oznajmił Woody, miał wilgotne oczy. – Policja przyszła do domu po północy i zabrali go w kajdankach. To było straszne. Teraz siedzi w areszcie.

– Jakie ma zarzuty?

– Narkotyki. Posiadanie trawki, może sprzedaż.

– Jest duża różnica między posiadaniem a sprzedażą.

– Możesz nam jakoś pomóc?

– Wątpię. Ile on ma lat?

– Siedemnaście.

Theo wiedział o bracie Woody'ego tyle, co o nim mówiono, a nie mówiono dobrze.

– To pierwsze przewinienie? – zapytał, chociaż podejrzewał, że usłyszy „nie”.

– W zeszłym roku zwinęli go za posiadanie, to było pierwsze wykroczenie. Dostał po łapach.

– To proste. Twoi rodzice muszą teraz wynająć prawnika.

– To nie takie proste. Rodzice nie mają pieniędzy, a gdyby mieli, to nie wydawaliby ich na prawników. Theo, ja mam wojnę w domu. Dzieci przeciwko rodzicom i nikt nie bierze jeńców. Ojczym wojuje z moim bratem o te dragi. Kiedy zwinęli go gliniarze, to już obiecywał z tysiąc razy, że nigdy nie weźmie.

Rozległ się dzwonek na lekcję. Korytarz opustoszał.

– Dobra, łap mnie na długiej przerwie – powiedział Theo. – Niewiele tu zdziałam, ale zrobię, co mogę.

– Dzięki, Theo.

Pospieszyli na lekcję do Madame Monique. Theo usiadł, otworzył plecak i uświadomił sobie, że nie odrobił pracy domowej. Jednak teraz niezbyt się

tym zmartwił. I bardzo się cieszył, że mieszka w spokojnym, przytulnym domu, gdzie rodzice rzadko kiedy podnoszą głos. Biedny Woody.

A potem pomyślał o rękawiczkach.

ROZDZIAŁ 15

W połowie lekcji geometrii, kiedy pani Garman wciąż jeszcze napomykała coś o sprawdzianie, a Theo gapił się w ścianę i starał nie zasnąć, głośnik przy drzwiach nagle zaskrzeczał.

– Pani Garman, czy na lekcji u pani jest Theo Boone? – Rozległ się z niego piskliwy głos panny Glorii, od wielu lat sekretarki szkoły.

– Jest – odpowiedziała pani Garman.

– Proszę go tutaj przysłać. Mamy dla niego wiadomość.

Theo chwycił swoje rzeczy, wepchnął do plecaka. Pędząc do drzwi, usłyszał, jak pani Garman mówi:

– Theo, jeśli będziemy mieli sprawdzian, to możesz go napisać w poniedziałek.

Normalnie, wielkie dzięki, pomyślał Theo, ale zamiast tego powiedział:

– Już się nie mogę doczekać.

– Życzę udanego weekendu.

– Ja pani też.

Dopiero na korytarzu wziął głęboki oddech, zastanowił się, kto go wzywa i z jakiego powodu. Może matka zmartwiła się jego zaczerwienionymi oczyma i zmęczoną twarzą, więc postanowiła zabrać go do lekarza. Nie, pewnie nie. Raczej nie miała skłonności do zamartwiania się i dla samej zasady nie dzwoniła po lekarza, chyba że Theo był już na wpół żywy. A może ojciec się namyślił i postanowił, że jednak pozwoli mu obejrzeć ostatni dzień procesu? Nie, pewnie nie. Woods Boone żył w całkiem innym świecie.

A może to coś znacznie gorszego? Ktoś doniósł i teraz policja już czeka z nakazem rewizji, żeby poszukać rękawiczek. Wszystkie tajemnice wyjdą na jaw, a on, Theo Boone, znajdzie się w poważnych tarapatkach.

Zwolnił kroku. Za zakrętem korytarza wyjrzał przez duże okno i zerknął na wejście do szkoły. Żadnych radiowozów. Nic, co wskazywałoby na kłopoty. Ruszył dalej, jeszcze wolniej.

Czekał na niego Ike. Kiedy Theo wszedł, stryj właśnie gawędził z panną Glorią.

– Ten pan mówi, że jest twoim stryjkiem – oznajmiła sekretarka z uśmiechem.

– Obawiam się, że to prawda – powiedział Theo.

– I musisz jechać na pogrzeb do Weeksburga.

Ike oczyma mówił mu: „No chodź, chodź”.

Theo wahał się tylko przez chwilę, a potem skinął głową i oznajmił:

– Nie cierpię pogrzebów.

– Już dzisiaj nie wrócisz? – zapytała panna Gloria, sięgając po notatnik.

– Nie, pogrzeb jest o pierwszej trzydzieści – wyjaśnił Ike. – To rozwała cały dzień.

– Podpisz się tutaj – poleciła.

Theo się podpisał i razem ze stryjem wyszedł z gabinetu. Ike jeździł triumphem spitfire'em, co najmniej trzydziestoletnim, w stanie dalekim od doskonałości. Jak wszystko w jego życiu, samochód ledwie trzymał się kupy i cud, że w ogóle działał.

Gdy tylko oddalili się od szkoły o jedno skrzyżowanie, Theo poczuł, że można już swobodnie rozmawiać.

– Pogrzeb, co? Niezły pomysł.

– Zadziałało.

– A dokąd jedziemy?

– Przyszedłeś do mnie po pomoc. Moja rada jest taka, żeby pojechać do kancelarii Boone & Boone, zabrać twoich rodziców do jakiegoś pokoju i o wszystkim im opowiedzieć.

Theo odetchnął głęboko. Już nie potrafił się spierać. To się zrobiło zbyt skomplikowane dla niego.

Wchodząc w pośpiechu do kancelarii, zaskoczyli Elbę. Zerwała się.

– Czy coś się stało? – zapytała.

– Dzień dobry, Elso – powiedział Ike. – Jak zwykle wyglądasz egzotycznie. – Miała na sobie pomarańczowy sweter w odcieniu dyni, a do tego dopasowane okulary i szminkę.

Nie zwróciła uwagi na Ike'a i spojrzała na Theo.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała.

– Przyjechałem na pogrzeb – odpowiedział i ruszył w stronę biblioteki.

– Mogłabyś też przyprowadzić Woodsa i Marcelle? – zapytał Ike. – Musimy odbyć w bibliotece spotkanie rodzinne.

Normalnie Elsa zbuntowałaby się, gdyby ktoś jej tak rozkazywał, teraz jednak wiedziała, że sprawa jest poważna. Na szczęście pani Boone była akurat w gabinecie sama, a pan Boone siedział na piętrze i przerzucał papiery. Jedno po drugim zjawili się w bibliotece i gdy tylko Ike zamknął drzwi, pani Boone spojrzała na syna i zapytała:

– Nic ci się nie stało?

Pan Boone spojrzał na Theo i zapytał:

– Co tu się dzieje? Dlaczego nie jesteś w szkole?

– Spokojnie – powiedział Ike. – Usiądźmy i porozmawiajmy.

Usiedli. Oboje rodziców wpatrywało się w Theo tak, jakby popełnił jakieś przestępstwo.

– A teraz – kontynuował Ike – ja się wypowiem pierwszy, potem się zamknę, a będzie mógł mówić Theo. W środę, ledwie dwa dni temu, Theo

rozmawiał z jednym ze swoich kolegów ze szkoły. Ta rozmowa doprowadziła do następnej rozmowy, a w trakcie tych rozmów Theo uzyskał informacje, które mogą mieć dramatyczny wpływ na proces pana Pete'a Duffy'ego. W skrócie: znalazł się świadek, taki, o którym nikt nic nie wie. Ani policja, ani oskarżenie, ani obrona, nikt, oprócz Theo i jego kolegi. Theo nie wiedział, co ma z tym zrobić, dlatego przyszedł do mnie. Ja też nie jestem pewien, co trzeba zrobić. I tak oto się tutaj znaleźliśmy.

– Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? – rzuciła pani Boone.

– Teraz wam mówi – odparował Ike.

– Bałem się – wyjaśnił Theo. – Cały czas się boję. Jeszcze obiecałem temu koledze, że nikomu nie powiem.

– Co wie ten świadek? – zapytał pan Boone.

Theo spojrział na Ike'a, a Ike na Theo. No dalej, ponaglił go stryj wzrokiem. Odchrząknął więc i spojrział na matkę.

– Ten świadek był w takim lasku obok domu Duffych, akurat kiedy popełniono morderstwo. Widział pana Duffy'ego, jak podjechał tam wózkiem, zdjął buty, włożył rękawiczkę golfową na prawą rękę, wszedł do domu i wyszedł po kilku minutach. To było wtedy, kiedy popełniono morderstwo. Potem włożył buty, schował rękawiczki golfowe do torby i szybko odjechał, tak jakby nic się nie stało.

– Skąd wiesz, że to było wtedy, gdy popełniono morderstwo? – zapytała pani Boone.

– Patolog ustalił, że zgon nastąpił najprawdopodobniej około jedenastej czterdzieści pięć. Świadek był wtedy na przerwie na lunch, która zaczęła się o jedenastej trzydzieści.

– A pan Duffy nigdy nie widział tego świadka? – zapytał pan Boone.

– Nie. Ten człowiek schował się w lasku i jadł lunch. Pracuje na polu golfowym.

– Znasz jego nazwisko? – zapytała pani Boone.

– Nie, ale wiem, kto to jest.

– Rozmawiałeś z nim? – zapytał pan Boone.

– Tak.

– Gdzie z nim rozmawiałeś? – zapytała rzeczowo pani Boone.

Theo sam poczuł się jak świadek dręczony krzyżowym ogniem pytań. Zawahał się. Wtedy wtrącił się Ike.

– On nie chciałby wyjawiać nazwiska świadka i tego kolegi, a jak zadacie za dużo pytań, to ich tożsamość stanie się oczywista.

– Obiecałem – wyjaśnił Theo błagalnym tonem. – Tak naprawdę to obiecałem nikomu nie mówić ani słowa. Nie wiem, co mam robić.

– Właśnie dlatego zwrócił się do mnie pierwszego – oznajmił Ike. – Po radę. Nie chciał was martwić, ale teraz w tej historii jest jeszcze jeden wątek, prawda, Theo?

Rodzice wspólnie spojrzeli na Theo. Poprawił się w fotelu. Zastukał palcami w długi dębowy blat.

– No, dalej Theo – zachęcił Ike.

– No, mów – ponaglił pan Boone.

Theo opowiedział o rękawiczkach.

– I ty je masz? – zapytała pani Boone, kiedy już skończył.

– Tak.

– Gdzie one teraz są?

– Na dole. Schowane pod pudłem ze starymi aktami rozwodowymi.

– Na dole, tutaj? W naszej kancelarii?

– Tak mam, tutaj, pod nami.

Pan Boone zagwizdał pod nosem i stwierdził:

– O rany.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a czwórka Boone'ów zastanawiała się nad sytuacją i starała dojść do tego, jakie prawa i jakie procedury pasowałyby do tego niezwykłego zestawu faktów. Theo, chociaż powiedział więcej, niż zamierzał, czuł ulgę, że podzielił się z kimś swoim problemem. Jego rodzice będą już wiedzieli, co robić. Ike wyjdzie z jakąś propozycją, trójka dorosłych na pewno coś wymyśli.

– W gazecie napisali, że proces może się skończyć już dzisiaj – stwierdziła pani Boone.

– Właśnie wyszedłem z sali sądowej – powiedział Ike. – Pan Duffy ma zeznawać dziś po południu i jest ostatnim świadkiem. Po mowach końcowych sprawę przejmują przysięgli.

– Dzisiaj rano w kafejce krążyła plotka, że sędzia Gantry będzie kontynuował proces jeszcze jutro i poczeka na przysięgłych – powiedział pan Boone.

– W sobotę?

– To tylko plotka.

Nastąpiła kolejna długa przerwa w rozmowie. Pani Boone spojrzała na syna i zapytała:

– No Theo, a co ty proponujesz, żebyśmy teraz zrobili?

Theo miał nadzieję, że to dorośli wiedzą, co robić. Powiercił się trochę, a potem powiedział:

– Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jak o wszystkim opowiemy sędziemu Gantry'emu.

– Zgadza się – odparła z uśmiechem.

– Ja też – powiedział Ike.

Nie było zaskoczeniem, przynajmniej nie dla Theo, że ojciec miał jednak inne zdanie.

– Ale co, jeśli powiemy sędziemu Gantry'emu – zauważył pan Boone – a on przycisnie Theo, żeby mu wyjawiał nazwisko albo tożsamość świadka? A Theo odmówi wykrztuszenia z siebie tego nazwiska? Co wtedy? Sędzia Gantry może go zatrzymać za lekceważenie sądu.

– Ja nie bardzo wiem, co to oznacza – wyrwało się Theo.

– To oznacza kłopoty – wyjaśnił pan Boone.

– To oznacza, że może cię trzymać w areszcie, aż mu nie powiesz wszystkiego, czego chce – wyjaśnił Ike z paskudnym uśmiechem, jakby to było zabawne.

– Wolałbym raczej nie iść do aresztu – odezwał się Theo.

– Woods, nie bądź śmieszny – powiedziała pani Boone. – Henry Gantry nie zatrzyma Theo za lekceważenie sądu.

– Nie byłbym tego taki pewien – odparował Woods. – Pomyśl, że masz świadka o kluczowym znaczeniu dla sprawy, świadka, którego zeznanie może całkowicie zmienić wynik procesu, i masz kogoś, kto zna tego naoczego świadka. Tym kimś jest Theo, a jeśli odmówi podporządkowania się sędziemu, wtedy sędzia może się zdenerwować. I ja bym go zrozumiał.

– Naprawdę nie chcę iść do aresztu – powiedział Theo.

– Nie pójdziesz do więzienia – stwierdziła pani Boone. – Żaden sędzia mający równo pod sufitem nie zamknie niewinnego trzynastolatka.

Kolejna długa chwila ciszy. Wreszcie odezwał się pan Boone.

– Theo, a co by się stało, gdyby tożsamość tego świadka jednak wyszła na jaw?

– Tato, on jest nielegalnym imigrantem. Nie wolno mu tutaj być i się boi. Jeśli policja pozna jego nazwisko i go znajdzie, trafi do aresztu, a wszystko to będzie moja wina. A jeśli go nawet nie złapią, zniknie.

– To nie mów nam, kto to jest – stwierdziła pani Boone.

– Dziękuję, mam. Wcale nie zamierzałem.

– Nie mów nikomu.

– Rozumiem. Ale przecież teraz wy wiecie, że to nielegalny imigrant i że pracuje na polu golfowym. Nie tak trudno będzie go odnaleźć.

– A ty, jak poznałeś tę osobę? – zapytał pan Boone.

– Ma kuzyna w szkole, a ten kuzyn przyszedł do mnie po pomoc.

– Tak jak przychodzą wszystkie dzieciaki w szkole – wtrącił Ike.

– Nie wszystkie, ale większość.

Odetchnęli głęboko, a potem pan Boone spojrzał na Theo i się uśmiechnął.

– To jest ta rodzina z przytułku, prawda? Julio, twój kolega, ten którego uczyłeś matematyki? I jego matka. Marcello, jak ona ma na imię?

– Carola.

– Carola, właśnie. Rozmawiałem z nią kilka razy. Ma jeszcze dwójkę mniejszych dzieci. Pochodzą z Salwadoru. Tym tajemniczym naocznym świadkiem jest kuzyn Julia. Prawda, Theo?

Theo przytaknął. Tato, domyśliłeś się. Poczuł dziwną ulgę. Tak naprawdę nie złamał obietnicy – a przecież ktoś musiał poznać prawdę.

ROZDZIAŁ 16

Kiedy Theo wchodził do sądu z rodzicami i Ikiem, uświadomił sobie, że chyba po raz pierwszy niechętnie wkracza do tego budynku. Zawsze kiedy tu był, czuł się podekscytowany. Lubił oglądać urzędników i prawników, krzątających się przy swoich ważnych sprawach, patrzeć na marmurowy hol ze starym świecznikiem zwisającym z sufitu i wielkimi portretami zmarłych sędziów na ścianach. Zawsze uwielbiał ten budynek, ale dziś to uczucie się ulotniło. Theo bał się tego, co miało nastąpić, chociaż nie miał pojęcia, co to właściwie będzie.

Pomaszerowali na pierwsze piętro, do zamkniętych i strzeżonych drzwi, prowadzących na główną salę rozpraw. Strażnik o nazwisku Snodgrass poinformował ich, że trwa posiedzenie sądu i drzwi pozostaną zamknięte aż do przerwy. Poszli więc korytarzem, do gabinetu sędziego Henry'ego L. Gantry'ego, gdzie jego sekretarka, Irma Hardy, akurat pisała coś na komputerze.

– Dzień dobry, Irmo – przywitała ją pani Boone.

– O, dzień dobry, Marcello, dzień dobry, Woods. Cześć, Theo.

Pani Hardy wstała i zdjęła okulary. Najwyraźniej niezbyt dobrze wiedziała, dlaczego cała rodzina Boone'ów nagle zjawiała się przed jej biurkiem. Spojrzała podejrzliwie na Ike'a, jakby ich drogi już się kiedyś skrzyżowały, dawno temu i to raczej w niezbyt miłych okolicznościach. Ike włożył dziś dzinsy, białe sportowe buty oraz podkoszulek z krótkimi rękawami, ale na szczęście wytrzasnął skądś brązową marynarkę, która dodawała mu nieco powagi.

– Jestem Ike Boone – przedstawił się, wyciągając dłoń. – Brat Woodsa, stryj Theo. Kiedyś byłem tutaj prawnikiem.

Pani Hardy zmusiła się do udawanego uśmiechu, tak jakby właśnie przypomniawszy sobie to nazwisko. Uścisnęła mu dłoń.

– Słuchaj, Irmo – odezwała się pani Boone. – Mamy do omówienia z sędzią Gantrym pewną sprawę niecierpiącą zwłoki. Wiem, że właśnie teraz prowadzi rozprawę i dlatego tutaj jesteśmy. Obawiam się, że musimy z nim porozmawiać właśnie teraz.

– Kiedy robi przerwę na lunch? – wtrącił się pan Boone.

– Zwykle około południa, ale podczas lunchu spotka się ze wszystkimi prawnikami – wyjaśniła pani Hardy, zerkając na twarz każdej z czterech wpatrujących się w nią osób. – Wiecie, jest bardzo zajęty.

Theo spojrział na duży zegar wiszący na ścianie za jej plecami. Była za dziesięć jedenasta.

– To bardzo ważne, żebyśmy spotkali się z sędzią, najszybciej jak się da – nalegała pani Boone, zdaniem Theo nieco zbyt natarczywie. Ale przecież była prawnikiem od rozwodów, nie wiedziała, co to jest nieśmiałość.

Jednak teraz znalazła się na terytorium pani Hardy, a ta łatwo się nie poddawała.

– No, może ułatwi sprawę, jak mi powiecie, o co chodzi – powiedziała.

– Obawiam się, że to wiadomość poufna – odparł pan Boone, marszcząc czoło.

– Irmo, przykro mi, ale po prostu nie możemy tego powiedzieć – dodała pani Boone.

Po drugiej stronie pokoju, pod kolejnymi portretami nieżyjących sędziów, stało kilka krzeseł. Pani Hardy wskazała na nie.

– Możecie tutaj poczekać. Powiadomię sędziego, jak tylko zrobi przerwę na lunch.

– Dziękuję, Irmo – odparła pani Boone.

– Dzięki – powiedział pan Boone.

Wszyscy odetchnęli, uśmiechnęli się.

– Theo, a dlaczego ty nie jesteś w szkole? – zapytała jeszcze pani Hardy.

– To bardzo długa historia – powiedział. – Kiedyś ją pani opowiem.

Czwórka Boone'ów usiadła, ale już po piętnastu sekundach Ike wstał, przebąkując coś o wyjściu na dymka. Pani Boone wyjęła komórkę i zadzwoniła do kancelarii, do Elsy, w jakiejś pilnej sprawie. Pan Boone ślęczał nad dokumentem, który ze sobą przyniósł.

Theo przypomniał sobie o Woodym i aresztowaniu jego brata. Otworzył plecak, wyjął laptopa i zaczął przeszukiwać wokandę wydziału kryminalnego, a także rejestry zatrzymań. Takie informacje nie były publicznie dostępne, jednak Theo, jak zwykle, użył hasła dostępu kancelarii Boone'ów.

Brat Woody'ego, Tony, został osadzony w strattenburskim domu poprawczym dla nieletnich, co było wyszukaną nazwą aresztu dla osób poniżej osiemnastego roku życia. Tony'ego oskarżono o posiadanie marihuany z zamiarem sprzedaży, przestępstwo zagrożone karą do dziesięciu lat więzienia. Miał siedemnaście lat, więc jako nieletni mógłby przyznać się do winy i dostałby najwyżej dwa lata w jakimś ośrodku dla młodocianych. Oczywiście, zakładając, że będzie chciał się przyznać. Jeśli nie, to stanie przed ławą przysięgłych i zaryzykuje znacznie dłuższy wyrok. Młodociani oskarżeni o przestępstwa narkotykowe trafiali przed sąd w mniej niż dwóch procentach spraw.

Jeśli rodzice i przybrani rodzice odmówią pomocy, tak jak zapowiadał Woody, to bratu zostanie przyznany obrońca z urzędu. W Strattenburgu obrońcy z urzędu byli bardzo dobrzy, codziennie zajmowali się podobnymi sprawami.

Theo szybko streścił to wszystko w e-mailu i wysłał Woody'emu. Wysłał jeszcze jeden e-mail, do pana Mounta, wyjaśniając, że nie ma go dzisiaj w szkole i nie przyjdzie na wiedzę o społeczeństwie. Potem wysłał też „cześć” do April.

Zegar na ścianie jakby się zatrzymał. Pani Hardy stuknęła w klawiaturę. Ci wszyscy nieżywi sędziowie na obrazach zdawali się spoglądać na Theo. Żaden się nie uśmiechał, wszyscy mieli twarze ponure i podejrzliwe, jakby pytali: Synu, a co ty tutaj robisz? Ojciec wyszedł na korytarz, żeby zadzwonić w ważnych sprawach związanych z nieruchomościami. Matka pracowała na laptopie z takim zapalem, jakby chodziło o ludzkie życie. Ike stał spokojnie przy oknie, wydmuchując dym.

Theo wyszedł z gabinetu. Wspiął się po schodach i stanął pod biurkiem wydziału rodzinnego, gdzie miał nadzieję spotkać Jenny. Teraz jednak jej nie zastał. Szwendając się, dotarł do wydziału do spraw zwierząt, ale było tam pusto. Potem wspiął się starą, ciemną klatką schodową, której nikt już nie używał i o której wiedziało tylko kilka osób. Po cichu przeszedł pograżonym w półmroku korytarzem na drugim piętrze, dotarł do opuszczonego pomieszczenia, gdzie kiedyś mieściła się prawnicza biblioteka hrabstwa. Teraz urządzono tam graciarnię, składując pudła ze starymi księgami wieczystymi i przestarzałymi komputerami. Wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Theo przeszedł między tym wszystkim na paluszkach, pozostawiając w kurzu odciski stóp. Otworzył drzwi do niewielkiej komórki. W środku panowała taka ciemność, że ledwie dostrzegał dłonie. Przy podłodze było pęknięcie, wąska szczelina, przez którą Theo widział mieszczącą się niżej salę sądową. Patrzył z wysoka, ponad głowami przysięgłych.

Widok miał po prostu wspaniały. Theo odkrył dziurę rok temu, kiedy jakaś ofiara gwałtu zeznawała w sprawie tak okropnej, że sędzia Gantry

kazał wszystkim opuścić salę. Przez jej zeznania Theo zrobiło się wtedy słabo. Wielokrotnie żałował, że podglądał tamten proces. Z zewnątrz szczeliny w boazerii w ogóle nie było widać. Znajdowała się zaraz nad rzędem grubych welwetowych zasłon, powyżej miejsca, gdzie zasiadała ława przysięgłych.

Zeznawał jeden z mężczyzn, z którymi pan Duffy grał w golfa. Theo słabo go stąd słyszał, ale wyłapał wszystko, co najważniejsze. Świadek opowiadał, że pan Duffy bardzo poważnie traktował golfa, lubił współzawodnictwo, był zdeterminowany, by udoskonalać swoją grę, i od wielu lat najchętniej grał sam. Nie było w tym nic dziwnego. Wielu golfistów, zwłaszcza tych traktujących grę poważnie, lubiło poćwiczyć w samotności.

W sali rozpraw było pełno ludzi. Theo nie widział stąd balkonu, ale domyślał się, że tam też są tłumy. Ledwie udawało mu się dojrzeć czubek głowy pana Duffy'ego, który siedział na ławie oskarżonych w otoczeniu prawników. Wyglądał na pewnego siebie, nieomal przekonanego, że proces przebiegnie po jego myśli i ława przysięgłych uzna go za niewinnego.

Theo przyglądał mu się przez kilka chwil. Potem prawnicy zaczęli się przekrzykiwać, a chłopiec wysliznął się z komórki. Był już na schodach, w połowie drogi na dół, kiedy dostrzegł ruch na półpiętrze niżej. Ktoś tam chował się w cieniu. Chłopak zastygł bez ruchu, poczuł zapach dymu. Ten ktoś palił papierosa, co było wbrew przepisom, bo przecież wciąż znajdowali się wewnątrz budynku. Wydmuchnął potężny obłok dymu, potem wszedł na półpiętro. Był to Omar Cheepe, teraz już doskonale widoczny, łącznie z wielką, łysą głową i czarnymi oczyma. Uniósł wzrok, spoglądając na Theo, nic nie powiedział, potem odwrócił się i odszedł.

Theo nie wiedział, czy Omar go śledził, czy też po prostu wszedł na klatkę, żeby zapalić. Wszędzie wokół leżały niedopałki. Inni też wymykali

się tutaj na dymka. Jakiś głos mówił mu jednak, że to spotkanie wcale nie było przypadkowe.

Dochodziła już pierwsza po południu, kiedy sędzia Gantry szarpnięciem otworzył drzwi pokoju i wyszedł wprost na Boone'ów, czekających jak niegrzeczni uczniowie pod gabinetem dyrektora. Nie miał na sobie togi ani marynarki, tylko białą koszulę z podwiniętymi rękawami i poluzowany krawat. Widać było, że pracuje ciężko i pod presją. Nie uśmiechał się, wyraźnie poirytowany.

Boone'owie zerwali się z miejsc. Nie usłyszeli żadnego „Witam” czy w ogóle jakiegokolwiek powitania. Sędzia Gantry stwierdził po prostu:

– Lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Proszę nam wybaczyć, panie sędzio. – Pan Boone zdołał odezwać się pierwszy. – Zdajemy sobie sprawę z tego, co się właśnie dzieje i pod jaką jest pan presją.

– Henry, przyjmij nasze przeprosiny – szybko dodała pani Boone. – Ale to jest rzecz o kluczowym znaczeniu dla całego procesu.

Zwracając się do Gantry'ego „Henry” zamiast „panie sędzio”, pani Boone zdołała trochę go uspokoić. Choć sędzia był bardzo poirytowany, nie czuła się onieśmielona.

– Tylko pięć minut – dodała, podnosząc torebkę.

Sędzia Gantry popatrzył na Theo tak, jakby ten właśnie kogoś zastrzelił. Potem spojrzął na Ike'a, zdołał się przelotnie uśmiechnąć i powiedział:

– Cześć, Ike. Dawno się nie widzieliśmy.

– To prawda, Henry, kopę lat – odpowiedział Ike. Uśmiech zniknął.

– Macie pięć minut – oznajmił sędzia.

Szybko weszli za nim do gabinetu, a gdy drzwi już się zamykały, Theo jeszcze zerknął za siebie, na panią Irmę Hardy. Coś pisała na klawiaturze,

jakby w ogóle jej nie interesowało, o czym będzie ta rozmowa. Domyślił się, że za pół godziny i tak wszystkiego się dowie.

Czwórka Boone'ów usiadła na krzesłach stojących z boku długiego stołu, w kącie wielkiego gabinetu. Sędzia zajął miejsce naprzeciwko nich. Theo znalazł się między rodzicami, a chociaż czuł się bardzo zdenerwowany, to też dobrze chroniony.

Pierwsza odezwała się matka.

– Henry, mamy powody ku temu, aby sądzić, że istnieje świadek zamordowania Myry Duffy Świadek, który się ukrywa. Świadek nieznany policji, oskarżycielom i z pewnością obronie.

– Mogę się spytać, skąd się w tym wszystkim wziął Theo? – zapytał sędzia, jego brwi zmarszczyły się i uniosły. – Wydaje mi się, że ty teraz powinieneś być w szkole. To raczej nie jest sprawa dla dziecka.

Po pierwsze, w tej właśnie chwili Theo rzeczywiście wolałby być w szkole. Po drugie, użycie słowa „dziecko” naprawdę go zirytowało.

– Dlatego, panie sędzio – powoli odpowiedział Theo – że ja wiem, kim jest ten świadek. Oni nie wiedzą, ale ja wiem.

Sędzia Gantry miał przekrwione oczy i wyglądał na bardzo zmęczonego. Westchnął ciężko. Głębokie zmarszczki na jego czole się wygładziły.

– Ike, a jaką ty odgrywasz rolę w tym wszystkim? – zapytał.

– Jestem tylko doradcą prawnym Theo. – Ike sądził, że to zabawne, ale pozostali dawno już stracili humor.

Zaległa cisza.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Chciałbym się dowiedzieć, co rzekomo widział ten świadek. Ktoś może mi o tym opowiedzieć?

– Ja mogę – odezwał się Theo. – Ale obiecałem, że nie powiem jego nazwiska.

– Komu to obiecałeś?

- Świadkowi.
- Więc ty rozmawiałeś z tym świadkiem?
- Tak, proszę pana.
- I wierzysz, że mówi prawdę?
- Tak, proszę pana, wierzę.

Kolejne westchnienie, kolejne przetarcie oczu.

- W porządku, Theo. Słucham. Proszę, przedstaw mi sprawę.

Theo opowiedział całą historię.

Kiedy skończył, w pokoju zapadła cisza. Sędzia Gantry powoli sięgnął do telefonu na stole, nacisnął guzik i powiedział:

- Pani Hardy, proszę poinformować woźnego, że spóźnię się trzydzieści minut. Proszę zatrzymać przysięgłych na ich miejscach.

- Tak, proszę pana – odpowiedziała zdecydowanym głosem.

Opadł na swój fotel. Wpatrywała się w niego czwórka Boone'ów, ale unikał ich wzroku.

- I wy macie te rękawiczki? – zapytał. Mówił teraz znacznie ciszej i znacznie spokojniej.

- Są w naszym biurze – powiedział pan Boone. – Chętnie je prześlemy. Sędzia Gantry uniósł obie dłonie, pokazując ich wnętrze.

- Nie, nie. W każdym razie jeszcze nie. Może później, może wcale. Dajcie mi przez chwilę się zastanowić.

Powoli wstał i podszedł do okna, za swoim potężnym biurkiem na drugim końcu pokoju. Stał przez chwilę, patrzył na zewnątrz, chociaż zbyt dużo stamtąd nie widział. Jakby zapomniał, że zaraz pod nimi jest sala sądowa pełna ludzi, którzy niecierpliwie go oczekują.

- Czy ja coś źle zrobiłem? – wyszeptał Theo do matki.

Ta się uśmiechnęła, poklepała go po ramieniu i powiedziała:

- Dobra robota, Misiaczku. Uśmiechnij się.

Sędzia na powrót zasiadł w swoim fotelu, po drugiej stronie stołu. Spojrzał na Theo i zapytał:

– Dlaczego ta osoba się nie ujawni?

Theo wahał się, czy jeśli powie za dużo, nie narazi tożsamości kuzyna Julia na ujawnienie. Z pomocą przyszedł mu Ike.

– Sędzio, ten świadek jest nielegalnym imigrantem, jednym z wielu, jakich tutaj mamy. Teraz się wystraszył i nie można go za to winić. Jeśli tylko wyczuje kłopoty, zapadnie się pod ziemię i zniknie na zawsze.

– Myśli, że go aresztują, jak tylko się ujawni – dodał Theo.

– A Theo obiecał facetowi, że nikomu o nim nie powie – dodał Ike.

– Ale uznał, że trzeba poinformować sąd, że na procesie brak świadka kluczowego dla sprawy – dodał pan Boone.

– Jednocześnie chroniąc tożsamość świadka – dodała pani Boone.

– Dobrze już, dobrze – odparł sędzia Gantry i zerknął na zegarek. – Na tym etapie procesu nie mogę go zatrzymać. Jesteśmy już prawie gotowi, żeby ława przysięgłych rozpoczęła obrady. Jeśli teraz pojawi się niespodziewany świadek, to trudno będzie wszystko przystopować i pozwolić mu na złożenie zeznań. Ale to nawet nie jest niespodziewany świadek. To świadek widmo. Nie mogę zatrzymać procesu.

Jego słowa odbiły się echem po gabinecie i ciężko osiadły na stole. Jedyne, o czym Theo mógł teraz myśleć, to pan Duffy, siedzący ze wszystkimi swoimi prawnikami, zadowolony i pewien, że morderstwo ujdzie mu na sucho.

– Sędzio, czy ja mogę coś zasugerować? – zapytał Ike.

– Jasne, Ike. Przydałaby mi się pomoc.

– Krąży plotka, że zamierza pan kontynuować proces jeszcze jutro, w sobotę i czekać na werdykt.

– To prawda.

– A może by tak wysłać ławę przysięgłych do domu do poniedziałku, tak jak się robi przy większości rozpraw. Sprowadzić ich w poniedziałek rano, żeby dopiero wtedy mieli obrady. To jest sąd, a nie nagła operacja. Nie trzeba się spieszyć.

– Jaki więc masz plan?

– Nie mam planu. Ale to dałoby nam więcej czasu, żeby zastanowić się nad tym świadkiem, może znaleźć sposób, żeby mu pomóc. Po prostu wydaje mi się, że to byłby błąd tak spieszyć się z werdyktem, zwłaszcza z werdyktem, który może się okazać błędny.

– Błędny?

– Tak. Oglądałem trochę ten proces. Oglądałem przysięgłych. Oskarżenie było oparte na słabych podstawach, teraz są jeszcze słabsze. Pete Duffy zostanie uniewinniony.

Sędzia Gantry nieznacznie skinął głową, jakby się z nim zgadzał, jednak ciągle milczał. Zaczął się przygotowywać do rozprawy. Zapiął rękawy, poprawił krawat, wstał i sięgnął po czarną togę wiszącą obok drzwi.

– Przemyśle to – powiedział w końcu. – Dziękuję za waszą, eee...

– Ingerencję – dokończył pan Boone z uśmiechem.

Boone'owie podnieśli się z miejsc.

– Ależ Woods, wcale nie. Mamy tu wyjątkową sytuację, z którą jeszcze nigdy się dotąd nie zetknąłem. Ale przecież każdy proces jest inny. Dziękuję, Theo.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie.

– Oglądacie resztę rozprawy?

– Nie znajdziemy miejsc – odpowiedział Theo.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

ROZDZIAŁ 17

Kiedy tylko przysięgli zajęli swoje miejsca, a w sali zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się na sędziego Gantry'ego, ten oznajmił:

– Panie Nance, został panu jeszcze jeden świadek.

Clifford Nance wstał, wyprostowany i pełen powagi. Oznajmił dramatycznym tonem:

– Wysoki Sądzie, obrona powołuje na świadka samego Pete'a Duffy'ego.

Kiedy oskarżony zbliżał się do miejsca dla świadka, atmosfera w sali nagle zgęstniała. Wreszcie, po czterech długich dniach procesu, Duffy mógł osobiście zająć stanowisko i przedstawić własną wersję zdarzeń. Wystawiał się też jednak na pytania oskarżyciela. Theo wiedział, że w sześćdziesięciu pięciu procentach spraw o morderstwo oskarżony w ogóle nie zeznaje i dobrze wiedział dlaczego. Po pierwsze, zwykle jest winny morderstwa i nie wytrzymuje krzyżowego ognia pytań prokuratury. Po drugie, zazwyczaj ma już kryminalną przeszłość, a to obniża wartość jego zeznań. Przy okazji każdego procesu sędzia stara się wyjaśnić ławie przysięgłych, że oskarżony w ogóle nie musi zeznawać, nie musi wypowiedzieć w swojej sprawie nawet jednego słowa i przedstawiać choćby jednego świadka. Ciężar udowodnienia mu winy spoczywa na władzach stanu.

Theo wiedział również, że przysięgli bardzo podejrzliwie patrzą na takiego oskarżonego, który nie zeznaje, żeby ratować własną skórę. Czy byli podejrzliwi wobec Pete'a Duffy'ego? Tego już nie umiał powiedzieć. Przyglądali mu się uważnie, kiedy zasiadał na krześle, unosił prawą dłoń i przysięgał mówić prawdę.

Theo widział to wszystko dokładnie, bo dzięki sędziemu Gantry'emu siedział na krześle z prawej strony w drugim rzędzie, za obroną. Po prawej miał Ike'a, a po lewej ojca. Matka poszła do kancelarii na umówione spotkanie. Powiedziała, że nie może „marnować” popołudnia, wysiadując na rozprawie, chociaż pozostali trzej Boone'wie widzieli, że tak naprawdę bardzo chce zostać.

Clifford Nance odchrząknął i poprosił oskarżonego, aby podał swoje nazwisko, co stanowiło rzecz konieczną, choć w tych okolicznościach dosyć głupią. Przecież w tej sali wszyscy nie tylko znali Pete'a Duffy'ego, ale też mnóstwo o nim wiedzieli. Pan Nance zadał potem serię prostych pytań. Bez pośpiechu ustalał rzeczy podstawowe – historię rodziny pana Duffyego, jego wykształcenie, zawód, działalność biznesową, brak przeszłości kryminalnej i tak dalej. Oboje ćwiczyli to długie godziny i świadek odpowiadał jak z nut. Często zerkał na przysięgłych, starając się utrzymać ton swobodnej rozmowy. Zdawało się, że stara się im powiedzieć: Wiercie mi. Był przystojnym mężczyzną w modnym garniturze. Na to drugie Theo zwrócił uwagę, bo żaden z pięciu mężczyzn zasiadających wśród przysięgłych nie włożył ani marynarki, ani krawata. Theo czytał artykuły o tym, co prawnicy i ich klienci powinni wkładać na proces.

Takie spokojne odbijanie piłeczki w końcu zmieniło się jednak w coś poważniejszego. Pan Nance podjął temat wartą milion dolarów polisy pani Myry Duffy. Świadek wyjaśnił, że zawsze przykładął dużą wagę do ubezpieczeń na życie. Już jako młody człowiek świeżo po ślubie i z małymi dziećmi odkładał pieniądze i inwestował je w ubezpieczenie zarówno swoje, jak i żony. Polisy na życie bardzo pomagają chronić rodzinę w razie czyjejś nagłej śmierci. Później, gdy ożenił się z drugą żoną, Myrą, też nalegał na wykup ubezpieczenia na życie. Myra się zgodziła. Tak naprawdę,

ten milion dolarów był jej pomysłem. Chciała mieć zabezpieczenie, na wypadek gdyby to jemu coś się przytrafiło.

Chociaż pan Duffy nie był w stanie całkiem się odprężyć, był wiarygodny. Sędziowie słuchali go z uwagą. Podobnie Theo. Kilkukrotnie sam sobie przypominał, że właśnie ogląda największy proces w historii Strattenburga. A na dodatek nie był teraz szkole i miał na to usprawiedliwienie.

Pan Nance przeszedł od polisy na życie do interesów pana Duffy'ego. I tutaj też świadek poradził sobie dobrze. Przyznał, że owszem, kilka jego przedsięwzięć związanych z nieruchomościami nie wypaliło, niektóre banki go naciskały, stracił kilku partnerów i popełnił parę błędów. Jego pokora była poruszająca i przysięgli dobrze ją przyjęli. Uczyniła go jeszcze bardziej wiarygodnym. Zdecydowanie zaprzeczał, ażeby nawet w jakiejś dalszej perspektywie groziło mu bankructwo. Zapewniał, że podjął wiele przemyślanych działań, mających na celu spłatę długów i zabezpieczenie aktywów.

Część z tego wydawała się Theo niezrozumiała. Podejrzewał, że kilku przysięgłych też było nieco zbitych z tropu. To zresztą nie miało znaczenia. Clifford Nance i tak starannie przygotował swojego klienta.

Według teorii oskarżenia motyw zabójstwa stanowiły pieniądze i chciwość. Jednak ta teoria stawała się coraz słabsza.

Pan Nance przeszedł potem do delikatnej sprawy małżeńskich kłopotów państwa Duffych. Świadek zdobył kolejne punkty. Przyznał się, że rzeczywiście bywało ciężko. Owszem, poszli do poradni małżeńskiej. Tak, rozmawiali ze swoimi prawnikami o rozwodzie. Tak, czasem się kłócili, ale nigdy gwałtownie. Owszem, raz się wyprowadził, i to był smutny miesiąc, który tylko go przekonał, aby wszystko ponaprawiać. Tuż przed jej śmiercią byli ze sobą szczęśliwi i mieli plany na przyszłość.

Kolejny słaby punkt w teorii oskarżyciela.

Popołudnie się przeciągało, a Clifford Nance zaczął wypytywać o golfa. Zajęło to dużo czasu. Skromnym zdaniem Theo za dużo. Pan Duffy trwał niewzruszenie przy zdaniu, że od zawsze lubił grać w golfa samotnie i robił tak już od dziesięcioleci. Pan Nance wyciągnął jakąś teczkę, potem wyjaśnił sędziemu, że są w niej karty wyników jego klienta, datujące się aż dwadzieścia lat wstecz. Wręczył jedną świadkowi, ten ją rozpoznał. Pochodziła z pola golfowego w Kalifornii, sprzed czternastu laty. Duffy strzelił osiemdziesiąt jeden razy, dziewięć ponad normę. Grał sam.

Pojawiały się kolejne karty, jedna po drugiej, a zeznania szybko zmieniły się w przegląd pól golfowych z całych Stanów Zjednoczonych. Duffy bardzo dużo grał i podchodził do golfa z powagą. Przechowywał wyniki. I grał samotnie. Wyjaśnił, że grywał także z przyjaciółmi, przy okazji załatwiania różnych interesów, grywał nawet ze swoim synem, kiedy tylko miał okazję. Jednak najchętniej grał samotnie na pustym polu.

Kiedy przegląd pól golfowych już się zakończył, nikt nie miał wątpliwości, że kolejna teoria oskarżenia padła z hukiem. To, że Pete Duffy planował morderstwo od dwóch lat i właśnie dlatego zaczął samotnie grać w golfa, żeby potem nie mieć świadków, wydawało się teraz całkiem nieprawdopodobne.

Theo wciąż nie opuszczała jedna myśl: „W tłumie na sali sądowej tylko cztery osoby znają prawdę. Ja, Ike, mój tata i Pete Duffy. Wszyscy wiemy, że właśnie on zabił swoją żonę”.

Ike'a wciąż nie opuszczała jedna myśl: Uniewinnię tego faceta, a my nic nie możemy na to poradzić. Oto zbrodnia doskonała.

Woodsa Boone'a wciąż nie opuszczała jedna myśl: Jak zdołamy znaleźć tego tajemniczego świadka i przyprowadzić go tutaj, zanim będzie za późno?

Ostatnia karta golfowych wyników pochodziła z dnia morderstwa. Pan Duffy grał do osiemnastu dołków, strzelił sześć ponad normę. Grał sam. Oczywiście kartę wyników wypełniał osobiście, więc dałoby się to zakwestionować.

(Theo już się nauczył, że w golfie większość kart wyników pokazuje coś innego niż prawdziwa liczba trafień).

Pan Nance zmienił ton na poważniejszy, wypytując klienta o dzień morderstwa, zaś Duffy odpowiadał właśnie tak, jak miał odpowiadać. Kiedy mówił o gwałtownej śmierci żony, głos robił mu się coraz cichszy, jakby łamiący się i zbolący.

Ciekawe, czy zacznie płakać, zastanowił się Theo w duchu, chociaż był poruszony zeznaniem.

Pete Duffy powstrzymał łzy. Świetnie się spisał, opisując grozę towarzyszącą wiadomości o śmierci żony, pospiesznemu powrotowi do domu na wózku golfowym i zastaniu tam policji. Ciało żony wtedy jeszcze nie zabrano. Kiedy je zobaczył, prawie zemdlał, musiał go podtrzymywać detektyw. Potem zabrał go lekarz i dał mu coś na uspokojenie.

Co za kłamca, pomyślał Theo. Co za oszust. Zabiłeś swoją żonę. Jest na to świadek. W kancelarii mam schowane twoje rękawiczki.

Pete Duffy opowiadał też o koszmarze związanym z telefonami do swojej rodziny, do jej rodziny, do przyjaciół, o planowaniu pogrzebu i samym pogrzebie. O samotności. Pustce życia w domu, gdzie zamordowano jego ukochaną żonę. O myślach, by go sprzedać i się wyprowadzić. Codziennych wizytach na cmentarzu.

Potem o groźbie stania się podejrzanym, oskarżonym, aresztowanym i postawionym przed sądem. Jak ktokolwiek mógł podejrzewać go o zabójstwo kobiety, którą kochał i szanował?

Wreszcie się załamał. Z trudem zdołał odzyskać panowanie nad sobą, otarł łzy, powtarzając: „Bardzo przepraszam, przepraszam”. To było bardzo poruszające. Theo przyjrzał się twarzom przysięgłych. Widział w nich wiarę i współczucie. Duffy się popłakał, aby ocalić życie, i to podziałało.

Kiedy klient Clifforda Nance'a starał się jakoś wziąć w garść, adwokat uznał, że osiągnął już wystarczająco dużo.

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań – ogłosił. – Nie męczmy już świadka.

Natychmiast wstał Jack Hogan.

– Wysoki Sądzie, czy mogę prosić o krótką przerwę? – zapytał.

Taka przerwa zakłócała bieg zdarzeń, odrywała przysięgłych od pełnego emocji wyznania, jakie właśnie usłyszeli. A poza tym minęła już trzecia trzydziści. Wszyscy potrzebowali odpoczynku.

– Piętnaście minut – oznajmił sędzia Gantry. – Potem zaczniemy przesłuchanie.

Piętnaście minut przeciągnęło się do trzydziestu.

– On gra na zwłokę – stwierdził Ike. – Jest piątek po południu. Odeśle przysięgłych do domu i wróć do sprawy w poniedziałek.

– Nie wiem – powiedział Woods Boone. – Może chceć, żeby już dziś wieczorem wygłoszono mowy końcowe.

Stłoczyli się na korytarzu, obok automatu z napojami. Grupka widzów rozprawy wpatrywała się w zegar na ścianie. Podszedł Omar Cheepe, chciał kupić coś do picia. Włożył kilka monet do automatu, wybrał napój, cały czas zerkając na Boone'ów. Potem odebrał resztę.

Ike wciąż powtarzał:

– Hogan go nie tknie. Nic na niego nie ma.

– Przysięgli w niecałą godzinę uznają go za niewinnego – powiedział Woods.

- Wyjdzie na wolność – dodał Theo.
- Naprawdę muszę już wracać do biura – oznajmił Woods.
- Tak jak ja – dodał Ike.

Typowi Boone'owie.

Jednak żaden z nich nawet nie drgnął, bo obaj chcieli zobaczyć koniec procesu. A Theo po prostu cieszył się, że byli razem i rozmawiali, co tak rzadko się zdarzało.

W głębi korytarza zaczął się ruch, tłum przesunął się w stronę sali rozpraw. Niektórzy widzowie w trakcie przerwy poszli już do domów. Było to przecież piątkowe popołudnie.

Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, ponownie usiedli i ucichli, sędzia Gantry zajął miejsce na ławie sędziowskiej. Skinął na Jacka Hogana. Przyszedł czas na przesłuchanie. Gdy świadek składał zeznania, prokurator miał prawo agresywnie go wypytywać, zwykle nie było zbyt przyjemnie.

Jack Hogan podszedł do podium dla świadków i wręczył Pete'owi Duffy jakiś dokument.

– Panie Duffy, czy pan to poznaje? – zapytał Hogan, a każda jego sylaba wręcz ociekała podejrzliwością.

Duffy przejrzał dokument, obejrzał kilka stron z jego przodu i z tyłu.

- No, tak – powiedział w końcu.
- Proszę powiedzieć przysięgłym, co to jest?
- To jest dokument przejęcia przez wierzyciela obciążanej własności.
- Jakiej własności?
- Centrum handlowego Rix Road.
- Tutaj, w Strattenburgu?
- Tak.
- A centrum handlowe Rix Road jest pana własnością?
- Tak, moją i mojego partnera.

– I bank wysłał panu ten dokument we wrześniu zeszłego roku, dlatego że nie uiszczył pan kwartalnych rat za tę nieruchomość. Czy to prawda?

– Tak twierdził bank.

– Czy pan się z tym nie zgadza, panie Duffy? Czy mówi pan tym oto przysięgłym, że we wrześniu zeszłego roku nie zalegał pan z ratami za tę nieruchomość? – Jack Hogan, zadając pytanie, machał jeszcze innymi papierami, jakby miał mnóstwo dowodów.

Duffy zamilkł, potem uśmiechnął się nieszczerze.

– Owszem, zalegaliśmy z opłatami.

– A jakiego kredytu udzielił panu bank w związku z tą nieruchomością?

– Dwieście tysięcy dolarów.

– Dwieście tysięcy dolarów – powtórzył Hogan, spojrzawszy na przysięgłych. Potem podszedł do swojego stołu, odłożył plik papierów i wziął jakiś inny. Wrócił na podium.

– A teraz – odezwał się – panie Duffy, czy pan był właścicielem magazynu na Wolf Street w parku przemysłowym, tutaj, w Strattenburgu?

– Tak, proszę pana. Miałem dwóch partnerów.

– I sprzedaliście ten magazyn, prawda?

– Tak, sprzedaliśmy.

– A ta sprzedaż miała miejsce we wrześniu, prawda?

– Skoro pan tak twierdzi. Jestem pewien, że ma pan stosowne dokumenty.

– W rzeczy samej. Z moich dokumentów wynika, że ten magazyn był na sprzedaż już od ponad roku, że jego cena wynosiła sześćset tysięcy dolarów, a należność wobec State Banku pięćset pięćdziesiąt. I że pan oraz pańscy partnerzy ostatecznie sprzedali to za niewiele ponad czterysta tysięcy. – Hogan ciskał kolejnymi papierami. – Zgadza się pan, panie Duffy?

– To mniej więcej prawda.

– Zatem stracił pan na tej transakcji sporo pieniędzy, prawda panie Duffy?

– Nie był to jeden z moich najlepszych interesów.

– Czy desperacko chciał pan sprzedać ten magazyn?

– Nie.

– Nie potrzebował pan pieniędzy, panie Duffy?

Świadek przestąpił z nogi na nogę, zdawało się, że poczuł się trochę nieswojo.

– My, moi partnerzy i ja, musieliśmy sprzedać ten magazyn.

Przez następnych dwadzieścia minut Hogan wciąż drążył temat interesów Pete'a Duffy'ego, jego wspólników i ich kłopotów finansowych. Duffy zaprzeczał, że był zdesperowany. Ale w miarę jak pytania prokuratora robiły się coraz bardziej natarczywe, stało się jasne, że Duffy się miotał, próbując podtrzymać jedno przedsięwzięcie, podczas gdy drugie mu się nie powiodło. Hogan miał przy sobie mnóstwo papierów. Przedstawił kopie dwóch pozwów sądowych, wniesionych przeciwko Pete'owi Duffy'emu przez byłych wspólników. Dokładnie wypytał świadka o zarzuty stawiane w pozwach. Duffy twardo zaprzeczał swojej winie, wyjaśniał, że żadna z tych spraw nie miała większego znaczenia. Przyznał, że owszem, interesy kulały, lecz twardo obstawał, że daleki był od bankructwa.

Jack Hogan wręcz po mistrzowsku zaprezentował Duffy'ego jako żądnego mamony krętacza, który ledwie daje radę o krok wyprzedzać wierzycieli. Jednak powiązanie finansowych problemów z morderstwem wciąż pozostawiało sporo do życzenia.

Hogan zmienił temat, szykując się do odpalenia kolejnej bomby. Taktownie wypytał o kłopoty małżeńskie Duffy'ego. Po kilku łatwych

pytaniach powiedział jeszcze:

– A zatem, panie Duffy, zeznał pan, że się wyprowadził od żony. Czy to prawda?

– Tak.

– A ta separacja potrwała miesiąc?

– Nie nazwałbym tego separacją. Nigdy tak tego nie nazywaliśmy.

– Jak to się więc nazywało?

– Proszę pana, my sobie nigdy nie zawracaliśmy głowy tym, żeby to jakoś nazwać.

– Rozumiem. Kiedy pan się wyprowadził?

– Nie prowadziłem dziennika, ale to był lipiec zeszłego roku.

– Mniej więcej trzy miesiące przed morderstwem?

– Tak, mniej więcej.

– Gdzie pan zamieszkał, gdy pan się wyprowadził?

– Nie jestem pewien, czy tak naprawdę się wyprowadzałem, proszę pana. Tylko zabrałem kilka ubrań i wyszedłem z domu.

– Dobrze, a dokąd pan się wtedy udał?

– Kilka nocy spędziłem w Marriotcie. Przemieszkałem też kilka dni u jednego ze współników. Jest rozwiedziony i mieszka sam. To był naprawdę kiepski miesiąc.

– Zatem bywał pan tu i tam przez mniej więcej miesiąc?

– Zgadza się.

– Potem wprowadził się pan z powrotem do domu, dogadał z panią Duffy i póki nie została zamordowana, żyliście szczęśliwie?

– Czy to jest pytanie?

– W rzeczy samej. To pytanie do pana, panie Duffy. – Jack Hogan wrócił do papierów. Wręczył świadkowi jakiś dokument, a Duffy, zerknąwszy na niego, pobladł.

– Poznaje to pan, panie Duffy?

– Nie jestem pewien – odpowiedział Duffy, wertując kartki i zwlekając z odpowiedzią.

– Dobrze, pan pozwoli, że ja pomogę. To jest czterostronicowy dokument najmu apartamentu w Weeksurgu, prawie pięćdziesiąt kilometrów stąd. Ładnego apartamentu z dwiema umeblowanymi sypialniami w eleganckim budynku, dwa tysiące dolarów za miesiąc. Już pan sobie przypomniał, panie Duffy?

– Nie całkiem. Ja, eee...

– Wynajmu na rok, poczynając od zeszłego czerwca. Duffy wzruszył ramionami, jakby nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Nie ma mojego podpisu.

– Nie, ale jest podpis pana sekretarki, pani Judith Maze, mieszkającej z mężem tutaj, w Strattenburgu, pod tym samym adresem już od dwudziestu lat. Prawda, panie Duffy?

– Skoro pan tak twierdzi. Ona jest moją sekretarką.

– Dlaczego miałyby się podpisać pod umowę wynajęcia takiego mieszkania?

– Nie mam pojęcia. Może to ją powinien się pan zapytać.

– Panie Duffy, czy na pewno pan chce, żebym ją powołał na świadka?

– No jasne. Proszę bardzo.

– Czy pan kiedyś widział to mieszkanie, panie Duffy?

Duffy był wytrącony z równowagi, oszołomiony, stąpał teraz po niepewnym gruncie. Zerkał na ławę przysięgłych, obdarzył ją fałszywym uśmiechem.

– Tak, zatrzymałem się tam na kilka nocy – odpowiedział.

– Sam? – rzucił Hogan z doskonałym wyczuciem chwili i bardzo podejrzliwie.

– Oczywiście, że byłem sam. Przebywałem tam w interesach, sprawy przeciągnęły się do późna, więc zatrzymałem się w tym mieszkaniu.

– Jakże wygodnie. Kto płaci czynsz?

– Nie wiem. Musi pan się zapytać pani Maze.

– Czyli, panie Duffy, oznajmia pan ławie przysięgłych, że nie pan wynajął to mieszkanie i nie pan płaci czynsz?

– Zgadza się.

– A czy wynajęcie tego mieszkania nie miało nic wspólnego z problemami, które mieliście pan i pani Duffy?

– Nie. Powtarzam, ja nie wynająłem tego apartamentu.

Dla Theo, który znał prawdę, wiarygodność Pete'a Duffy'ego poważnie się zachwiała. Wydawało się czymś wręcz oczywistym, że kłamie w sprawie tego mieszkania. A skoro raz już skłamał, z pewnością mógł skłamać i drugi.

Najwyraźniej Jack Hogan nie był w stanie wykazać, jak często Duffy korzystał z tamtego mieszkania. Zmienił więc temat i zajął się golfem, i nie przypierał już świadka do muru. Duffy znał się na golfie lepiej od oskarżyciela. Targowali się i spierali całą godzinę.

Dochodziła już szósta wieczorem, kiedy Jack Hogan wreszcie usiadł. Sędzia Gantry, nie tracąc czasu, ogłosił:

– Postanowiłam zakończyć rozprawę na dziś. Myślę, że ława przysięgłych potrzebuje przerwy. Mam nadzieję, że czeka państwa spokojny, pełen wypoczynku weekend. Spotkamy się o dziewiątej rano w poniedziałek. Wtedy zostaną wygłoszone mowy końcowe, następnie sprawa będzie w końcu przekazana państwu do rozpatrzenia. I znowu te same instrukcje co zawsze. Proszę z nikim nie rozmawiać o sprawie. Jeśli ktoś się z państwem skontaktuje i spróbuje rozmawiać o sprawie, to proszę

natychmiast mnie powiadomić. Dziękuję państwu za udział. Do zobaczenia w poniedziałek.

Woźni odprowadzili przysięgłych przez boczne drzwi. Kiedy ci już wyszli, sędzia Gantry spojrzał na prawników i zapytał:

– Panowie, czy coś jeszcze?

Jack Hogan wstał i oznajmił:

– Tym razem nic, Wysoki Sądzie.

Clifford Nance również wstał i pokręcił głową.

– No to dobrze – stwierdził Gantry. – Zawieszam rozprawę do poniedziałku rano.

ROZDZIAŁ 18

Po raz pierwszy od kilku nocy Theo spał dobrze. Obudził się późnym sobotnim rankiem, a gdy razem z Sędzią włókł się na dół, wiedział już, że w kuchni odbywa się rodzinna narada. Ojciec stał przy kuchence i smażył jajecznicę. Matka, jeszcze w koszuli nocnej, siedziała przy skraju stołu, stukając w klawiaturę i wpatrując się w monitor. Ike, który z tego, co wiedział Theo, od jego narodzin, czyli od trzynastu lat, jeszcze ani razu nie odwiedził tego domu, siedział przy drugim końcu blatu. Przed sobą miał rozłożoną poranną gazetę. Uważnie czytał dział ogłoszeń drobnych i robił notatki. Dzisiaj włożył spłowiały pomarańczowy dres do joggingu i czapkę drużyny Jankees. W powietrzu unosił się zapach śniadania, a atmosfera była napięta od niedokończonej rozmowy. Sędzia ruszył prosto do kuchenki, jak zwykle zaczął zebrać o jedzenie.

Wszyscy powiedzieli sobie „dzień dobry”. Theo podszedł do kuchenki i spojrzał z niesmakiem na jedzenie.

– Wszystkie jajka są w jajecznicy – oznajmił ojciec.

Pan Boone gotował jeszcze gorzej od żony i jajka wyglądały na surowe, przynajmniej zdaniem Theo. Nalał sobie trochę soku grejpfrutowego i usiadł przy stole.

Nikt się nie odzywał. Wreszcie Ike powiedział:

– Znalazłem dwupokojowe mieszkanie z garażem w Millmont. Sześćset miesięcznie. To wcale nie taka zła część miasta.

– Tak, Millmont jest w porządku – powiedział pan Boone.

– Ona zarabia siedem dolarów za godzinę i pracuje trzydzieści godzin w tygodniu – oznajmiła pani Boone, nie podnosząc wzroku. – Po odjęciu podatku i paru opłat będzie miała szczęście, jak jej zostanie na wynajem trzysta dolarów miesięcznie. Nie może sobie na to pozwolić. Właśnie dlatego mieszkają w schronisku.

– To jak myślisz, gdzie znajdziemy mieszkanie za trzysta miesięcznie? – zapytał lekko poirytowany Ike. Jednak nie unosił wzroku. Nikt nikomu nie patrzył teraz w oczy.

Theo tylko słuchał i patrzył.

– Jeśli to mieszkanie z garażem – mówił pan Boone – to pewnie ma tylko jednego właściciela. Wątpię, żeby wynajął to ludziom z Salwadoru albo komuś innemu, kto nie jest stąd.

Pacnął Theo trochę jajeczniczy na talerz, dołożył pszenną grzanekę i podsunął mu pod nos.

– Dziękuję – powiedział Theo.

Sędzia też w końcu dostał trochę jajek do miski.

Theo odgryzł mały kawałek grzanki, żuł powoli. Wsłuchiwał się w ciszę. Denerwowało go, że nikomu nie zależy, by wziął udział w rozmowie. Jajka okazały się glutowate.

– Polowanie na mieszkanie, co? – odezwał się w końcu.

– Tak – mruknął Ike.

Mieszkańcy Salwadoru. Schronisko. Wszystko składało się w całość.

– Woods – odezwała się pani Boone, ciągle stukając w klawiaturę. – Nick Wetzel reklamuje się jako specjalista od spraw imigrantów. Czy ma dobrą opinię? Nigdy z nim nie pracowałam.

– Dużo się reklamuje – opowiedział pan Boone. – Często jest w telewizji i żebrze o rozbite samochody. Ja bym się trzymał z daleka.

– No tak, ale w mieście są tylko dwaj prawnicy zajmujący się imigrantami.

– Porozmawiaj z obydwoma – powiedział Ike.

– Pewnie tak trzeba będzie zrobić – odparła.

– Co my tutaj robimy? – wreszcie zapytał Theo.

– Ciężko pracujemy – odparł ojciec, siadając z filiżanką kawy. – A ciebie i mnie czeka dziś bardzo ważna gra w golfa.

Theo nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Grali prawie co sobotę, ale przez kilka ostatnich dni całkiem zapomniał o golfie. Podobnie jak reszta miasta uznał, że proces będzie też w sobotę, i planował, że spędzi ją w sali sądowej.

– Świetnie. Kiedy?

– Powinniśmy wyjść za mniej więcej trzydzieści minut.

Trzydzieści minut później chowali kije golfowe do bagażnika SUV-a pana Boone'a i rozmawiali o tym, jak piękna jest dzisiaj pogoda. Była połowa kwietnia, bezchmurna. Miało być nawet dwadzieścia jeden stopni, kwitły azalie, a sąsiedzi krzatali się przy klombach.

Po kilku minutach Theo zapytał:

– Tato, a dokąd jedziemy?

Wyglądało na to, że nie jadą na miejskie pole golfowe w Strattenburgu, tam gdzie zawsze grali.

– Sprawdzimy dzisiaj nowe pole.

– Które? – Theo znał w okolicy tylko trzy.

– Waverly Creek.

Theo poczekał, aż to do niego dotrze, a potem się odezwał:

– Świetnie, tato. Miejsce zbrodni.

– No właśnie. Mam klienta, który tam mieszka. Zapraszał nas, żebyśmy kiedyś tam pograli. Dzisiaj go nie będzie. Tylko my dwaj. Zagramy na polu

Creek, więc pewnie nie będzie tłumów.

Dziesięć minut później podjeżdżali już pod imponującą bramę Waverly Creek. Wzdłuż drogi biegł solidny kamienny mur i zniknął gdzieś za zakrętem. Ruch kończył się pod wielkimi wrotami. Z budki strażniczej wyszedł człowiek w mundurze, podszedł do samochodu, a pan Boone zatrzymał się i opuścił szybę.

– Dzień dobry – powiedział strażnik z uśmiechem. Miał notatnik w ręku.

– Dzień dobry. Nazywam się Woods Boone. Przyjechałem pograć w golfa. Zaczynam o dziesiątej czterdzieści. Jesteśmy gośćmi Maksa Kilpatricka.

Strażnik przyjrzał się swoim notatkom.

– Witam, panie Boone – oznajmił. – Proszę położyć to za szybą. – Podał jaskrawożółtą karteczkę. – Życzę samych celnych strzałów.

– Dziękuję – odpowiedział pan Boone. Brama zaczęła się otwierać.

Jak do tej pory Theo przekraczał ją tylko raz, kilka lat temu na urodzinach kolegi, który zresztą od tamtej pory zdążył się już stąd wyprowadzić. Pamiętał duże domy, długie podjazdy, drogie samochody i perfekcyjnie zadbane trawniki. Jechali wąską ulicą obsadzoną starymi drzewami, minęli kilka fairwayów[Fairway – obszar pola golfowego stanowiący główny tor gry. Trawa na nim ma wysokość 0,5–2 centymetrów (przyp. red.)] i greenów[Green – część pola, na której znajdują się flaga i dołek. Trawa jest tu krótko przystrzyżona (mniej niż 5 milimetrów) przyp. red.)]. Pole było doskonale wypielęgnowane, wyglądało jak na zdjęciu z magazynu golfowego. Przy każdym początku toru stali golfiści ćwiczący uderzenia, a na każdym greenie nad kijami pochylało się jeszcze więcej graczy. Theo ogarnęła trema. Zaczął się bać. Niewiele rzeczy lubił bardziej od gry z tatą do osiemnastu dołków na pustym polu – ale też mało co

stresowało go bardziej od prób trafienia w piłkę, kiedy czterech innych golfistów czeka już za plecami i patrzy ze zniecierpliwieniem.

W klubie było tłoczno. Dziś, w pogodny dzień, przyszły dziesiątki graczy. Pan Boone zarejestrował się, wziął wózek, a potem zaczęli się rozgrzewać na golfowej strzelnicy. Theo nie mógł się powstrzymać i popatrzył wokoło z nadzieją, że gdzieś zauważy kuzyna Julia. A może i samego Pete'a Duffy'ego, który po ciężkim tygodniu w sądzie wpadł na pole wybić parę piłek. W dniu aresztowania zapłacił kaucję, nigdy nie był nawet w pobliżu aresztu.

Sądząc po tym, jak przebiegał proces, to raczej nie trafi pod klucz.

Theo nie zauważył ani jednego, ani drugiego. Myśląc o nich, nie koncentrował się na uderzeniach. Rozrzucił kilka piłek po strzelnicy i zaczął martwić się o swoje wyniki.

Rozpoczęli grę punktualnie. Pan Boone z niebieskiej podstawki pod piłeczkę, Theo z białej, nieco dalej na torze. Wybił piłkę prosto, zaledwie na sto metrów.

– Trzymaj głowę pochyloną – poradził ojciec, kiedy odjeżdżali wózkiem. W ciągu tego dnia Theo czekało jeszcze wiele takich wskazówek. Pan Boone grał od trzydziestu lat, był przeciętnym graczem, ale jak większość golfistów często nie umiał się powstrzymać się od udzielania dobrych rad, zwłaszcza synowi. Theo przyjmował to ze spokojem. Potrzebował pomocy.

Przed sobą mieli czwórkę graczy, a za sobą nikogo. Pole Creek było krótsze, węższe i dlatego rzadziej je wybierano. Zostało zaprojektowano tak, aby dopasować do wijącego się Waverly Creek, ładnego, lecz dosyć zdradzieckiego strumyczka, znanego z tego, że pochłaniał golfowe piłki. Na

Dziewiątkach Południowej i Północnej było mnóstwo ludzi, ale nie tutaj, nie na polu Creek.

Kiedy siedzieli w wózku obok podstawek na piłeczki i czekali, aż wyprzedzająca ich czwórka przepchnie piłki do numeru 3, pan Boone powiedział:

– Dobra, Theo, oto nasz plan. Ike szuka mieszkania dla rodziny Pena, czegoś niewielkiego i wygodnego. Jeśli będą potrzebować pomocy przy płaceniu czynszu, to twoja matka i ja możemy im odpalić trochę pieniędzy. Rozmawialiśmy o tym już od kilku miesięcy, więc to nic nowego. Ike, który ma wielkie serce, ale mało na koncie, też chce pomóc. Jeśli naprawdę szybko znajdziemy odpowiednie miejsce, to może Carola zdoła przekonać swojego siostrzeńca, kuzyna Julia, żeby z nimi zamieszkał. Dla nich wszystkich tak będzie znacznie lepiej. Twoja matka rozmawia z prawnikiem zajmującym się imigrantami. Może istnieje sposób w ramach prawa federalnego, żeby umożliwić nielegalnemu imigrantowi legalizację, jeśli ma opiekuna, obywatela USA, i jeśli ma pracę.

Uderzaj.

Zaczęli grę, wrócili do wózka i spokojnie pojechali dróżką. Kolejny raz jechali po wyboistym terenie. Gdy jechali, pan Boone kontynuował:

– Twoja matka i ja chcemy zająć się kuzynem Julia. Prawdopodobnie zdołam znaleźć mu lepszą pracę, legalną, a jeśli zamieszka z ciotką i jej rodziną, to przypuszczalnie w ciągu dwóch lat można będzie zalegalizować jego pobyt. Co innego, jeśli chodzi o pełne obywatelstwo.

– W czym tkwi haczyk? – zapytał Theo.

– Tak naprawdę nie ma haczyka. Chcemy pomóc rodzinie Pena wydostać się ze schroniska i zrobimy to niezależnie od tego, co przytrafi się ich kuzynowi. Musimy go jednak przekonać, żeby się ujawnił i chciał

zeznawać. Powiedział prawdę, stawiał się w sądzie i opowiedział ławie przysięgłych o tym, co widział.

– A jak go do tego przekonamy?

– Ta część planu wciąż się jeszcze kształtuje.

Okazało się, że piłka Theo wylądowała obok dróżki dla wózków, spory kawałek od alei. Wybił ją metalowym kijem, piątką, i trafił pięćdziesiąt metrów od pola zieleni.

– Theo, niezły strzał.

– Czasem mam szczęście.

Numer 6 znajdował się na zakręcie szerokiej alei, przy której zachodnim krańcu stały piękne domy. Z miejsca startowego widzieli tył domu Duffych, sto pięćdziesiąt metrów dalej, wzdłuż dróżki dla wózków. Obok jakiś ogrodnik pracowicie przycinał trawę.

Przy moim dzisiejszym strzelaniu, pomyślał Theo, ten człowiek nie może czuć się bezpiecznie.

Kiedy obaj Boone'owie już skończyli, ogrodnik był cały i zdrowy. Podreptali dalej ścieżką.

– Mówiłeś mi, że masz mapy lotnicze tego miejsca.

– Tak. W kancelarii.

– Myślisz, że dałbyś radę znaleźć to miejsce, gdzie schował się nasz świadek?

– Może. To gdzieś tam. – Theo wskazał grupę gęsto rosnących drzew, po drugiej stronie alei. Podjechali na skraj tego zagajnika, wysiedli i zaczęli dreptać dookoła jak golfiści, którym nie udało się strzał i szukają piłek. Lasek przecinało koryto wyschniętego strumienia, na jednym z brzegów ciągnął się krótki płot oporowy z obrobionych bali. Doskonałe miejsce, żeby się ukryć i spokojnie zjeść lunch, całkiem samotnie.

– To może być tutaj – stwierdził Theo, wskazując ręką. – Powiedział, że siedział na balach i miał świetny widok na dom.

Theo i pan Boone usiedli na balach. Nic nie zasłaniało im widoku na tył domu Duffy eh.

– Jak myślisz, jak stąd jest daleko? – zapytał Theo.

– Ze sto metrów – odparł pan Boone bez chwili wahania. Podobnie jak większość golfistów szybko określał dystans. – To świetna kryjówka. Nikt cię nie zauważy. Nikt nawet nie pomyśli, żeby zajrzeć między te drzewa.

– Jak się przyjrzyysz zdjęciom lotniczym, to zobaczysz budynek gospodarczy, tam zaraz za drzewami. – Theo wskazał w drugą stronę, po przeciwnej stronie alei. – Zgodnie z tym, co mówił kuzyn, robotnicy o jedenastej trzydzieści spotykają się w tym budynku na lunch. On się wtedy zwykle wymyka, bo chce zjeść sam. Myślę, że przychodzi właśnie tutaj.

– Wziąłem aparat. Zrobimy kilka zdjęć. – Pan Boone wyciągnął mały aparat cyfrowy z golfowej torby pozostawionej na wózku. Sfotografował zagajnik obok koryta strumienia, mur oporowy, potem odwrócił się i zrobił kilka zdjęć alei oraz domów po jej drugiej stronie.

– Po co te zdjęcia? – zapytał Theo, kiedy wrócili do wózka.

– Mogą nam się przydać.

Fotografowali przez kilka minut, potem wyszli z lasku. Gdy byli już niemal przy wózku golfowym, Theo spojrzał na drugą stronę alei. Pete Duffy stał na swoim patio i przyglądał im się przez lornetkę. W pobliżu nie było żadnych innych golfistów.

– Tato – spokojnie powiedział Theo.

– Widzę go – odparł pan Boone. – Strzelaj.

Starali się nie zwracać jego uwagi i wykonywali drugie uderzenia, ale żadna piłka nie wylądowała nawet w pobliżu greena. Szybko wskoczyli do wózka i odjechali. Pete Duffy nawet na chwilę nie odłożył lornetki.

W ciągu dwóch godzin przeszli wszystkie dziewięć dołków, następnie postanowili przejechać się wózkiem, żeby obejrzeć pola Północne i Południowe. Waverly Creek robiło ogromne wrażenie. Przy niektórych alejach zgrabnie przycupnęły piękne domy, a niewielkie jezioro było opasane rzędem drogich apartamentowców. Nie zabrakło też wielkiego placu zabaw dla dzieci, ścieżek rowerowych i dla biegaczy krzyżujących się z drózkami dla golfowych wózków – a przede wszystkim pięknych zielonych pól golfowych.

Kiedy znaleźli się przy numerze 14, akurat zaczynało tam grę czterech golfistów. Golfowa etykieta wymaga zachowania ciszy przy podstawkach na piłeczki, dlatego pan Boone zatrzymał wózek, jeszcze zanim zdołaliby go zobaczyć. Kiedy gracze już odeszli, podjechał do miejsca startowego. Na skraju ścieżek, przy rzędzie boksów, stały zraszacz, kubeł na śmieci i przyrząd do czyszczenia piłek.

– Z tego, co mówił Julio – odezwał się Theo – wynika, że jego kuzyn widział tego mężczyznę, jak wrzucał rękawiczki do kosza przy numerze 14. To musi być gdzieś tutaj.

– To ten kuzyn ci nie powiedział? – zdziwił się pan Boone.

– Nie. Rozmawiałem z nim tylko raz, w środę wieczorem w schronisku. A następnego wieczoru Julio zjawił się pod naszą kancelarią z tymi rękawiczkami.

– Czyli nie masz pojęcia, gdzie dokładnie był kuzyn ani dlaczego ten mężczyzna wrzucał rękawiczki tutaj, przy czternastce?

– No, nie.

– I nie wiesz dokładnie, dlaczego kuzyn postanowił zatrzymać te rękawiczki?

– Julio mówił, że chłopcy, którzy tu pracują, zawsze przetrząsają śmieci.

Szybko zrobili jeszcze kilka zdjęć, potem odeszli spokojnie, bo zbliżała się kolejna czwórka graczy.

ROZDZIAŁ 19

Po grze Theo i ojciec zatrzymali się pod schroniskiem Highland Street. Chcieli się dowiedzieć, co słychać u Julia i jego rodzeństwa. Matka, Carola Pena, zmywała naczynia w kuchni śródmiejskiego hotelu, pracowała w każdą sobotę, dlatego trójka dzieci zostawała wtedy sama w schronisku. W takie soboty można było pograć w różne gry albo wziąć udział w rozmaitych zajęciach, jednak Theo wiedział, że raczej nie jest wtedy fajnie. Dzieci oglądały telewizję, grały w nogę na małym boisku, a przy odrobinie szczęścia, gdy opiekun miał nieco pieniędzy, kościelnym busem jechały do kina.

Grając w golfa, Theo i ojciec wpadli na pewien pomysł. Stratten College było małą prywatną szkołą założoną przed stu laty. Jej drużyny futbolowa i koszykarska nie mogły się równać z takimi z porządnego liceum, ale już drużyna bejsbolowa była w czołówce trzeciej dywizji. A dziś o drugiej po południu grała podwójny mecz.

Pan Boone porozmawiał z opiekunem ze schroniska. Jak się można było spodziewać, Julio, który miał dziś opiekować się bliźniakami Hectorem i Ritą, chętnie skorzystał z okazji, żeby się gdzieś wyrwać. Cała trójka dosłownie pobiegła do SUV-a i wskoczyła na tylne siedzenie. Po kilku chwilach pan Boone zatrzymał auto obok hotelu i, łamiąc przepisy, zaparkował przy krawężniku.

- Wejść na chwilę powiedzieć pani Pena o naszych planach – wyjaśnił.
- Wrócił błyskawicznie cały roześmiany.
- Wasza matka uważa, że to świetny pomysł – oznajmił.

– Dziękuję, panie Boone – powiedział Julio. Bliźniaki były zbyt podekscytowane, żeby cokolwiek powiedzieć.

Drużyna Stratten College grała na Rotary Park, pięknym, niewielkim stadionie na skraju śródmieścia, obok małego kampusu. Rotary Park był prawie tak stary jak college i gościł już kilka drużyn z trzeciej ligi. Żaden z zespołów długo tam nie zabawił. Szczycono się, że Ducky Medwick, wielka gwiazda bejsbolu, przez jeden sezon, w 1920 roku, grał tam w drużynie Double A, zanim przeniósł się do Cardinals. Przy głównym wejściu zawieszono pamiątkową tabliczkę, przypominającą fanom o krótkim pobycie Ducky'ego w Strattenburgu, ale Theo jeszcze nigdy nie widział, żeby ktokolwiek ją czytał.

Pan Boone kupił bilety w budce z jednym okienkiem. Stary kasjer pracował tam chyba od czasów Ducky'ego. Dorośli płacili trzy dolary, dzieci jeden dolar.

– Chcecie popcorn? – zapytał pan Boone, spoglądając na Hectora i Ritę. Pięć toreb prażonej kukurydzy, pięć napojów, razem dwadzieścia dolarów.

Przeszli rampą, wkroczyli na otwartą trybunę, zaraz obok ławy dla graczy przy pierwszej bazie. Było tam wiele wolnych miejsc i niewielu widzów, dlatego porządkowi nie pilnowali, kto gdzie siada. Trybuny mogły pomieścić dwa tysiące widzów i starzy bywalcy lubili wspominać, jakie przychodziły tu tłumy. Theo w każdym sezonie oglądał pięć, sześć meczów drużyny Stratten College, ale jeszcze nigdy nie widział, żeby stadion był wypełniony chociaż w połowie. Jednak uwielbiał to miejsce, ze staroświecką trybuną główną, zwisającym zadaszeniem, otwartą trybuną obok boiska, miejscem rozgrzewki rezerwowych graczy przy linii spalonego i barierkami boiska pokrytymi krzykliwymi reklamami wszystkiego, co tylko Strattenburg miał do zaoferowania: od środków na szkodniki po miejscowe

piwo i prawników zajmujących się ofiarami wypadków. To był stadion z prawdziwego zdarzenia.

Niektórzy chcieli go rozebrać. Latem, gdy kończył się sezon rozgrywek między college'ami, właściwie nikt już tam nie przychodził, narzekano więc, że niepotrzebnie płaci się za utrzymanie obiektu. To dawało Theo do myślenia, bo gdy się tak rozejrzał dookoła, to trudno mu było zrozumieć, na co idą te pieniądze.

Wstali, kiedy zagrano hymn, a potem na boisko weszła drużyna Stratten College. Czwórka dzieciaków usiadła blisko siebie, a pan Boone rząd za nimi, uważnie się przysłuchując.

– Dobra – oznajmił Theo, występując teraz w roli szefa. – Mówimy tylko po angielsku, OK? Popracujemy nad waszym angielskim.

Dzieciaki między sobą cały czas rozmawiały po hiszpańsku, jednak teraz usłuchały Theo i przeszły na angielski. Hector i Rita mieli po osiem lat, niewiele wiedzieli o bejsbolu. Theo zaczął im wszystko wyjaśniać.

Pani Boone i Ike zjawili się w trakcie trzeciej rundy i usiedli z panem Boone'em, który odsunął się trochę dalej od dzieci. Theo starał się podsłuchać, o czym szepczą. Ike znalazł jakieś mieszkanie z czynszem pięćset dolarów miesięcznie. Pani Boone jeszcze nie przedyskutowała tej sprawy z Carolą Peną, która teraz była w pracy. Rozmawiali też o innych sprawach, ale Theo nie dał rady wszystkiego wyłapać.

Bejsbol może nudzić ośmiolatków, zwłaszcza takich, którzy się na nim nie znają. W piątej rundzie Hector i Rita obrzucali się popcornem i chodzili na czworakach między siedzeniami. Pani Boone zapytała ich, czy chcą iść na lody, i z radością się zgodzili. Kiedy już zabrała dzieciaki, przyszła pora na ruch Theo. Zapytał Julia, czy może nie chciałby obejrzeć meczu z trybun przy polu centralnym. Zgodził się i poszli wzdłuż odsłoniętych trybun,

minęli miejsce na rozgrzewkę, a potem zasiedli na starych ławach, zaraz za ogrodzeniem z prawej części boiska. Byli teraz sami.

– Lubię widok stąd – powiedział Theo. – No i zawsze jest pusto.

– Mnie się też podoba – odparł Julio.

Przez chwilę rozmawiali o boisku, a potem Theo zmienił temat:

– Słuchaj, Julio, musimy pogadać o twoim kuzynie. Nie mogę sobie przypomnieć, jak miał na imię. Tak naprawdę nie jestem pewien, czy w ogóle mi mówił.

– Bobby.

– Bobby?

– Tak naprawdę Roberto, ale lubi, jak się do niego mówi Bobby.

– Dobra. Czy ma na nazwisko Pena?

– Nie. Jego matka i moja matka to siostry. On się nazywa Escobar.

– Bobby Escobar.

– Si. Tak.

– Czy cały czas pracuje na polu golfowym?

– Tak.

– I cały czas mieszka w Quarry?

– Tak. Po co pytasz?

– Julio, on się teraz zrobił bardzo ważną osobą. Musi się ujawnić i opowiedzieć policji o wszystkim, co widział tego dnia, kiedy zamordowano tamtą kobietę.

Julio odwrócił się i spojrzał na Theo tak, jakby ten całkiem oszalał.

– Tego nie może zrobić.

– Chyba właśnie może. Co jeśli obieca mu się ochronę? Nikt go nie zatrzyma. Nikt go nie zaaresztuje. Znasz takie słowo jak „immunitet”?

– Nie.

– W języku prawniczym oznacza to, że on może pójść na układ z policją. Jeśli się ujawni i złoży zeznania, policja nie będzie go gnębić. Będzie miał immunitet. Mogą nawet znaleźć sposób, żeby dostał legalne papiery.

– Rozmawiałeś z policją?

– No co ty, Julio, nigdy w życiu.

– Powiedziałeś komuś?

– Nie zdradziłem jego tożsamości. Julio, on naprawdę jest bezpieczny. Ale muszę z nim porozmawiać.

Gracz z drugiej drużyny wybił piłkę tak, że odbiła się od ogrodzenia. Patrzyli, jak zawodnik prześlizguje się do trzeciej bazy, by uzyskać trójkę. Theo musiał wyjaśnić różnicę między piłką przelatującą nad ogrodzeniem a odbijającą się od niego. Julio mówił, że w Salwadorze raczej się nie gra w bejsbol. Głównie w piłkę nożną.

– Kiedy będziesz znowu widział się z Bobbym? –zapytał Theo.

– Może jutro. Zwykle w niedzielę przychodzi do schroniska i idziemy do kościoła.

– Czy jest jakiś sposób, żebym mógł z nim dzisiaj porozmawiać?

– Nie wiem. Nie wiem, co teraz robi.

– Julio, czas tutaj jest kluczowy.

– Co to znaczy „kluczowy”?

– Bardzo ważny. Proces zakończy się w poniedziałek. To dla Bobby'ego bardzo ważne, żeby się ujawnił i opowiedział o tym, co widział.

– Nie wydaje mi się.

– Julio, moi rodzice to prawnicy. Znasz ich. Można im zaufać. A co, jeśli mogą znaleźć mieszkanie dla ciebie i twojej rodziny, także dla Bobby'ego, jakieś miłe miejsce akurat dla was i jeśli moi rodzice zaopiekują się też Bobbym i załatwią mu legalizację pobytu? Pomyśl o tym. Już nie będzie się musiał chować przed policją. Już nie będzie musiał się przejmować

najazdami ludzi z urzędu imigracyjnego. Będziecie mogli sobie razem żyć, a Bobby będzie miał dokumenty. Czy tak nie byłoby lepiej?

Julio wpatrywał się w przestrzeń, jakby miała go pochłoniąć.

– Theo, to byłoby ekstra.

– No to musimy tak zrobić. Po pierwsze, powiedz, że się zgadzasz, żeby włączyli się w to moi rodzice. Będą po waszej stronie. Są prawnikami.

– W porządku.

– Świetnie. Potem zobaczysz się z Bobbym i przekonasz go, że to dobry układ. Przekonasz go, że można nam zaufać. Możesz to zrobić?

– Nie wiem.

– Czy opowiedział twojej matce o tym, co widział?

– Tak. Ona jest dla Bobby'ego jak jego matka.

– Dobrze. Niech twoja matka też z nim porozmawia. Niech go przekona.

– Obiecujesz, że on nie pójdzie do więzienia?

– Obiecuję.

– Ale będzie musiał porozmawiać z policją?

– Może nie z policją, ale musi porozmawiać z kimś związanym z procesem. Może z sędzią. Nie wiem. Ale to jest kluczowe, żeby Bobby się ujawnił. Jest najważniejszym świadkiem w sprawie o morderstwo.

Julio oparł głowę na dłoniach, łokcie na kolanach. Zgarbił się pod ciężarem słów i planów Theo. Przez dłuższą chwilę milczał. Theo z oddali przyglądał się Hectorowi i Ricie, którzy siedzieli z jego matką i paplali przy lodach. Woods z Ikiem pogrążyli się w rozmowie, co rzadko im się zdarzało. Mecz się przeciągał.

– I co teraz mam robić? – zapytał Julio.

– Pogadaj z matką. A potem oboje porozmawiajcie z Bobbym. Jutro musimy się spotkać wszyscy razem.

– Dobrze.

ROZDZIAŁ 20

Theo siedział właśnie w saloniku i oglądał film w kablówce, kiedy w kieszeni zaczął mu wibrować telefon. Była sobota, ósma trzydzieści pięć wieczorem. Ktoś dzwonił do niego ze schroniska. Odebrał.

– Halo?

Głosu Julia nie dało się pomylić z żadnym innym.

– Theo?

– Co jest, Julio, o co chodzi? – Theo ściszył telewizor. Ojciec siedział w gabinecie i czytał jakąś powieść, matka leżała w łóżku na górze, sączyła zieloną herbatę i przedzierała się przez stertę dokumentów.

– Rozmawiałem z Bobbym – oznajmił Julio. – Chłopak jest wystraszony. Dzisiaj policja przetrząsała Quarry, sprawdzała dokumenty, sprawdzała, czy wszystko w porządku. Zabrali dwóch chłopaków z Gwatemali, obu nielegalnych. Bobby myśli, że to jego szukają.

Theo, nie przestając rozmawiać, przeszedł do gabinetu.

– Słuchaj Julio, jeśli policja szuka Bobby'ego, to nie ma to nic wspólnego z procesem w sprawie morderstwa. Mogę ci to obiecać.

Stanął obok ojca, który zamknął książkę i słuchał uważnie.

– Poszli do jego domu, ale się schował na ulicy.

– Julio, rozmawiałeś z nim? Powiedziałeś mu o tym, o czym rozmawialiśmy dzisiaj na meczu?

– Tak.

– I co powiedział?

– Theo, on się teraz za bardzo wystraszył. Nie rozumie, jak to wszystko działa. Jak widzi policjanta, to widzi problemy, rozumiesz? Myśli, że pójdzie do więzienia, że straci pracę i pieniądze, że go odeślą do domu.

– Julio, posłuchaj mnie – powiedział Theo, marszcząc brwi i zerkając na ojca. – On wcale nie musi rozmawiać z policjantami. Wystarczy, że po prostu uwierzy mnie i moim rodzicom, a wtedy będzie bezpieczny. Wyjaśniłeś mu to?

– Tak.

– Czy on to zrozumiał?

– Theo, nie wiem. Ale on chce z tobą porozmawiać.

– Świetnie. Porozmawiam z nim. – Theo skinął głową w stronę ojca, a ojciec mu odpowiedział skinieniem głowy. – Gdzie i kiedy?

– Dzisiaj jest ciągle w ruchu, nie siedzi u siebie. Boi się, że policja wróci w środku nocy i go zaaresztuje. Ale mogę jakoś go złapać.

Theo o mało nie zapytał: a jak?, jednak dał spokój.

– Myślę, że powinniśmy dzisiaj porozmawiać – stwierdził.

Ojciec ponownie skinął głową.

– Dobrze. Co mam mu powiedzieć?

– Powiedz mu, żeby się gdzieś ze mną spotkał.

– Gdzie?

Theo nie zdołał szybko wymyślić miejsca. Jednak wspomógł go ojciec:

– Truman Park, przy karuzeli – szepnął.

– A może w Truman Park? – zaproponował Theo.

– Gdzie to jest?

– To taki duży park na końcu Main Street, tam gdzie są różne fontanny, pomniki i tak dalej. Każdy znajdzie Truman Park.

– Dobra.

– Powiedz mu, żeby był o dziewiątej trzydzieści, tak mniej więcej za godzinę. Spotkamy się przy karuzeli.

– Jakiej karuzeli?

– Takiej z kucykami i głośną muzyką. Dla matek z małymi dziećmi.

– Widziałem ją.

– Dobra. Dziewiąta trzydzieści.

Późnym sobotnim wieczorem karuzela wciąż jeszcze się z wolna obracała. Z nieźle już zdartych głośników ryczała piosenka *It's a Small World*, a kilka maluchów z matkami kurczowo trzymało się prętów wetkniętych w czerwone i żółte kuczki. Obok w budce sprzedawano watę cukrową i lemoniadę. Nieopodal kręciła się grupka wyrostków, wszyscy palili i starali się wyglądać na twardzieli.

Woods Boone rozejrzał się i uznał, że jest bezpiecznie.

– Poczekam tam – oznajmił, wskazując strzelisty, odlany z brązu pomnik jakiegoś zapomnianego wojennego bohatera. – Nie będziesz mnie widział.

– Dobrze – odparł Theo. Nie martwił się o bezpieczeństwo. Park był dobrze oświetlony i pełen ludzi.

Dziesięć minut później z cienia wynurzyli się Julio i Bobby Escobar. Zobaczyli Theo, zanim on zobaczył ich. Bobby był bardzo zdenerwowany, nie chciał ryzykować, że zauważy go jakiś policjant, dlatego przeszli na drugą stronę parku, gdzie znaleźli miejsce na stopniach altanki. Theo nigdzie nie widział ojca, ale był pewien, że ich obserwuje.

Zapytał Bobby'ego, czy dzisiaj pracował, później powiedział, że razem z ojcem dzisiaj grał na polu Creek. Nie, Bobby dzisiaj nie pracował, cały dzień chował się przed policją. To jednak przełamało lody. Theo wyjaśnił po angielsku, że Bobby ma teraz szansę na dokonanie wielkiej zmiany w swoim życiu. Zamiast być nielegalnym imigrantem, może stać się

wspieranym przez państwo obcokrajowcem, przechodzącym właśnie proces uzyskiwania legalnych dokumentów.

Julio przetłumaczył wszystko na hiszpański. Theo niewiele zrozumiał.

Potem wyjaśnił Booby'emu, że jego rodzice proponują mu interes życia. Przeprowadzkę do lepszego mieszkania razem z rodziną, szansę na lepszą pracę i szybką legalizację pobytu. Już nigdy więcej nie będzie musiał chować się przed policją. Już nigdy więcej nie będzie się bał odesłania do domu.

Julio przetłumaczył, Bobby słuchał z kamienną twarzą. W ogóle nie zmieniała wyrazu.

Theo nadal nie uzyskał niczego konkretnego, więc dalej naciskał. To ważne, żeby cały czas mówić. Bobby wyglądał, jakby chciał uciec.

– Wyjaśnij mu, że jest bardzo ważnym świadkiem w sprawie o morderstwo. – Theo odezwał się do Julia. – I że nie ma nic złego w pójściu do sądu i opowiedzeniu wszystkiego, co widział tamtego dnia.

Julio przetłumaczył. Bobby pokiwał głową. Już to kiedyś słyszał. Powiedział coś, co Julio przetłumaczył:

– On się nie chce mieszać. Proces to nie jego problem.

Policyjny samochód zatrzymał się na skraju parku, nie przy altance, ale na tyle blisko, że go było widać. Bobby przyglądał się radiowozowi z przestraczem, jakby myślał, że w końcu został złapany. Pospiesznie wymamrotał coś do Julia, ten szybko mu odpowiedział.

– Policja nie przyjechała po Bobby'ego – wyjaśnił Theo. – Powiedz mu, żeby się uspokoił.

Z samochodu wygramoliło się dwóch policjantów i ruszyło w stronę centrum parku, tam gdzie stała karuzela.

– Patrz – polecił Theo. – Ten gruby to Ramsey Ross. On tylko wypisuje mandaty za złe parkowanie. Tego drugiego nie znam. Nie powinni na nas

zwrócić uwagi.

Julio szybko przetłumaczył wszystko na hiszpański i Bobby znowu zaczął oddychać.

– Gdzie on się zatrzyma na noc? – spytał Theo.

– Nie wiem jeszcze. Pytał, czy mógłby przenocować w schronisku, ale tam nie ma miejsca.

– Może się zatrzymać u nas. Mamy wolną sypialnię. Ty też możesz przyjść. Powiedzmy, że zrobimy sobie takie pidzama party. Tata przyniesie nam pizzę. Chodźmy.

O północy trzech chłopców siedziało w saloniku, wywrzaskując przed telewizorem tak, jakby grali na komputerze. Wokół rozłożyli sobie poduszki i kołdry. Dwa duże pudełka pizzy były puste. Sędzia wyjadał okruchy.

Od czasu do czasu do pokoju zaglądali Marcella i Woods Boone'owie. Bawiło ich, gdy słuchali, jak Theo próbuje mówić po hiszpańsku. Ciągłe zostawał nieco z tyłu za Juliem i Bobbym, ale bardzo starał się ich dogonić.

Planowali mieć więcej dzieci, jednak biologia nie chciała współpracować. No, ale czasem musieli przyznać, że jeden Theo starczał im aż nadto.

ROZDZIAŁ 21

Sędzia Gantry czekał ze swoim długim spacerem aż do wczesnego niedzielnego wieczoru. Mieszkał kilka przecznic od gmachu sądu, w starym domu odziedziczonym po dziadku, także szanowanym sędzim. Wczesnym rankiem i późnym wieczorem często spacerował po centrum Strattenburga. Dzisiejszego wieczoru również potrzebował świeżego powietrza i chwili, by spokojnie pomyśleć. Proces Duffy'ego pochłonął mu cały weekend. Długie godziny spędził zagrzebany w książkach, szukając odpowiedzi, która wciąż mu się wymykała. Toczył zażarty spór sam ze sobą. Dlaczego ma psuć prawidłowo rozpatrywaną sprawę? Dlaczego ma ogłaszać unieważnienie procesu, skoro nic nie szło źle? Nie naruszono żadnego przepisu. Nie złamano zasad etyki. Nic a nic. W sali sądowej walczyli dwaj znakomici prawnicy, a proces toczył się niezwykle gładko.

Nigdzie nie natknął się na podobną sprawę.

W kancelarii Boone & Boone paliło się światło. O siódmej trzydzieści wieczorem zgodnie z obietnicą sędzia Gantry wszedł na ganek i zapukał do drzwi.

Otworzyła mu Marcella Boone.

– O, dobry wieczór Henry. Wejdz.

– Dobry wieczór, Marcello. Nie byłem w tej kancelarii ze dwadzieścia lat.

– No to powinienes tutaj częściej wpadać.

Zamknęła drzwi.

Nie tylko sędzia Gantry wybrał się tego wieczoru na przechadzkę. Po ulicy spacerował też pewien człowiek imieniem Paco. Miał na sobie czarny dres do biegania, sportowe buty, a przy sobie krótkofalówkę. Trzymał się w pewnej odległości od Gantry'ego, a jako że sędziemu nawet nie przyszło do głowy, że ktokolwiek mógłby go śledzić, podążał za nim bez większego trudu. Przemierzyli tak centrum Strattenburga, jeden zatopiony w myślach, nieświadomy niczego wokół siebie, a drugi, ulicę dalej, ostrożnie czający się wśród coraz dłuższych cieni i gasnącego światła dnia. Kiedy Henry Gantry, już po zmroku, wszedł do kancelarii Boone & Boone, Paco przebiegł obok biura, zapamiętał nazwę oraz numer ulicy i pomknął dalej. Skręcił za róg, gdzie kliknął przycisk na krótkofalówce.

– Jest w środku, u Boone'ów – zameldował.

– Dobra. Jestem niedaleko – odpowiedział mu Omar Cheepe.

Po kilku chwilach Cheepe zabrał Paca z chodnika i skręcili w Park Street. Kiedy zobaczyli budynek kancelarii Boone & Boone, szybko zjechali na parking obok ulicy. Omar wyłączył światła i silnik, otworzył szybę, żeby zapalić.

– Widziałeś, jak wchodził? – zapytał.

– Nie – odpowiedział Paco. – Widziałem, jak skręcał z chodnika i szedł do drzwi wejściowych. Wiem, że tam jest. Tylko tam jest jeszcze otwarte.

– Bardzo dziwne.

Trwał właśnie niedzielny wieczór, więc w innych budynkach biurowych było pusto i ciemno. Jedyne w firmie Boone'ów coś się działo. Na dole paliły się chyba wszystkie światła.

– Jak myślisz, co tam robią? – zapytał Paco.

– Nie wiem dokładnie. W piątek Boone'owie byli w biurze Gantry'ego całą rodziną. To bez sensu, bo Gantry był bardzo zajęty. Boone'owie nie zajmują się prawem karnym. On sporządza akty notarialne, ona zajmuje się

rozwodami, dlatego nie mieli żadnego powodu, żeby przychodzić do Gantry'ego w środku procesu o morderstwo. I jeszcze ten dzieciak! Tego to już całkiem nie rozumiem. Dlaczego rodzice mieliby zabierać dzieciaka ze szkoły i ciągnąć do Gantry'ego? Ten mały szwendał się po sądzie przez cały tydzień, niuchał przy procesie.

– To jest Theo?

– No. Dzieciakowi się uroiło, że jest prawnikiem. Zna każdego gliniarza, każdego sędziego, każdego urzędnika w sądzie. Łazi po salach sądowych, przypuszczalnie zna się na prawie lepiej niż niejeden prawnik. On i Gantry bardzo się lubią. Idzie do Gantry'ego razem z rodzicami i nagle Gantry postanawia nie kontynuować procesu w sobotę, choć przez cały tydzień zapowiadał co innego. Paco, tutaj coś jest na rzeczy. I to nic dobrego dla nas.

– Czy rozmawiałeś z Nance'em albo z panem Duffym?

– Nie, jeszcze nie. Słuchaj, co zrobimy. Bardzo bym chciał cię tam wysłać, żebyś się rozejrzał w okolicy budynku, zerknął do środka, zobaczył, kto tam jest. Ale to za duże ryzyko. Zobaczą cię, wystraszą się, przerwą, cokolwiek tam teraz robią, a może nawet zadzwonią po gliny. To przecież jest sędzia Gantry, sam zresztą wiesz. Sprawy mogłyby się wtedy pokomplikować. Mam lepszy plan. Zadzwonię po Gusa i ściągnę furgonetkę. Możemy zaparkować gdzieś blisko na ulicy, a jak będą wychodzić, porobić zdjęcia. Chcę wiedzieć, kto tam jest.

– A jak myślisz kto?

– Paco, ja nie wiem, ale założę się o sto dolców, że Boone'owie i Gantry nie spotkali się tam na brydża. Coś się tam kroi, i to mi się nie podoba.

Sędzia Gantry wszedł do biblioteki, gdzie już czekali na niego pan i pani Boone, Ike i Theo. Długi stół pośrodku pokoju był zavalony książkami, mapami, notatnikami, wszystko sprawiało wrażenie, że właśnie trwa

intensywna praca. Podali sobie dłonie, powiedzieli „cześć”. Porozmawiali chwilę o pogodzie, ale mieli zbyt ważne sprawy, by długo gawędzić.

– Nie muszę chyba mówić – oznajmił sędzia Gantry, kiedy już wszyscy usiedli – że to małe spotkanie jest nieformalne. Pamiętajcie, nie robimy niczego złego, bo oficjalnie nie jesteście zaangażowani w tę sprawę. Ale jeśli wymyślnie się wam chociaż słówko, mogę usłyszeć mnóstwo pytań. Zrozumiano?

– Oczywiście, Henry – powiedziała pani Boone.

– Nie ma sprawy – powiedział Ike.

– Ani słówka – powiedział pan Boone.

– Tak, proszę pana – powiedział Theo.

– Dobrze. Mówiliście, że macie mi coś do pokazania.

Troje dorosłych spojrzało na Theo, który od razu się zerwał. Na blacie przed sobą miał laptopa. Nacisnął klawisz i na cyfrowym szerokim ekranie, na drugim końcu pomieszczenia, ukazało się duże zdjęcie. Wziął laserowy wskaźnik, skierował tam czerwone światełko.

– To widok z lotu ptaka na szóstą aleję golfową pola Creek. Tam jest dom Duffych. A tam są drzewa na zakręcie i właśnie tam siedział świadek i jadł lunch.

Wcisnął znowu klawisz i pojawiła się kolejna fotografia.

– To zdjęcie zrobiliśmy na polu golfowym wczoraj rano. Świadek siedział na tych obrobionych palach obok koryta wyschniętego strumienia, całkowicie schowany, jednak – kolejne przyciśnięcie, kolejne zdjęcie – jak widać, miał doskonały widok na dom po drugiej stronie alei, około stu metrów dalej.

– I jesteś całkowicie pewien, że dokładnie tam był?

– Tak, proszę pana.

– Potrafisz odtworzyć, kiedy to było?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Theo, na razie, możesz sobie darować ten „Wysoki Sąd”.

– Dobrze.

Kolejne zdjęcie z lotu ptaka. Theo wskazał jeden z budynków.

– To jest budynek gospodarczy. Jak pan widzi, kiedy idzie się przez lasek, to blisko stamtąd do szóstej alei. Przerwa na lunch zaczyna się o jedenastej trzydzieści. Dokładnie o jedenastej trzydzieści, bo nadzorca ściśle trzyma się harmonogramu i oczekuje od pracowników, że zameldują się o jedenastej trzydzieści, szybko zjedzą i w południe znowu będą pracować. Nasz świadek lubi się wymknąć, zjeść samotnie, pomodlić się i popatrzeć na zdjęcia rodziny, którą zostawił w domu. Bardzo za nimi tęskni. Jak sam pan widzi, trzeba przejść przez lasek, aby dotrzeć do miejsca, gdzie zwykle je lunch. Oceniał, że był właśnie tak w połowie przerwy na lunch, kiedy zobaczył tamtego człowieka wchodzącego do domu Duffych.

– Około jedenastej czterdzieści pięć? – zapytał sędzia Gantry.

– Tak, proszę pana. A jak pan wie, patolog określił czas zgonu na mniej więcej jedenastą czterdzieści pięć.

– Wiem. A czy ten człowiek, który wszedł do domu, wyszedł z niego, zanim świadek skończył przerwę na lunch?

– Tak, proszę pana. Świadek mówi, że zwykle wraca do budynku gospodarczego na kilka minut przed południem. Tamtego dnia, zanim jeszcze skończył lunch, zobaczył, jak ten człowiek wychodzi z domu Duffych. Oszacował, że mężczyzna przebywał w domu krócej niż dziesięć minut.

– Mam jedno zasadnicze pytanie – odezwał się sędzia. – Czy świadek widział, jak ten mężczyzna wychodził z domu z jakimś workiem, torbą albo czymkolwiek, do czego mógł schować skradzione przedmioty? Ustalono, że zabranych zostało kilka przedmiotów: dwa pistolety, nieco biżuterii i co

najmniej trzy cenne zegarki. Czy świadek widział, jak wynoszono te przedmioty?

– Myślę, że nie, panie sędzio – bardzo poważnym tonem odparł Theo. – Zastanawiałem się nad tym całe godziny. Jedyne, co wymyśliłem, to to, że upchnął pistolety za pasem, zakrył je swetrem, a resztę rzeczy schował do kieszeni.

– Jakie to były pistolety? – zapytał pan Boone.

– Jeden kaliber 9 milimetrów, a drugi to krótkolufowa trzydziestkaósemka – powiedział sędzia Gantry. – Dałoby się je łatwo schować pod swetrem.

– A zegarki i biżuteria?

– Trochę pierścionków i naszyjników, trzy zegarki na skórzanych paskach. Wszystko zmieściłoby się w kieszeniach spodni.

– Tych rzeczy nie znaleziono? – dopytywała się pani Boone.

– Nie.

– Pewnie są teraz na dnie jednego z tych stawów na polu golfowym – stwierdził Ike ze złośliwym uśmiechem.

– Pewnie masz rację – stwierdził sędzia Gantry ku zaskoczeniu wszystkich. Ten człowiek o kamiennej twarzy, który nigdy nie opowiadał się po żadnej ze stron, właśnie teraz na chwilę się zapomniał. Uważał, że pan Pete Duffy mimo wszystko jest winny.

– A co z rękawiczkami? – zapytał.

Theo podniósł małe brązowe pudełko, postawił na stole, a potem wyciągnął szczelnie zamykaną plastikową torebkę z parą golfowych rękawiczek. Położył je przed sędzią Gantrym i przez chwilę wszyscy wpatrywali się w dowód rzeczowy tak, jakby był zakrwawionym nożem rzeźnickim. Theo wcisnął przycisk i na ekranie pojawiło się następne zdjęcie.

– To początek toru numer 14 na Dziewiątce Południowej. Nasz świadek właśnie naprawiał końcówkę zraszacza na niewielkim wzniesieniu nad początkiem toru, kiedy zobaczył tego mężczyznę, tego samego mężczyznę, jak wyjmując dwie rękawiczki z torby golfowej i wrzuca do kosza na śmieci.

– Mam pytanie – odezwał się sędzia Gantry. – Czy wtedy, kiedy wyrzucał te rękawiczki, miał na sobie jakieś inne rękawiczki? – Dla Boone'ów było jasne, że sędzia rozkłada na czynniki pierwsze każdy element tej historii.

– Nigdy o to nie pytałem – przyznał Theo.

– Raczej tak – odezwał się Woods. – Nie ma nic dziwnego w tym, że golfista trzyma w torbie zapasowe rękawiczki.

– Dlaczego to miałyby mieć jakieś znaczenie? – zapytała pani Boone.

– Nie wiem, czy to ma znaczenie. Marcello, ja po prostu jestem bardzo dociekliwy.

Nastało długie milczenie, tak jakby cała trójka myślała o tym samym, lecz nikt nie chciał o tym mówić. Wreszcie Theo powiedział:

– Panie sędzio, zawsze może pan zapytać świadka.

– Jest tutaj?

– Tak, proszę pana.

– Jest w moim gabinecie – oznajmiła pani Boone. – Obecnie reprezentuje go kancelaria Boone'ów.

– Theo też? – zapytał sędzia Gantry i wszyscy pomyśleli, że to nawet zabawne.

– Henry, musisz nas zapewnić, że nie zostanie aresztowany ani o nic oskarżony – oznajmił pan Boone.

– Macie moje słowo – odparł sędzia.

Bobby Escobar zajął miejsce po drugiej stronie stołu, naprzeciwko sędziego. Po jego lewej stronie usiedli Julio, kuzyn i tłumacz, po prawej

ciotka Carola. Trzeba było nieźle się namęczyć, żeby Hector i Rita zgodzili się wrócić do gabinetu pani Boone i oglądać tam telewizję.

Theo rozpoczął przesłuchanie. Najpierw pokazał to samo co poprzednio lotnicze zdjęcie z szóstej alei na polu Creek. Czerwonym laserowym wskaźnikiem przy pomocy Bobby'ego wskazał dokładne miejsce, w którym chłopak jadł lunch. Wyświetlał kolejne zdjęcia i zadawał przemyślane pytania. Dawał też Juliowi sporo czasu na tłumaczenie. Wszystkie fakty przedstawiono jak należy.

Woods, Marcella i Ike przyglądali się temu i rozpierała ich duma, chociaż cała trójka zachowała czujność i gotowa była wytknąć każdy błąd.

Kiedy już przedstawiono fakty, a Bobby zaprezentował się jako wiarygodny świadek, odezwał się sędzia Gantry:

– A teraz porozmawiajmy o identyfikacji.

Bobby nigdy nie spotkał się z Pete'em Duffym, dlatego nie potrafił stwierdzić, czy na pewno właśnie on był mężczyzną, którego widział wchodzącego do domu. Powiedział, że tamten mężczyzna miał na sobie czarny sweter, brązowe spodnie oraz golfową czapkę w kolorze kasztanowym – czyli taki sam strój, jak Pete Duffy w chwili morderstwa. Theo wyświetlił serię zdjęć Pete'a Duffy'ego, zaczerpniętych z gazety. Oglądając każde z nich, Bobby potrafił jedynie stwierdzić, że przedstawiony na nich człowiek bardzo przypomina tego, którego widział na polu golfowym. Theo wcisnął następny klawisz, pokazał trzy krótkie filmiki zmontowane przez siebie w całość, które pokazywały Pete'a Duffy'ego wchodzącego i wychodzącego z sądu. I znowu Bobby był prawie pewien, że to właśnie ten człowiek.

Nadeszła pora na decydujący argument. Oskarżenie zaprezentowało na procesie dwadzieścia dwie fotografie miejsca zbrodni, domu i jego otoczenia. Jedno z tych zdjęć, numer 15, wykonano z miejsca nieopodal

skraju alei. Pokazywało tył domu Duffych, patio, okna, tylne drzwi, aż do miejsca z prawej strony, gdzie obok golfowego wózka stali dwaj umundurowani policjanci. W wózku siedział Pete Duffy, wyglądał na oszołomionego i przerażonego. Zdjęcie najwyraźniej zrobiono kilka chwil po tym, jak przyjechał z Clubhouse Grilla.

Theo zdobył tę fotografię dzięki „wizycie” na stronie sekretariatu sądu. Gdyby sędzia Gantry zapytał teraz, skąd je wziął, miał już gotową odpowiedź: Sędzio, pokazano je publicznie w sądzie, zostały dopuszczone jako dowód. To nie była żadna tajemnica, prawda?

Jednak sędzia Gantry milczał. Widział zdjęcie już ze sto razy i nie robiło na nim wrażenia. Ale nie Bobby. Od razu zaczął pospiesznie opowiadać coś Juliowi.

– To on – stwierdził Julio, wskazując na zdjęcie. – Ten człowiek w wózku. To właśnie on.

– Wysoki Sądzie, świadek zidentyfikował oskarżonego, pana Pete'a Duffy'go.

– Właśnie widzę – powiedział Gantry.

ROZDZIAŁ 22

Widzowie zgromadzili się w sali sądowej w ten poniedziałkowy rano, aby obejrzeć ostatni akt dramatu. Przysięgli mieli poważne miny, zdecydowani, aby dzisiaj zakończyć pracę. Prawnicy włożyli najlepsze garnitury, wyglądali, jakby już nie mogli doczekać się werdyktu. Oskarżony wydawał się wypoczęty i zrelaksowany. Urzędnicy sądowi i strażnicy krzatali się, pełni porannej energii. Ale gdy już skończyli się krzątać, dziesięć minut po dziewiątej rano, wydało się, że cała sala wstrzymuje oddech i czeka. Kiedy wszedł na nią sędzia Gantry w powiewającej czarnej todze, wszyscy wstali.

– Proszę usiąść – polecił, nie uśmiechając się.

Nie miał dobrego humoru. Wydawał się bardzo zmęczony.

Rozejrzał się po sali sądowej, skinął na protokółantkę, popatrzył na przysięgłych, a szczególnie uważnie przyjrzał się trzeciemu rzędowi siedzeń widowni, z prawej strony. Siedział tam Theo Boone, wciśnięty między matkę i ojca, zwolniony z lekcji, przynajmniej teraz. Sędzia Gantry popatrzył na Theo, ich spojrzenia się spotkały. Nachylił się do mikrofonu. Odchrząknął i powiedział coś, czego nikt się nie spodziewał:

– Witam państwa. Na tym etapie procesu pana Pete'a Duffy'ego powinniśmy wysłuchać mów końcowych. Tak się jednak nie stanie. Z przyczyn, których w tym momencie nie wyjawię, ogłaszam unieważnienie procesu.

W całej sali rozległy się westchnienia, widzowie drgnęli, a na ich twarzach pojawiło się zdumienie. Theo spojrzał na Pete'a Duffy'ego, któremu aż opadła szczeka. Odwrócił się teraz do Clifforda Nance'a.

Prawnicy obu stron wyglądali, jakby właśnie dostali cios prosto między oczy. Oszołomieni starali się pojąć to, co właśnie usłyszeli. W pierwszym rzędzie, zaraz za stołem obrony, Omar Cheepe odwrócił się i spojrzął prosto na Theo siedzącego dwa rzędy dalej. Nie świdrował go wzrokiem, nie wyglądał jakoś specjalnie groźnie, ale i tak zdawał się mówić: Ty to zrobiłeś. Wiem o tym. Ale ja jeszcze nie skończyłem.

Przysięgli nie wiedzieli, co się teraz stanie, więc sędzia Gantry im wyjaśnił. Odwrócił się, spojrzął na nich i powiedział:

– Sędziowie przysięgli, unieważnienie procesu oznacza jego zakończenie. Zarzuty wobec pana Pete'a Duffy'ego zostają uchylone, ale tylko w tej chwili. Zostaną postawione ponownie i w najbliższej przyszłości odbędzie się kolejne posiedzenie, jednak już z inną ławą przysięgłych. W każdym procesie karnym sędzia dysponuje całkowitą swobodą ogłoszenia unieważnienia procesu, jeżeli tylko uzna, że stało się coś, co może w znaczący sposób wpłynąć na ostateczny werdykt. Właśnie teraz tak się stało. Dziękuję państwu za wypełnienie państwa powinności. Jesteście państwo bardzo ważni dla naszego wymiaru sprawiedliwości. A teraz już jesteście wolni.

Przysięgli byli zupełnie oszołomieni, do niektórych zaczynało jednak docierać, że zakończyli wypełnianie swojego obywatelskiego obowiązku. Woźny wyprowadził ich bocznymi drzwiami. Kiedy wychodzili, Theo z podziwem przyglądał się sędziemu Gantry'emu. W tej chwili był pewien, że jak dorośnie, chce zostać wielkim sędzią, właśnie takim jak ten bohater z ławy sędziowskiej. Sędzią, który zna prawo na wylot, wierzy w sprawiedliwość, a co najważniejsze, nie waha się podejmować trudnych decyzji.

– A nie mówiłem. – Ike był pewien, że zostanie ogłoszone unieważnienie procesu, ale tak samo uważała reszta prawniczej firmy Boone'ów.

Przysięgli wyszli, lecz nikt inny nawet nie drgnął. Wszyscy byli wstrząśnięci i oczekiwali kolejnych informacji. Jack Hogan i Clifford Nance jednocześnie wstali, spoglądając na sędziego. Zanim którykolwiek z nich zdołał się odezwać, Gantry ich uprzedził:

– Panowie, w tej chwili nie będę wyjaśniał swojej decyzji. Jutro, o dziesiątej rano, spotkamy się w moim gabinecie i przedstawię tam swoje argumenty. Chcę, aby zarzuty postawiono na nowo tak szybko, jak to tylko możliwe. Początek nowego procesu wyznaczam na trzeci tydzień czerwca. Oskarżony pozostanie na wolności na mocy kaucji, przy zachowaniu dotychczasowych warunków. Koniec rozprawy.

Uderzył sędziowskim młotkiem, wstał i wyszedł.

Teraz, gdy salę opuścili już przysięgli i sędzia, nie było po co tam dłużej siedzieć. Widzowie powoli wstali i ruszyli do drzwi.

– Marsz do szkoły – surowo oznajmił pan Boone synowi.

Pod sądem Theo odpiął swój rower.

– Zajrzysz dzisiaj po południu? – zapytał Ike.

– Jasne. Dzisiaj jest poniedziałek.

– Musimy zrobić podsumowanie. To był długi tydzień.

– No jasne.

Nieopodal, przy głównym wyjściu, słychać było gwar ludzi gorączkowo starających się wyjść z budynku. Pete Duffy, otoczony przez swoich prawników, przeszedł prędko, obok biegło kilku dziennikarzy wykrzykujących pytania. Nie doczekali się odpowiedzi. Omar Cheepe trzymał się z tyłu i dosłownie odepchnął jednego z reporterów. Miał już ruszyć dalej za Duffym, kiedy zauważył Theo. Theo siedział okrakiem na rowerze i wspólnie z Ikiem przypatrywał się wszystkiemu. Cheepe zastygł bez ruchu, przez ułamek sekundy zdawało się, że nie wie, co ma teraz

zrobić. Czy szybko iść przed siebie i dalej ochraniać pana Duffy'ego, czy podejść do Theo i mu pogrozić.

Theo i Cheepe'a dzieliło dwadzieścia metrów. Wpatrywali się w siebie, a potem Cheepe odwrócił się i szybko odszedł. Ike nie zauważył tej wymiany spojrzeń.

Theo pospiesznie odjechał. Ruszył w stronę szkoły, odprężył się, dopiero kiedy gmach sądu znalazł się daleko za nim. Aż trudno mu było uwierzyć, że dzisiaj jest poniedziałek. Przez ostatnich siedem dni tyle się wydarzyło. Największy proces w historii miasta zaczął się i skończył – choć tak naprawdę to wcale się nie skończył. Dzięki Theo nie wydano błędnego werdyktu. Sprawiedliwości stało się zadość, przynajmniej na razie. Mógłby teraz dać sobie trochę wolnego, ale przecież i tak niedługo musi się spotkać z Bobbym Escobarem i z Juliem. Będzie się musiał zająć Bobbym, przygotować go do tych trzech godzin, jakie w czerwcu spędzi w sądzie w roli świadka.

A teraz wszystko jeszcze bardziej powikłał ten Omar–Koszmar. Co tak naprawdę wiedzą on, jego klient i Clifford Nance? Ciągłe tylko pytania. Theo czuł się zagubiony, ale jednocześnie podekscytowany.

Potem pomyślał o April. Jutro, we wtorek, sędzia wyda zarządzenie nakazujące jej zamieszkać z którymś z rodziców. Nie wymagało to jej obecności w sądzie, ale i tak była już wykończona. Powinien spędzić z nią trochę czasu. Postanowił, że wymkną się na lunch i trochę pogadają.

Pomyślał też o Woodym, którego brat siedział w areszcie i pewnie jeszcze posiedzi.

Zatrzymał rower pod masztem flagowym. Wszedł do szkoły w połowie pierwszej lekcji. Miał pisemne usprawiedliwienie od matki, wręczył je sekretarce, pannie Glorii. Zauważył, że wcale się nie uśmiecha. A przecież zawsze się uśmiechała.

– Theo, proszę cię, usiądź – poleciła, wskazując mu krzesło przy biurku. Ale dlaczego? Tu raczej nie chodziło o spóźnienie.

– Jak było na pogrzebie? – zapytała, nadal się nie uśmiechając.

Przez chwilę próbował zrozumieć, o co chodzi.

– Przepraszam, ale ja...

– Na tym pogrzebie w ostatni piątek, ten na który zabrał cię stryj...

– A, pogrzeb. Był naprawdę niesamowity.

Rozejrzała się wokół, potem położyła palec na ustach. Ten gest znaczył „proszę, mów ciszej”. Obok były otwarte drzwi.

– Theo – nieomal wyszeptała. – Wczoraj wieczorem mojego brata zatrzymano za jazdę pod wpływem alkoholu. Zabrali go do aresztu – rozejrzała się wokół, aby upewnić się, czy są sami.

– Przykro mi – odparł Theo. Już wiedział, o co chodzi.

– Nie był pijany. To dorosły człowiek, ma żonę, dzieci i dobrą pracę. Jeszcze nigdy nie miał żadnych problemów z prawem i nie wiemy, co teraz robić.

– Jaką miał zawartość we krwi?

– Czego?

– Zawartość alkoholu.

– Ach, tak. Zero dziewięć promila, o to chodzi?

– Tak. Limit to zero osiem, więc ma problem. To pierwsze przewinienie?

– Theo, na litość boską. On nie jest pijakiem. Wypił tylko dwa kieliszki wina.

Dwa drinki. Zawsze tylko dwa drinki. Nieważne, jak bardzo ktoś się zatacza albo jest agresywny, to nigdy nie wypił więcej niż dwa drinki.

– Policjant powiedział, że może dostać dziesięć dni aresztu – kontynuowała. – Jaki wstyd.

– Który policjant? – zapytał Theo.

– A skąd ja mam wiedzieć?

– Niektórzy policjanci lubią straszyć. Pani brat nie dostanie dziesięciu dni. Zapłaci sześćset dolarów grzywny, straci prawo jazdy na sześć miesięcy, będzie musiał się zapisać na kurs prawa jazdy, a za rok wymażą mu to przewinienie. Czy spędził całą noc w areszcie?

– Tak. Aż nie mogę sobie tego wyobrazić.

– No to już nie będzie dłużej siedział za kratkami. Proszę zapisać nazwisko, które zaraz podam.

Już trzymała długopis.

– Taylor Baskin – oznajmił Theo. – Znam tego prawnika, zajmuje się sprawami pijaków...

– On wcale nie jest pijakiem! – zawołała trochę za głośno. Oboje się rozejrzeli, czy ktoś tego nie usłyszał, ale na szczęście nie.

– Przepraszam. Taylor Baskin, to prawnik, który zajmuje się przypadkami jazdy po pijanemu. Niech pani brat do niego zadzwoni.

Panna Gloria już notowała.

– Muszę już iść na lekcję – powiedział Theo.

– Dziękuję, Theo. Proszę, nie mów nikomu.

– Nie ma sprawy. Mogę już iść?

– Och tak, proszę bardzo. Dziękuję, Theo.

Theo wypadł z gabinetu, zostawiając za sobą kolejnego zadowolonego klienta.